

Ewa Nowak

DIUPA

Rozdział 1

- Czyli mnie wylali - mruknął Wiktor i włożył do koszyka cztery puszki piwa. Odliczył końcówkę kwoty, a potem dopiero wyjął banknot. Zawsze tak robił. Nie lubił nosić bilonu. Zawalał mu portfel.

Wiktor miał osiemnaście lat. Właśnie dowiedział się, że za bardzo urósł. Trener i kierownik klubu powiedzieli mu to najsubtelniej jak umieli, czyli: „Chłopie! Musimy się pożegnać” i poprosili o zwrot stroju gimnastycznego.

Mieli rację. Trudno uprawiać akrobatykę sportową, mając więcej niż metr osiemdziesiąt. Wiktor sam czuł, że stracił dawną dynamikę i skakanie nie przychodzi mu już tak łatwo.

„Powiniennem się cieszyć”, rozmyślał smętnie, „dziesięć lat zmarnowanego życia. No, może nie do końca zmarnowanego, bo te wszystkie wyjazdy, zawody, imprezy... Kto z jego klasy był w Rio czy na Florydzie? On był. Był najlepszy. No właśnie - był. Bo już nie jest”.

*

Rzucił kurtkę na podłogę w przedpokoju i, nie zważając na ślady błota, poszedł z piwem na balkon. Miał szczerzy zamiar poużalać się nad swoim losem, tylko nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Dotychczas raczej nie roztkliwiał się nad sobą i teraz brak wprawy wyraźnie mu przeszkadzał.

Piwo było obrzydliwe. Sam nie wiedział, czy bardziej przypomina mu sfermentowaną nalewkę domowej roboty, jaką kiedyś uraczył go kolega, czy podłego gatunku oranżadę. „Trudno! Jestem w rozpacz i muszę się napić” - przekonywał sam siebie.

Podstawił sobie skrzynkę z narzędziami ojca, położył na niej złożony koc i usiadł ciężko. Zimno dotkliwie lizało go po łydkach, ale efekt dramatyczny zaczynał go zadowalać.

- Byłem dobry. Ale już nie jestem. Za to jestem wysoki. Może to nie najgorzej. Więcej mnie tam nie zobaczą. Oddać strój? Niedoczekanie! Ojciec mnie uprzedzał. O czym on mnie uprzedzał? A, o tym...

*

- Diupa.

Wiktor otworzył jedno oko.

- Diupa - zaskrzeczało coś nad nim.

- Delirium tremens? - odstawił pustą puszkę. - To się dzieje tak szybko? - wpadł w panikę.

Jego wyobraźnia spletała mu przewrotnego figla. W październikowe piekielnie zimne popołudnie zobaczył na poręczy swojego balkonu wielką papugę. Była bezwstydnie jaskrawa, nerwowo przerzucała ciężar ciała z jednej zakrzywionej łapy na drugą i cicho skrzeczała: „Diupa, Diupa”.

Wiktor zamknął oczy. „Nigdy więcej alkoholu. Przysięgam”. W jednej chwili spocił się jak mysz. „Jest ze mną źle”. Matka jego dobrej koleżanki, a jednocześnie znajoma rodziców, która niedawno na poważnie zainteresowała się psychologią, opowiadała często jak tragiczne bywają skutki obcowania z alkoholem w młodym wieku. Mówiła o omamach wzrokowych, słuchowych, a nawet węchowych. Wiktor nigdy nie brał tych uwag do siebie, używanie alkoholu nie było w jego stylu, teraz jednak przestraszył się nie na żarty. Przecież chciał się tylko nad sobą poużalać, a nie od razu wpaść w tarapaty.

Bał się otworzyć oczy, a kiedy w końcu to zrobił, papugi już nie było.

Odetchnął głęboko, odstawił skrzynkę na miejsce i pozbierał puste puszki. Zacieriał ślady swojej depresji. Spojrzał na zegar, była szósta. Spał na balkonie półtorej godziny. Zaraz zleci się rodzinka. To cud, że mama tak późno kończy dziś lekcje.

Włożył głowę pod kran, po czym z fantazją potraktował się dezodorantem. Zaparzył herbatę cytrynową i odgrzał drugie. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że jeśli chce gdziekolwiek pojechać na ferie, to musi się natychmiast wykąpać, bo ojca nie wzruszy jego pożegnanie z karierą sportowca, jeśli wyczuje alkohol. Po prostu wprowadzi generalny szlaban na wszystko.

- Diupa - Wiktor znowu usłyszał skrzekliwy głos. Ostrożnie zajrzał do małego pokoju.

Była tam. Siedziała na poręczy sosnowego krzesła, blisko kaloryfera, i wyraźnie się grzała. Masywnym, zakrzywionym dziobem czyściła sobie łapę. Jej ogon był tak długi, że prawie sięgał podłogi.

- Diupa - powtórzyła przyjaźnie na widok Wiktora.

*

Kiedy Wiktor spał ciężkim snem, jego siostra, zwana w domu Pysiakovską (nikt już nie pamiętał dlaczego) zmierzała razem ze swoją przyjaciółką Darią na spontanicznie zorganizowaną imprezę. Zaraz po szkole pojechały jeszcze do perfumerii przy rondzie de Gaulle'a, żeby popsikać się czymś oszałamiająco pachnącym, jak również oszałamiająco drogim. Miały w tym wprawę.

Wika zamierzała zadzwonić do domu dopiero koło siódmej, kiedy ojciec na pewno już wróci, i ubłagać go, by oderwał się od tego, co reperuje i przyjechał po nią. Impreza była w mieszkaniu przy Francuskiej na Saskiej Kępie, a oni mieszkali na Bródnie. Wracanie po zmroku, wlokącym się tramwajem linii 25, jakoś jej nie pociągało.

Takie spotkania organizowane na chybcika są dużo fajniejsze niż te przygotowywane tygodniami. I wszyscy wyglądają na nich normalnie, ubrani po prostu w dzinsy, a nie wypacykowani i odstawieni. Ta impreza również zapowiadała się super. Przed drzwiami dziewczyny zobaczyły długi rząd butelek mocnych i bardzo mocnych trunków, piętrzący się stosik paczek papierosów, nowych i lekko napoczętych, oraz dwie jednorazowe strzykawki - dla dowcipu. Na drzwiach namalowane było kredą coś w stylu graffiti - „Impreza bezużywkowa”. Obie parsknęły śmiechem.

Spotkanie zorganizował Wojciech Lampa pod chwilową nieobecność rodziców. Trudno powiedzieć, kto wymyślił tę formę zabawy, ale pomysł nie był chybiony - brak dymu i alkoholu nikomu nie przeszkadzał. Wszyscy świetnie się bawili przy kanapkach z powidłami śliwkowymi i krakersach.

Daria z miejsca dołączyła do tańczących „Greka Zorbę”. Gorzej było z Wiką. Nie lubiła wychodzić do ludzi, peszyli ją. Stała więc pod ścianą i usiłowała udawać, że się dobrze bawi. W końcu zastosowała starą sztuczkę nieśmiały - „Jaki macie ciekawy księgozbiór!” Ten numer miała opanowany do perfekcji.

Postała chwilę przy półce z książkami, po czym, zupełnie odruchowo, sięgnęła po zakurzony tom. *Roosevelt a sprawa polska*. Wypadły z niego jakieś kartki. Listy. Dyskretnie rozejrzała się, czy nikt nie patrzy. Oczywiście nikt, jak zwykle, nie zwracał na nią uwagi. „Pierwszy raz w życiu mnie to cieszy” - pomyślała. Mogła spokojnie włożyć listy do środka i po prostu odstawić książkę, ale tego nie zrobiła. „Dobra, zobaczę tylko, kto to pisał”. Jeszcze raz upewniła się, że nikt na nią nie patrzy.

Trzymała w ręku listy napisane najprawdopodobniej przez ojca Wojtka do jakiejś dziewczyny. Śmiałe wyznania i czułe słowa kierowane do tajemniczej adresatki, spowodowały, że Wika nie mogła się oderwać od lektury...

- Niezła lekturka, co?

- Pytam, jak tam lekturka? - Wojtek wyjął jej z rąk książkę i listy.

- Dobrze się bawisz? - miał taki głos, jakby chciał ją uderzyć. - Może jeszcze ci coś podrzucić? Mam parę pamiątek i zdjęcia rodziców na golasa. Chcesz?

- Przepraszam, ja naprawdę...

- Nie przynudzaj.

- Przepraszam - wyjąkała raz jeszcze i czym prędzej rzuciła się do wieszaka z kurtkami. Jeszcze nigdy w życiu nie było jej tak głupio. Ale też jeszcze nigdy nie zrobiła czegoś takiego.

*

Trzydzieści dziewięć lat temu w Podkowie Leśnej koło Warszawy przyszły na świat dwie dziewczynki. I choć bliźniaczki były słabowite, a czasy nie najłżejsze, obie przeżyły. Właśnie w tej chwili jedna z nich, objuczona dwoma monstrualnymi siatkami, wdrapywała się na trzecie piętro swojego mieszkania przy Bolesławickiej na Bródnie. Od czasu, kiedy utknęła między piętrami na dwie godziny, z zasady windą nie jeździła. Może to nie była klaustrofobia, po prostu wolała chodzić schodami. Na trzecim piętrze usłyszała monotonne stukanie młotkiem. Od razu się rozpogodziła. Ten dźwięk świadczył nieomylnie, że jej mąż wrócił już z pracy.

Istotnie - Waldek zdążył już się przebrać w domowy dres i właśnie zeskrobywał białą farbę olejną z framugi drzwi dużego pokoju. Wanda wcale się nie zdziwiła, widząc podłogę dokładnie zabezpieczoną gazetą i wszystkie narzędzia leżące równiutko, jakby uczestniczyły w musztrze.

- Dzień dobry, kochanie - Waldek wyjął żonie z rąk siatki z zakupami i nadstawił policzek do pocałowania. - Dlaczego sama dźwigasz?

- Przyznaj się, że chodzi ci o to, że umiem coś zrobić sama.

- Oczywiście. Jakem cię brał - zażartował ojciec - to byłaś taka chuda, że miałem nadzieję, że zawsze będziesz skazana na moją pomoc, a po dwudziestu...

- Dziewiętnastu - sprostowała żona.

- ... latach małżeństwa widzę, że źle wybrałem. No, wcale nie mogę się wykazać!

- Chodź, wykaż się i zjedz ze mną obiad.

- Kochanie, może za chwilę. Chcę dziś skończyć te drzwi i podkleić wreszcie tapetę w przedpokoju. To już dłużej nie może czekać.

- No tak.

Mama, czując, że na razie nie jest w stanie wygrać pojedynku z tapetą, a tym bardziej z framugą odmalowaną chyba przed samymi wakacjami, odgrzała sobie obiad i przycupnęła na sosnowym zydelku w przedpokoju, żeby widzieć męża. Patrząc na to, co robi i jak wygląda, trudno byłoby się domyślić, że jest chory na serce.

- Gdzie dzieci? - zapytała, przełykając babkę ziemniaczaną pieczoną według przepisu jej teściowej.

- Wiktor się uczy. A Pysiakowska rzeczywiście powinna już raczej być.

- Nie dzwoniła? - mama zagryzła babkę buraczkami.

- Nie. To dziw-ne. Bar-dzo dziw-ne - ojciec sapał, patrząc z uwagą, jak opalarka pomaga farbie schodzić małymi kawałeczkami.

Zanim jednak rodzice zdążyli się porządnie zaniepokoić, w zamku zgrzytnął klucz i weszła Wika.

Odruchowo pocałowała w policzek jedno i drugie, ale tak wieszala kurtkę na wieszaku, żeby nie widzieli jej twarzy. Rodzice popatrzyli na siebie znacząco.

- Co tak późno? - ojciec starał się, żeby pytanie zabrzmiało naturalnie.

- Byłyśmy... włączyłyśmy się z Darią po sklepach.

- I co? Było coś ciekawego?

- Nic.

- A co w szkole?
- Nic.
- Jadłaś coś?
- Tak.

Rodzice znów popatrzyli na siebie znacząco.

- Twoje trzy zadziwiająco krótkie odpowiedzi uświadomiły mi, że coś przed nami ukrywasz - ojciec delikatnie odłożył opalarkę na gazety, sprawdził, czy jej gorący dziób niczego nie dotyka, po czym razem z mamą zabrał się do śledztwa.

Kiedy Wiktor wkroczył do kuchni z butelką po wodzie mineralnej, zobaczył rozanielonych rodziców i siostrę z nieco niepewną miną.

- Co się dzieje? - zagadnął.

- Wiesz, Pysiakowska dała się namówić na aparat ortodontyczny - mama była wprost uszczęśliwiona.

- Takie dwie szyny na zębach, każda po tysiąc złotych?! - próbował połapać się w sytuacji Wiktor, a jego mina świadczyła, co o tym sądzi.

- Tak. Jesteś mądrą dziewczynką, że wreszcie się zgodziłaś. Zaraz dzwonię do cioci, zapytam, kiedy ma dla nas czas.

Wika uśmiechnęła się krzywo i niepewnie spojrzała na brata. Czowała, że on się tak łatwo nie da nabrać.

Wiktor pomyślał, że siostra wpadła w tarapaty, skoro przystała na absurdalny pomysł rodziców, bo krzywych zębów to ona na pewno nie miała.

Pysiakowska nieświadomie przyczyniła się do osłabienia rewelacji, jaką miał dla nich Wiktor. Nabrał powietrza i zaczął szczegółową opowieść o tym, co zaszło w klubie, co powiedział trener, a co mówił kierownik. Starał się przedstawić całą sprawę w odpowiedni sposób, czyli z dużą dawką dramatyzmu. Pamiętając o tym, że rodzice lubią znać każdą historię z najdrobniejszymi detalami, postanowił tym razem ich zaspokoić.

- Mam nadzieję, że się nie przejąłeś za bardzo - mama była najwyraźniej zdruzgotana wiadomością o zakończeniu kariery syna.

- Nie, skąd - Wiktorowi było trochę głupio, że robi minę smutniejszą niż powinien.

- Synu, nie jest to w moim zwyczaju, ale tym razem może... może jest... może jest coś... tak sobie pomyślałem.

- Co mi osłodzi życie?

- Mniej więcej.

- A wiesz tato, że jest...

- Synu! Proś, a zostaniesz wysłuchany! - przerwał mu ojciec z uśmiechem.

- Byle w granicach naszych pensji - mruknęła mama, myjąc stojak na noże.

- Mam od lat takie jedno marzenie, ale... jakoś nigdy... może teraz rzeczywiście... jest coś takiego, ale... - widząc pełne napięcia spojrzenia rodziców i siostry, wypalił: - Chciałbym mieć papugę!

- No, to doskonale! Ja nie mam nic przeciwko temu - mama oczyma wyobraźni zobaczyła śliczną, zieloną papuzkę falistą. Cichą, spokojną i niekłopotliwą.

Ojciec był bardziej nieufny.

- Ile toto kosztuje?

- Nie musimy jej kupować.

- Nie?! - zgrali się rodzice i siostra.

- Ja ją już mam! - i nie czekając na dalsze pytania, wychylił się z kuchni i słodkim głosem zawołał, zupełnie jak na psa: - Ptaszku, chodź tutaj!

Cisza. Nikt się nie poruszył.

Po chwili rodzina usłyszała cichutkie tuptanie. Zza drzwi, jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemią, wychyliła się żółto-niebieska głowa papugi.

- O mój Boże! - mama przycisnęła ściereczkę do piersi.

Tymczasem papuga, widząc szczere zainteresowanie swoją osobą, zręcznie podskoczyła i usiadła na zlewie. Rozpostarła skrzydła i wyraźnie się przeciągnęła. Potem bez zastanowienia dziobnęła w kant żeliwnego zlewozmywaka, robiąc w nim sporą wyrwę.

W kuchni zrobiło się bardzo cicho.

- No tak, będę musiał jutro kupić nowy. Albo nie, ten z pewnością da się złutować. Muszę tylko odebrać od Mariusza lutownicę. Ładny ptaszek! - ojciec, wyraźnie zdenerwowany, zaczął palcami obmacywać poszarpaną dziurę i jednocześnie podziwiał rozmiary ptaka. - Nie wepchniemy go do klatki, bo w żadnej się nie zmieści. No tak, ludziom snują się po mieszkaniach psy, koty, nawet hodowlane szczury, to nam przecież może papuga. W nowym mieszkaniu po prostu zabezpieczy się okna i tyle - ojciec czuł, że każde zwierzę pozostawione samo sobie w domu na pewno coś zepsuje. Na pewno. Za nic by się nie przyznał, że na to właśnie po cichu liczy. Szkód będzie niemało. A szkody kto będzie naprawiał? No, kto? On sam! - A skąd go masz, synku?

*

W tym samym mniej więcej czasie Krzysio, leżąc na kanapie, jednocześnie wolniutko obgryzał pieczone udko kurczaka i malował, zupełnie nie przejmując się tym, że słoiczek z wodą za sekundę zwyczajnie się przewróci. Uważał, że skoro poświęca się tak bardzo dla swojej matki i łaskawie zgadza się coś zjeść, to należą mu się pewne prawa.

- Mamo, podaj farbę! - wrzasnął i ani na chwilę nie przestał dekorować białego talerza. - Tę cytrynową - sprecyzował. Spora porcja brązowej farby do malowania na szkłe rozmazała się na bluzie, Krzys roztarł ją zamasyście i na wszelki wypadek zakrył papierową serwetką. - Mamo, daj tę farbę, bo zaraz muszę wyjść. Ogołę się tylko i wychodzę.

Mama, w bardzo już zaawansowanej ciąży, przyniosła mu z kuchni tubkę z cytrynową zakrętką. Nie zapytała nawet, dokąd jej dziecko zamierza iść, albowiem dobrze wiedziała, że siedmioletni Krzys, który właśnie rozpoczął edukację szkolną, nigdzie się o tej porze nie ruszał. Prawdę mówiąc, w ogóle nigdzie nie wychodził sam. Tak tylko lubił sobie pogadać.

Jego mama, Krystyna Sobczak, siostra bliźniaczka Wandy Rybackiej obdarzyła syna spojrzeniem pełnym cierpliwości, smutku i matczynej miłości i wróciła do kuchni. Kuchnia ta w niczym nie przypominała kuchni jej siostry. Po pierwsze, była trzy razy większa, a po drugie, wyposażono ją we wszystko, co oferował rynek konsumencki. Jeszcze jeden szczegół różnił siostry. U Wandy na obiad był zawsze jeden zestaw, u Krysi - trzy, czasem cztery, bo nigdy nie było wiadomo, na co Krzysio będzie miał akurat ochotę. Obie siostry, mimo że urodziły się jednego dnia, od początku szły całkiem innymi drogami. Wanda, mama Wiktora i Wiki, urodziła syna jeszcze na studiach. Wiele lat mieszkali kątem u krewnych pod Warszawą i dopiero teraz mieli się wreszcie przeprowadzić z wynajętego mieszkania na Bródnie do własnego mieszkania na Bródnie. A Krysia - ścigała się z życiem. Skończyła dwa fakultety, zaciągała kredyty, pracowała w banku po dwanaście godzin na dobę, a na dziecko (czyli Krzysia) zdecydowała się, gdy miała już duże mieszkanie, samochód, działkę i zasobne konto w banku. Teraz, zmęczona gonitwą, chciała urodzić dla odmiany dziewczynkę i odetchnąć w domu na urlopie wychowawczym. I tym razem, inaczej niż przy Krzysiu, którego od urodzenia wychowała jej matka, postanowiła sama zająć się córeczką.

Ciężko usiadła na taborecie w kuchni i, czekając na swojego męża - dermatologa, polewała tłuszczem kurczaka, żeby nie obsechł.

*

Pierwsza noc z ptakiem była ciężka, ale pierwsze noce zawsze takie są. Mama po prostu bała się spać, słysząc ciągle stukanie pazurów o panele. Zaczęła poprawiać test ID. Po trzeciej

pracy załamała się zupełnie - jak można nie odróżniać kwasów tlenowych od beztlenowych? Czego ich uczą w tych gimnazjach?!

Pysiakowska oddała się rozpaczy. Popłakawszy, usiadła na łóżku i podłożyła sobie pod plecy jasek z dwoma spranymi wiewiórkami. Czuła się jak ostatnia świnia. Wszystkie usprawiedliwienia, które przychodziły jej do głowy, były po prostu nędzne. Nikt by w nie nie uwierzył. „Dureń jeden, nie miał kiedy robić imprezy - zwałała winę na Wojtka. - Tylko skończony idiota robi imprezę w środku tygodnia i to na dodatek bez uprzedzenia. Że też musiałam tam poleżeć!”

Wika starała się nie wiercić, żeby nie obudzić brata. Jej nadgorliwość była zbyt duża. Wiktor nawet nie przebrał się w piżamę. Nie zamierzał spać tej nocy.

Cały czas nasłuchiwał, co robi ptak. Polubił zwierzaka i nie chciał, żeby ten, z powodu nocnych ataków, musiał ostatecznie opuścić ich dom. A znów ojciec, który oczywiście zadreślał się problemem: „Gdzie my będziemy trzymać tak monstrualną papugę?”, czuł się trochę niewyraźnie i, wiedząc, że szybko nie zaśnie, po prostu wstał, zrobił cztery herbaty i, niczym magnezem, ściągnął rodzinę do mikroskopijnej kuchni.

Po pierwsze i najważniejsze, mama koniecznie chciała wiedzieć, co toto jada. Wiktor zaraz rzucił się do pięcioletniej encyklopedii i odszukał hasło „papuga”. Jednak na zakup ziarna czy zboża, jak sugerowała encyklopedia, było już zdecydowanie za późno. Ptaszysko zostało więc poczęstowane połową wczorajszego pączka, kanapką z paszтетem z zielonym pieprzem i szklanką mleka. Po konsumpcji papuga, z szelmowskim błyskiem w oku, zaczęła wpatrywać się w skalary pływające w akwarium ojca. - Co za dużo, to niezdrowo! - ojciec ciałem zasłonił swoje pupilki. - Jutro położymy na akwarium szybę, żeby się do nich nie dobrała.

- Może ona jeszcze by coś zjadła? - mama spojrzała pytająco na syna.
- Dlaczego na mnie patrzysz? Skąd ja to mogę wiedzieć?
- To twoja papuga, powinieneś wiedzieć.
- Ale nie wiem. Może krakersika? - Wiktor podsunął jej ciastko.
- A gdzie ona będzie spała? Kochanie? Co robisz? Z pokoju dobiegło ich cichutkie stukanie.
- Chodźcie, to wam pokażę.
- No tak. Czyli toto zostaje - mama z rezygnacją popatrzyła na zgrabny pałak, który ojciec zainstalował między szafą a łózkami dzieci.
- Akurat miałem taki. Mogłem ten drażek nareszcie rozsądnie wykorzystać. I co wy na to? Akurat dla ptaka tej wielkości. I akurat tu się zmieścił. A jak go nazwiemy?
- Akurat - z przekąsem powiedziała mama.
- Nie, to za długie.

Wika postanowiła zaangażować się w sprawę ptaka, by zapomnieć o własnej kompromitacji:

- Ja jutro wywieszę ogłoszenia, że znaleziono ptaka. Albo dam do gazety. Ktoś na pewno się zgłosi, będą jej przecież szukać.
- A ja kupię jej coś normalnego do jedzenia - zadeklarowała mama.
- Dobrze, to ja dopracuję to siedzisko dla niej. Czemu się tak dziwicie?
- Wiktor, ty pojedziesz z nią do weterynarza, jeden przystanek za Rondem Wiatraczna. Wiem, że daleko, ale to sprawdzony punkt. Trzeba ją odrobaczyć, może zaszczepić. Nie chcę się czymś zarazić, żeby...

- ... nam na przykład wyrosły pióra - dokończyła Pysiakowska domyślnie. - Wiktorowi to by się nawet przydało. On jest taki nieopierzony - usiłowała go pogłaskać po głowie.

- Precz z łapami! Mam za to legalnie zdobyte trzy pióra.

- No, pora spać. Widzę, że wyczerpaliśmy temat - ojciec zgasił rybom światło. Zgarnął żonę, by czym prędzej zamknąć za sobą drzwi sypialni, co było jednoznaczne z tym, że ptaszysko śpi z dziećmi.

*

Następnego dnia Darii nie było w szkole. Wika, chyba pierwszy raz od wielu lat, poczuła jak to dziwnie wszystkich znać, a z nikim nie być blisko. Już w szatni zorientowała się, że nikt nie wie o jej wczorajszej wpadce. Na szczęście Wojtek nie miał długiego języka i nikomu nie opowiedział o wczorajszym zdarzeniu. Wika zmieniła buty i powlokła się na trzecie piętro. Pierwsza była godzina wychowawcza. Aż do ósmej piętnaście (w jej liceum o tej właśnie godzinie zaczynała się pierwsza lekcja) co i raz zerknęła na drzwi i modliła się, żeby Wojtek się rozchorował, wyjechał, wygrał wycieczkę po Morzu Śródziemnym albo dostał nagrodę Ministra Edukacji. Cokolwiek - byle nie przyszedł.

Pojawił się równo z dzwonkiem. Specjalnie wybrał drogę koło jej ławki, ale nie powiedział „cześć”.

Wacława Jura wkroczyła do sali dziarskim krokiem. Nie dawała się ani rozwydrzonej młodzieży, ani, tym bardziej, smętnej dzisiaj pogodzie. Do emerytury zostały jej dwa lata i nie zamierzała ich po prostu przeczekać.

- Kontynuujemy dziś nasz cykl o roli jednostki, waszej roli w społeczeństwie. Czy wy komuś pomagacie? - zagaiła niezbyt interesująco. Z czasem jednak rozgrzała klasę i doszło nawet do symbolicznego skakania sobie do oczu. - Wika, co ty robisz dla innych?

- Tak oprócz pomagania w domu, to nie bardzo... ptaki dokarmiam...

- Czy ktoś jeszcze jest w podobnej sytuacji?

Las rąk.

- A co można by zrobić? Czy macie jakieś pomysły?

Pomysły posypały się od razu.

- Gdzieś posprzątać. Komuś pomóc.

- Ale komu konkretnie?

- Na przykład można by czytać książki niewidomym. Są tacy, którzy bardzo lubią czytać. To mogą też na głos - Wojtek wyraźnie chciał rozdrażnić Wikę.

- Niewidomi, mówisz? - wychowawczyni zamyśliła się. - Ale dlaczego akurat niewidomi?

- Bo oni nigdzie nie wychodzą. Nie oglądają telewizji, muszą cały czas sami siedzieć w mieszkaniu. Nawet herbaty sobie nie robią.

- Tak... - wychowawczyni zastanowiła się przez chwilę - ich sytuacja jest rzeczywiście tragiczna. Ale jak dotrzeć do niewidomych?

- Jest przecież Polski Związek Niewidomych, można się dowiedzieć gdzie, zgłosić się i czytać coś pożytecznego na głos. Komuś potrzebującemu, a nie tylko tak dla siebie... - brnął Wojtek.

- Czy ktoś z was podjąłby się zasięgnięcia informacji w tej sprawie?

- Może Wika. Ona bardzo lubi czytać - Wojtek stawał się zbyt nachalny. Nawet klasa czuła, że coś się między nimi dzieje.

- Dobrze - Wika spokojnie wstała z miejsca, chociaż miała ochotę podejść do Wojtka i z zimną krwią go udusić. Póki co, posłała mu tylko morderczy uśmiech.

Szczerze mówiąc, miała nadzieję, że z Wojtkiem jakoś dojdą do porozumienia. Teraz powoli docierało do niej, że przez osiem miesięcy do końca roku będzie musiała znosić jego uwagi. Bo, niestety, on ma rację. A ona naprawdę nic nie ma na swoją obronę.

- Czy macie jakieś propozycje następnego tematu na naszą godzinę wychowawczą?

- Może o tajemnicy korespondencji - podsunął Wojtek, patrząc na wychowawczynię z całkiem niewinną miną.

*

Po powrocie ze szkoły Wiktor zauważył na podłodze liczne ślady prawidłowej przemiany materii ptaka i, lekko zaniepokojony, policzył skalary. Na szczęście były wszystkie. Za to brakowało znacznej części wypożyczonej z biblioteki *Psychozy* Roberta Blocha.

- Zeżarłaś? - zwrócił się do ptaka z wyrzutem.

Papuga, jakby nigdy nic, spokojnie i z dużym zaangażowaniem czyściła sobie ogromny ogon.

Wyrzwał przez okno, żeby się upewnić, że aura bez zmian i po chwili zastanowienia odnalazł w szafie w przedpokoju stary, wełniany szalik mamy. Wyciągnął przed siebie rękę, naśladowując wytrawnych hodowców ptaków.

- No, ptaszyno, idziemy. Chodź do pana, chodź. Pan cię zawiezie do lekarza. O tak, tutaj sobie usiądź, teraz owiniemy cię szalikiem, żeby piórka nie zmokły. Dobry ptaszek, dobry - po czym rozejrzał się, czy aby na pewno nikogo nie ma w domu. I dodał, już zasadniczym tonem - Jedziemy!

Do przystanku nie było daleko. Ptak owinięty szalikiem wyglądał jak zwyczajny tobołek. I o to chodziło.

Nadjechała niskopodłogowa „trójka”. Wiktor wsiadł i ponieważ nie było wolnych miejsc, stanął przy poręczy. Ptak zachowywał się nadzwyczaj spokojnie. Wiktor nawet zastanawiał się, czy zwierzę jeszcze żyje, ale kiedy spojrzął na tłumoczek, łypnęło na niego zdrowe ptasie oko.

Przejęty sytuacją, starał się nie myśleć o niczym i nie zwracać uwagi na nikogo. Papuga natomiast od dłuższej chwili wpatrywała się w kurtkę stojącej obok osoby. Kurtka jak kurtka, nic ciekawego, ale broszka! Postawiony kołnierz kurtki spięty był ogromnym, wręcz monstualnym, żukiem o pięknym, ciemnozielonym pancerzu. Wyglądał tak naturalnie, że nie tylko papuga mogłaby uznać, że to całkiem prawdziwy żuk.

Ptak poczuł, że coś go łączy z owadem. Może odezwały się w nim instynkty łowne, może był głodny... Trudno powiedzieć. W każdym razie, dwa przystanki przed kliniką dla zwierząt, papuga zdecydowała się działać.

Wiktor, aż do momentu kiedy poczuł silne uderzenie prostujących się skrzydeł, nie przypuszczał, że ptak może mieć tyle siły. Papuga z impetem dziobnęła żuka w twardy pancerz. Czując opór, powtórzyła atak, głośno krzycząc: - Diuuupa, Diuuupa!

*

- Bardzo przepraszam, ja to naprawię, naprawdę nie wiem, jak to się stało - Wiktor nieudolnie tłumaczył się przed właścicielką uszkodzonej broszki.

- Oj, nic się takiego nie stało. Tylko co z twoją papugą? Jak ją teraz znajdziesz?

W chwili, gdy niewinnie wyglądający tobołek okazał się być gigantycznym ptaszyskiem, w tramwaju wybuchła panika. Motorniczy zatrzymał pojazd i własną marynarką usiłował zatrzymać ptaka, matki z dziećmi zaczęły krzyczeć i walić w drzwi, żądając ich natychmiastowego otworzenia. Nic dziwnego, że papuga, korzystając z jedyne otwartego okna, po prostu wyfrunęła.

I zniknęła na dobre.

- Nie martw się, może wróci - dziewczyna próbowała pocieszyć Wiktora.

- Wątpię, przybłąkała się do nas wczoraj.

Wiktor od czasu do czasu spoglądał w górę, szukając śladów ptaka, ale głównie patrzył na właścicielkę żuka i oczywiście na zniszczoną broszkę. Już widział rozradowanego ojca. Naprawić taką broszkę to jest coś!

- Ja bym ci ją oddał. Po naprawie naturalnie.

- Tak? To świetnie...
- To jakbyśmy...
- A co proponujesz?

Wiktorowi, nie po raz pierwszy w życiu, zabrakło języka w gębie. - To może dasz mi swój telefon i gdy już będzie gotowa, to...

- Wiem, że to nie zabrzmiałoby wiarygodnie, ale my nie mamy telefonu.
- To może adres internetowy?
- Słuchaj, jak ktoś nie ma telefonu, to jak może mieć internet? A ty jesteś w klasie humanistycznej? - dopytywała się, nie wiedząc czemu, dziewczyna.
- Nie, dlaczego? To może, może... się umówimy. Na przykład tu. Jutro. Też o piątej - szedł na całość Wiktor, zapominając, że jutro dokładnie o piątej ma fakultet z chemii. A z chemii ma w przyszłym roku zdawać maturę.

- Może za tydzień, bo jutro to ja nie bardzo mogę. A najlepiej za dwa i o drugiej. Dobrze? Ale może spotkamy się gdzie indziej, bo tak tu, na Grochowskiej...

- Masz rację. To może pod ZOO?
- O, świetnie. Obejrzymy sobie papugi - zachichotała.
- To do za tydzień... do za dwa!
- Do za dwa!
- Pod ZOO o drugiej.
- To który to będzie? Piąty listopada?!

Znakomicie się umówili. Naprawdę. Tyle tylko, że ZOO w Warszawie ma dwa wejścia. I jakby tego było mało, nawet nie znali swoich imion.

*

Ciotka Krysia wyłączyła swoją komórkę, po czym włączyła ją znowu i nastawiła na „milczy”. Była naczelnikiem banku i cały czas ktoś czegoś od niej chciał. Oczywiście chodziło o same Bardzo Ważne Sprawy. Kiedy obejmowała to stanowisko, była naprawdę dumna. Imponowało jej, że nie mogą się bez niej obejść, że nawet podczas urlopów do niej dzwonią. Po sześciu latach pracy miała tego serdecznie dość. Chciała w spokoju urodzić Paulinkę i pobyć na zwolnieniu. Korzystając z prawa ciężarnych do pełnopłatnego zwolnienia lekarskiego, a tym bardziej do świętego spokoju, z komórką na „milczy”, już o jedenastej odebrała swojego syna ze szkoły. Nie miała daleko. Ich mieszkanie i szkoła były przy tej samej ulicy - Bartniczej.

- Jak było? Zjadłeś kanapki?
- Mamo, chodzę do ortopedy. Dziś pani mnie badała i muszę chodzić.
- Na jakieś ćwiczenia?
- Tak, na takie ćwiczenia, wiesz. Dwa razy na tydzień. Pani ci zapisała w dzienniku, w które dni. Po piętnaście minut.
- Tylko tyle? To musisz na pewno mieć jakiś strój.
- Tak... - siedmiolatek nagle zobaczył swoją gwiazdę. - To ja chcę strój kowboja. Albo batmana.
- Na korektywę? - zdziwiła się mama.
- Ja nie chodzę na korektywę, tylko do ortopedy. Pani mnie badała. Mamo, nie słuchas. Krysia czuła, że rozmowa wymyka jej się z rąk.
- Kochanie, ćwiczyłeś już?
- Tak, dzisiaj.
- W sali gimnastycznej, na materacach?
- Nie, psed takim dużym lustrem. Pani mi pokazywała język.

- Logopeda! - Krysia aż przystanęła z radości. - Żółty żur, żółty żur, żarty, żubr, żabi wrzask - wyrzuciło z siebie dziecko. Przez chwilę szli w milczeniu. Krzyś jakby się do czegoś przygotowywał.

- Mamo... wieś, u nas w szkole są bardzo smaczne obiady. Podobno.

- I ty byś je jadł, syneczku?

- Bardzo smaczne, wszyscy tak mówią. I niedrogie.

- Oczywiście, synku, może zaraz wrócimy i wykupimy, tylko czy można tak w połowie miesiąca?

- Chyba można. To chodź. Wrócimy i zapłacis, co?

- Mój kochany chłopczyk - Krysia popatrzyła na niego z bezgranicznym uwielbieniem. Wszyscy jej mówili, że z tego wyrośnie. I wyrósł. Jaka ulga. Obiady. Logopeda. To dziecko bardzo poważnie o sobie myśli.

Gdy tylko weszli do mieszkania, zaproponowała synowi kluski kładzione w rosole lub pomidorową z ryżem. Krzyś jednak nie wyraził zainteresowania jedzeniem. Mruknął tylko:

- Może później, teraz mam spotkanie z prawnikiem.

Mama pocieszyła się, że przecież od jutra będzie jadł wśród kolegów, więc dziś może mu darować obiad.

Sobczakowie i Rybaccy mieszkali (i nadal mieli mieszkać) bardzo blisko siebie. Nic dziwnego, że dzień bez odwiedzin był rzadkością. Dziś wszyscy mieli się zejść na kolację (lasagne ze szpinakiem), którą serwowała Wanda.

- To kiedy wreszcie się przenosicie? Krzysiu, może zjesz trochę szarlotki? - ciocia Krysia siedziała w kuchni u siostry i głaskała się po nieustannie podskakującym brzuchu.

- Jesienią nie lubię sarlotki. Mogę wypić mleko, ale zimne.

- Wandziu, macie mleko? - ciotka rzuciła się do dwumetrowej lodówki.

- Martwię się tym. Nowe mieszkanie, nowe wydatki, i jeszcze aparat dla Wiki... Boję się tego wszystkiego.

- Nie wiem czego. O, idzie Piotr. Sprawdź, czy lasagne już doszła.

- Czołem! - wuj Piotr bardzo długo mył ręce i twarz, po czym, wilgotny, ale uśmiechnięty, wcisnął się w wąski kąt przy kuchennym stole. - Wiecie, miałem dziś przemilego pacjenta. Miał przewlekłe zmiany łuszczycowe. Bardzo zaniedbany przypadek. Oj, będzie pracy, będzie... Ale wiecie, opowiedział mi superdowcip. Waldek, trzymaj dyktafon. No, włącz go. Uwaga, mówię. Co to jest: duże, czerwone i kwadratowe? - tu zrobił stosowną pauzę, żeby pointa zabrzmiała lepiej. - Mała, żółta piłeczka.

Dzieci gruchnęły śmiechem, ale dorośli tylko wykrzywili usta.

- Co, nie podoba się wam? - wuj lekko się obraził.

- Nie o to chodzi. Wiesz, ja go po prostu nie rozumiem - wyznał ojciec.

- Waldziu, ty rozumiesz tylko jeden rodzaj dowcipów: „Przychodzi baba do lekarza”.

- Tak, bo to są inteligentne, wielopokoleniowe dowcipy, a nie to co teraz. Jakieś abstrakcje słowne. Czy ty, Krzysiu, zrozumiałeś ten dowcip?

- Nie.

- To dlaczego tak się śmiałeś?

- Bo ja kocham tatusia - otwarcie wyznało dziecko. I widząc na twarzach swoich bliskich zdziwienie pomieszaną z zaskoczeniem, dodało - To ja jednak zjem kawałek tego zielonego, ale jak tatuś powie, że to zeczywiście jadalne.

Sytuacja została uratowana, a lasagne pożarta, z wyjątkiem jednego kawałeczka, który miał jeszcze jakiś czas poczekać na powrót Wiktora.

Kiedy Wiktor wchodził do bloku, czuł się dziwnie. Jeszcze do końca nie dotarło do niego, co właściwie się wydarzyło. Trochę się cieszył, że umówił się na randkę, a trochę było mu głupio, że tak łatwo pogodził się z utratą ptaka.

Nie mógł wejść do mieszkania niezauważony, bo było ono za małe, ale przez drzwi usłyszał, że rodzina, i chyba jacyś goście, zarykują się ze śmiechu. Mama właśnie opowiadała:

- W sklepie zoologicznym siedzą sobie w klatkach trzy papugi. Przychodzi klient i mówi „Chciałbym kupić papugę, niech mi pan coś o nich opowie”. Sprzedawca stanął przed klatką i pokazuje na piękną, bielutką jak śnieg papugę kakadu i mówi „Ta, proszę pana, zna sześć języków, recytuje wiersze Goethego w oryginale i ukończyła z wyróżnieniem Oxford. Kosztuje tylko piętnaście tysięcy złotych”. „A ta?” - klient pokazuje na drugą papugę, arę olbrzymią. „O, ta kosztuje osiemnaście tysięcy złotych. Ale ona, panie, umie pierwiastkować i całkować. Zna suahili, ma doktorat honoris causa trzech zachodnich uniwersytetów, w tym Sorbony. A jak ona interpretuje Szekspira! Marzenie”. „A ta trzecia?” - klient pokazuje na niepozorną, szarą papugę żako. „A ta, panie, kosztuje czterdzieści tysięcy złotych”. „Aż tyle?! - dziwi się klient. - To co ona umie?” „A nie, ona nic nie umie”. „To dlaczego jest taka droga?” „Bo widzi pan, tamte dwie mówią do niej »szefie«”.

*

Kiedy wujostwo wyszli, Wiktor przystąpił do sprawozdania pt. „Dlaczego nie ma papugi”.

- Nie chciałem siać sensacji przy rodzinie, ale papuga zginęła. Odleciała. I od razu mówię, to nie moja wina - asekurował się Wiktor.

Po serii chaotycznych pytań zapanowała żaloba. Pysiakowska wdrapała się na swoje górne łóżko, wlała pod pościel w liściasty wzór i wertowała książkę telefoniczną. Mama cicho stukala talerzami. Ojciec usiadł przed telewizorem, włączył sobie na wideo Ojca Chrzestnego III, a zaraz potem przyłączyła się do niego mama. Starła się nie przeoczyć tych nielicznych chwil, których ojciec nie spędzał na remontowaniu i reperowaniu wszelakich sprzętów domowego użytku.

Wiktor czuł się winny. Zamknął się w łazience i lał wodę do wanny, udając, że się kąpie. Usiadł na klapie od sedesu, wyciągnął podręcznik do fizyki (od lat najlepiej uczyło mu się w łazience), a potem żuka i zaczął mu się przyglądać. Myślał, jak go naprawić, bo nie miał najmniejszego zamiaru nawet pokazywać go ojcu.

*

Z Bolesławickiej na Bartniczą mieli dwa kroki. Ojciec chciał na własnych plecach nosić wszystkie szafy i krzesła, ale mama postawiła sprawę na ostrzu noża i zażądała ekipy do przeprowadzek. Ojciec udawał trochę obrazonego, ale dzięki profesjonalnej pomocy przeprowadzka poszła błyskawicznie. Krzysio właśnie przyszedł z mamą zwiedzać nowe włości swoich kuzynów. Całe to zamieszanie nie obchodziło go nic a nic, dopóki nie dowiedział się, że, właśnie on odziedziczy piętrowe łóżko po Wiktorze i Wice. Chodził teraz po nowym, wielkim mieszkaniu Rybackich i upewniał się, że tu naprawdę to łóżko nie pasuje, mamrocząc cały czas pod nosem:

- Pierzasta piegża z poszarzałym niedźwiedziem zżerała sałatkę z rzeżuchy. Z rzeżuchy, z rzeżuchy. Rzygać w rzeżuchę - delektował się słowami Krzysio. Pani logopeda będzie z niego dumna.

Marzenka, ostrzyżona na chłopaka grubiotka siedmiolatka, zainteresowała Krzysia już na rozpoczęciu roku, ponieważ cały czas ruszała szczękami. Nie miała żadnych zaburzeń psychicznych czy tików nerwowych. Po prostu jadła. Nieustannie jadła. Dla Krzysia, który odżywianie uważał za najgorszy z życiowych obowiązków, była to postać tajemnicza i

intrygująca, bo tak różna od niego samego. Ona zawsze była głodna, on - nigdy. Mama nie dała mu w jego siedmioletnim życiu nawet szansy na to, aby poczuł prawdziwy głód, bo nieustannie był atakowany trzema różnymi zestawami posiłków. Poza tym, Marzenka świetnie grała w nogę i przeklinała najbarwniej z całej klasy. Była wspaniała. A to, że zawsze chodziła w ogromnej bluzie i spodniach z krokiem w kolanach, w oczach nie tylko Krzysia, ale wszystkich chłopaków, dodawało jej cudownego blasku. Oni sami byli często upokarzani przez swoje mamy noszeniem pod spodniami czerwonych rajstopek. Marzenka była zawsze ubrana najbardziej po męsku ze wszystkich chłopaków z klasy.

- Marzena, Marzenka, rzeżucha zżera Marzenkę... Ciekawe, przez jakie „ż” to się pisze - poszedł do dorosłych, ale zapytał ich o coś całkiem innego:

- Jest piwko? Nie ma? To co ja będę pił?

*

Wika uprosiła Darię, by ta nie rozgadała całej klasie, że Wika ma teraz własny pokój. Klasa na pewno zażądałaby hucznego uczczenia tego faktu i zwałyby się do nowego mieszkania, a Wika nie przelknęłaby obecności Wojtka pod swoim dachem. W pewnym sensie chciała urządzić coś u siebie, bo na angielski doszedł do nich nowy chłopak. Daniel. I... i tak myślała, że może..., że gdyby tak robiła imprezę, to i jego by zaprosiła.

Rodzice mieli nareszcie nie tylko salon, ale też sypialnię i gabinet, w którym ojciec rozłożył się z upchniętą w starym mieszkaniu na pawlaczu, kolekcją kaset i książek na temat sycylijskiej mafii. Swoje miejsce znalazły tam też skalary.

Wiktor natomiast chodził jak nieprzytomny. Zdarzało mu się wstać w ciągu nocy i podmuchać na żuka, żeby szybciej sechł. Dużo sobie po tym żuku obiecywał. Bardzo dużo.

Słowem, wszyscy byli zadowoleni.

Wszyscy, poza papugą.

Rozdział 2

Na Wszystkich Świętych tradycyjnie lało. W ogóle było zimno, wietrznie, a rano nawet posypało gradem. Papuga miała serdecznie dość wysiadania gdzieś po gałęziach. Wyraźnie czuła, że jeśli nie skończy z włóczęgostwem, to, jak nic, dopadnie ją zapalenie płuc. Zrobiła cowieczorny oblot po okolicznych blokach. Latała dla rozgrzewki od balkonu do balkonu, ale nic nie przykuwało jej uwagi. Tylko w jednym oknie zamajaczyło coś znajomego.

Papuga zawróciła i przysiadła na parapecie. To był on - żuk. W całej krasie siedział na gazecie i suszył się po naprawie.

- Diupa - zaskrzeczała wesoło i bez namysłu podfrunęła do lufcika, żeby się dostać do środka. Należała do gatunku Ara ararauna, a to bardzo inteligentny gatunek. Nic dziwnego, że sforsowała lufcik bez trudu.

Miała przed sobą cztery dni samotnego bytowania w tym ogromnym mieszkaniu. Przetrwiała je jednak bez trudu. Głównie grzała się przy kaloryferze, obgryzała liście trzykrotki i, bez poczucia winy, zjadła miskę popcornu zostawioną na kuchennym blacie. Oczywiście przez całe te cztery dni walczyła z pokusą wyłowienia skalara z akwarium ojca. Kolorowe rybki intrygowały ją jednak nie dlatego, że widziała w nich porcje potencjalnego pożywienia - była przecież roślinożercą - ale raczej dlatego, że mogły stanowić źródło świetnej zabawy.

*

W tym samym czasie obie siostry ze swoimi rodzinami jechały do Podkowy Leśnej. Tradycyjnie zamieniły się na mężów i samochody. Krysia jechała z mężem Wandy czerwonym jak malinka nissanem, a Wanda zasiadła obok wuja Piotra w czarnym oplu. Obaj

panowie bardzo lubili wozić nie swoje rodziny, gdyż podczas takich podróży nie słyszeli uwag co do tego, że jadą stanowczo za szybko. Ich żony nigdy nie szczędziły im tego typu komentarzy.

Dawno temu poszli razem do knajpki i omówili syndrom prawego fotela. Polega on na tym, że pasażer siedzący obok kierowcy zawsze ma wiele do powiedzenia na temat techniki jazdy - kiedy należy wyprzedzać, kiedy hamować, a kiedy nacisnąć klakson. Obaj zgodnie postanowili, że spróbują nakłonić żony, aby same zrobiły prawa jazdy. Wanda odmówiła kategorycznie, argumentując:

- Żebyście mogli się ze mnie naśmiewać, jak my teraz z was? Niedoczekanie - i zamknęła temat.

Krysia po kilku latach zrobiła prawo jazdy (co z tego, że zdała za szóstym razem), ale z powodu zaawansowanej ciąży wołała teraz nie prowadzić.

*

Babcia bardzo się ucieszyła, gdy zobaczyła ich wszystkich razem, bo choć Podkowa leży zaledwie trzydzieści kilometrów od Warszawy, nieczęsto widywała rodzinę w komplecie.

- Kochani! Rozgoście się! Bardzo dobrze wyglądasz, Waldeczku - babcia w dzinsach i bliźniaku koloru ciepłego brązu wyglądała naprawdę młodo. - Ja... ja was na chwilę zostawię... bo... bo się umówiłam - zrobiła niewinną minę.

- Mamo, nie możesz tego odłożyć?

Babcia pomyślała chwilę.

- Właściwie to mogę. Jak kocha, to poczeka, nie? - zagadnęła Pysiakovską.

- Jak kocha to tak, ale jak nie kocha, to nie poczeka - odpowiedziała Wika i czym prędzej poszła do łazienki, by ukryć się przed ciekawskimi spojrzeniami rodziny.

Babcia tymczasem wymknęła się do pokoju i, jak gdyby nigdy nic, zamknęła za sobą drzwi.

- Przypatrz się, tak zazwyczaj wyglądasz we wczesnej fazie zakochania. Pamiętacie Anię, tę z zeszłego roku? - ojciec klepnął Wiktora w łopatkę.

- Tato, to było w podstawówce.

- Czy babcia znowu kogoś ma? - wuj Piotr przytachał liczne tobołki swojej rodziny.

W odpowiedzi na pytanie wuja dało się usłyszeć dochodzący zza drzwi chichocik.

- Nasza babcia, mimo swoich sześćdziesięciu sześciu lat, po prostu nadal ma apetyt na życie - wypowiedział się Wiktor.

- Dobrze powiedziane, „apetyt na życie”. To do mamy pasuje. Musicie się obie z tym zgodzić - poparł syna Waldek.

- Z niczym nie muszę się godzić - ciotka Krysia usiadła w obszernym fotelu, opierając stopy na taborecie. Kiedy weszła rozradowana babcia, ciotka nie omieszkała jej skarcić:

- Mamo, jaki ty przykład dajesz dzieciom?!

- Ja? Przykład? Ja im nie daję żadnego przykładu. Ja z nich biorę przykład. A to, córuniu, zupełnie coś innego. No, nie? - poszukała wzrokiem Wiktora i spojrzała na niego tak, jakby mieli wspólną tajemnicę.

*

Najpierw poszli na cmentarz. Nie odwiedzili grobu dziadka, bo nie istniał. Babcia była nadal panną. I mimo iż chętnie rozmawiała o wszystkim, temat dziadka omijała z aptekarską starannością. Dziadka po prostu nie było.

Babcia mieszkała w Podkowie od urodzenia, a i bliźniaczki wszyscy tu znali, więc niemal od czterdziestu lat, ilekroć pokazywały się razem, słyszały dyżurne zdanie: „Oj, jakie panie nadal podobne! Ja bym nie odróżnił”.

Na obiad babcia zrobiła paszteciki i barszcz czerwony z czosnkiem, a na drugie pierś kurczaka w amerykańskim sosie z brokułami.

- Doskonały ten sos. Skąd masz przepis, mamó? - ciocia Krysia z rozmachem połała sobie kluseczki.

Babcia najzwyczajniej w świecie spiekła raka.

- Dostałam od znajomego.

Rodzina popatrzyła na siebie znacząco.

- Kucharz? - zapytała Wanda.

- A, nie. Nasz dzielnicowy.

- Znów młodszy od ciebie? - Krysia patrzyła na syna błagalnym wzrokiem, próbując go w ten sposób przekonać, żeby coś zjadł.

- A na co mi stary dziad, prawda? - odparowała babcia, szukając spojrzeniem zrozumienia u wnuków. Po czym z apetytem zabrała się do drugiej pierś kurczaka.

*

Pysiakowska czuła, że po tych czterech godzinach u babci jest już całkowicie zrelaksowana. A przed nimi były jeszcze całe cztery dni. W tym roku pierwszy listopada wypadł w czwartek i wszyscy mieli wolne aż do poniedziałku.

Wika pomagała babci zmywać naczynia. Babcia oczywiście dała jej rękawiczki i pouczyła, że dłonie świadczą o kobiecie i to na nie mężczyźni zwracają szczególną uwagę.

- Na moje nikt nie zwróci uwagi. Dla chłopaków liczą się tylko długie nogi i twarz modelki. Taka jest prawda, babciu.

- Wybacz kochanie, ale jestem w nastroju wykluczającym wyciąganie cię z młodzieńczej depresji. A co? Zakochałaś się bez wzajemności?

- Ja się zakochałem - oświadczył Krzysio, wkraczając do kuchni. - Ale na razie się nie zenię. Będziemy żyć na kocią łapę.

- Widzisz babciu, on przynajmniej ma motywację, żeby nad sobą pracować. Powiedz: „żwawa żarówka”.

- Żwawa żarówka. Wies, że w mowie spontanicznej mi nie wychodzi - Krzysio był oblatany w terminach logopedycznych.

- Ja myślę o czymś innym. Zobacz Wiciu, taki brzdąc nie ma oporów, żeby przyznać się do uczucia i ja ich też już nie mam. Najgorzej macie wy - młodzi. Wszystko chcecie ukryć.

Do pokoju wkroczył monstrualny, rudy, pręgowany kocur. A ponieważ był znany z tego, że lubił robić użytek ze swoich pazurów, wszyscy się go bali. Skutecznie terroryzował rodzinę. Po kastracji przybyło mu kilka kilogramów i wyglądał już całkiem jak mały tygrys.

- Babciu, ty zawsze masz koty? - Krzysio patrzył na zwierzątko nieufnie.

- Lubię je. Wszystkie. A jednego lubiłam szczególnie. To była kotka.

- Jaka kotka, opowiedz - Krzysio wyciągnął język na brodę i, jak kazała mu pani logopeda, usprawniał aparat mowy, dotykając na przemian końca nosa i brody. Końca nosa i brody. I tak w kółko.

- Przestań to robić! Słuchasz, czy nie? - zdenerwowała się babcia.

- Dzieci teraz mają podzielną uwagę.

Ten argument przekonał babcię.

- Kiedy Wanda i Krysia były jeszcze bardzo małe, kupiłam na targu dwadzieścia małych kurczaczków. Wiecie, że wasze mamy były wcześniakami i musiały być bardzo dobrze odżywiane. Trzymałam je, kurczaki, nie bliźniaczki, rzecz jasna, w dużym pudełku pod lampą, żeby im było ciepło. Zależało mi na tym, żeby jak najszybciej urosły i mogły znosić jajka. Miałam w tym czasie taką kociczkę, Burcię, która, jak wszystkie koty, lubiła łapać wszystko, co się rusza. Gonila za każdą muchą, kłębkiem, nie mówiąc już o tym, że polowała na ptaki w ogrodzie. Była bardzo łowna. Każdego dnia brałam ją na ręce,

pokazywałam pudełko z kurczakami i tłumaczyłam „Pamiętaj Burciu, nie wolno ruszać kurczaczków, bo one muszą urosnąć i znosić jajka”. Jednak za każdym razem, gdy wychodziłam z domu, zamykałam drzwi do kuchni, bo sami rozumiecie, nie mogłam ufać kotu. Któregoś dnia Wandzia zachorowała i musiałam natychmiast zabrać ją do lekarza. W zamieszaniu zapomniałam zamknąć drzwi do kuchni. Gdy tylko lekarz zbadał Wandę, pognaliśmy do domu, bo przypomniałam sobie, że kocica została w kuchni sama z kurczakami. Przy otwieraniu drzwi byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam trafić kluczem do dziurki, ale kiedy wreszcie je otworzyłam...

- Kot zeżałł wszystko, ścinki ciał były wszędzie, a krew na pysku Burci i na ścianach - roztoczył ponurą wizję wielbiciel japońskich kreskówek.

- Otóż nie, Krzysiu - zaśmiała się babcia. - Burcia leżała sobie w najlepsze z zadowoloną miną, w samym środku pudełka z kurczakami. Pisklaki chodziły jej po brzuchu i po głowie, a ona mruczała zadowolona. Położyła się pod lampą, która ogrzewała kurczątką, bo koty uwielbiają ciepłe miejsca. A kurczaczkom nic nie zrobiła, ponieważ, w odróżnieniu od pewnego siedmiolatka, słuchała, co do niej mówią dorośli.

*

Wika lubiła nocować u babci. Wychowana w bloku umiała docenić zalety domu. „Co z tego, że bywa tu przeraźliwie zimno, bo babcia często zapomina o włączeniu ogrzewania? Co z tego, że ciepłej wody nigdy nie starcza dla wszystkich? Ten dom ma niepowtarzalny klimat. Gdy będę miała swoją rodzinę, chcę z nią mieszkać w domu za miastem” - pomyślała, a oczami wyobraźni zobaczyła siebie siedzącą z mężem przy kominku i pijącą czerwone wino w pękatych kieliszkach. Nigdy nie miała kominka i nie mogła wiedzieć, ile z taką przyjemnością jest roboty. Noszenie drewna, wynoszenie popiołu, pilnowanie, czy iskra nie wyskoczy, szorowanie wiecznie okopconych pogrzebaczy i szufelek. Ona i jej anonimowy, jak na razie, mąż siedzieli jednak eleganccy przy lśniącem czystością kominku i delectowali się trunkiem. Może w komplecie z kominkiem mieli też służącą?

Wika jeszcze przez chwilę szcztokowała włosy, po czym zamknęła okno, bo nawet jej zapędy, żeby zawsze było wywietrzone przed snem, miały swoje granice, i wsunęła się w lodowatą pościel. Specjalnie poszła do łóżka wcześniej, żeby, jak to kiedyś poradził jej ojciec, uporządkować dzień. Zaczęła więc przypominać sobie, co się dziś zdarzyło. Kiedy wychodzili na cmentarz, zobaczyła Wojtka spadającego z dachu domu babci wprost pod pędzącą ciężarówkę. Nie miała zamiaru oglądać tego, co zostało z niego po starciu z rozpędzonym kolosem na kółkach, więc wyobraziła sobie Wojtka na wyciągu. Uśmiechał się nawet. Był cały obandażowany. Opatrunek na głowie przesiąkł krwią i Wika wyraźnie widziała purpurową plamę w nieokreślonym kształcie na tle łóżkowej bieli. Do szkoły by nie chodził na pewno. Uśmiechnęła się do łatwego rozwiązania swojego problemu.

„Swoją drogą to mogłoby mu się coś stać. Nie, żeby zaraz miał umrzeć - po co tak drastycznie - ale mógłby wyjechać z rodzicami na placówkę do Afryki albo złamać obie nogi z przesunięciem kości - ta wersja spodobała jej się znacznie bardziej - albo mógłby złapać obustronne zapalenie płuc z powikłaniami. Semestr w sanatorium w Otwocku. To byłoby wyjście!”

Zaraz jednak zobaczyła siebie w nieskazitelnie białym czepku pielęgniarskim i białych drewniakach, pochylającą się nad majaczącym w malignie Wojtkiem i zwilżającą mu usta. On kona...

Albo tak. Wojtek siedzi na wózku inwalidzkim, ma grubą warstwę bandaża na oczach, a ona w stroju sanitariuszki z okresu II wojny światowej czyta mu list od narzeczonej, która w okrutnych słowach informuje go, iż ma już ślicznego synka z innym, bo nie mogła czekać. On płacze, spod bandaża płyną łzy, ona bierze go za rękę i pociesza...

To oczywiście było mało realne, ale nogę mógłby złamać albo mieć wstrząs mózgu. Przecież wypadki się zdarzają. Albo, żeby go tak...

- O czym tak rozmyślasz, lube dziewczę? - wparował do pokoju Wiktor przebrany w pasiastą piżamę.

„Złe życzyć jednemu koledze” - o mało nie odpowiedziała Wika.

- Ach, o niczym. Gaś już, bo chcę spać - fuknęła na brata i odwróciła się do ściany, bojąc się, że jej myśli uda mu się odczytać z twarzy.

*

Zgrzyt klucza w zamku szczerze uradował papugę. Chciała być miła i przywitać się serdecznie ze wszystkimi, więc z okrzykiem na dziobie zaczęła krążyć pod sufitem.

- Diupa! Jesteś, jesteś - ucieszył się Wiktor.

- Jak powiedziałeś? Diupa?

- Diupa. To ona tak mówi, nie ja.

- To ty powiedziałeś - upierała się mama. - Jak ona nas znalazła? To nieprawdopodobne.

Stali w kurtkach i patrzyli z niedowierzaniem na ptaka. Każdy miał inną koncepcję. Ojciec uważał, że po prostu przyleciała za Wiktoorem, czyli, że go śledziła. Mama stawiała na szósty zmysł. A Wiktor wymyślił coś innego:

- Wiecie, czytałem, że jeden pies przebył półtora tysiąca kilometrów z Belgii do Hiszpanii.

- Pieszko?

- Tato, inaczej nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego. Jego pani, Belgijka, wyszła za Hiszpana i wyjechała, zostawiając go u swoich krewnych. Psisko po trzech miesiącach zjawilo się w jej nowym domu. A przyznacie, że marsz psa przez pół Europy, to jednak znacznie trudniejsze niż przelot z Grochowskiej na Bródno. Zauważcie, że lot jest znacznie bezpieczniejszy niż marsz.

- Szczególnie dla psa - zadrwił ojciec.

Pysiakowska nie zdążyła zabrać głosu w dyskusji, bo zadzwonił telefon.

- Do ciebie - ojciec wręczył jej słuchawkę.

- Kto? - zakryła mikrofon dłonią.

- Jakiś Wojtek.

„O matko! - pod Wiką ugięły się nogi - nie mógł poczekać do jutra? Sadysta”.

- Cześć, Wika. Tu Wojtek. Możemy pogadać?

- Tak - słabym głosem powiedziała Pysiakowska i czym prędzej zamknęła drzwi swojego pokoju. - Masz zamiar znęcać się nade mną nawet w dni wolne od pracy? - nie wiedzieć czemu wyobraziła sobie, że Wojtek siedzi w fotelu inwalidzkim i nie mogła się od tej absurdalnej myśli uwolnić.

- A nie, skąd. Tylko wiesz... głupio mi, że byłem taki złośliwy. Sorry.

Wika o mało co nie odpowiedziała „nie ma za co”, ale na szczęście w porę ugryzła się w język. Ostatecznie burknęła coś niewyraźnie. Jeszcze chwilę gadali o niczym, a gdy tylko wymienili nieśmiertelne „do jutra”, Wika natychmiast poszła do łazienki umyć (na to jutro) włosy. Gdzieś w połowie drugiego płukania zaczęła się zastanawiać: „Skąd on miał mój nowy numer telefonu? Skąd on wiedział, że w ogóle się przeprowadziliśmy?” Zawinęła sobie na głowie wielki turban i zaśpiewała do swojego odbicia, wklepując krem do cery trądzikowej:

Śliczny chłopiec, czego chcesz, czarny wąsik, biała pleć.

Śliczny chłopiec, czego chcesz, czarny wąsik, biała pleć...

Niepotrzebnie tak się starała. Miała nie widzieć Wojtka jeszcze bardzo długo.

*

Wanda i Waldemar Rybaccy wracali razem do domu. Ojciec dźwigał dwie siaty pełne warzyw, a mama fioletowe marcinki, które kojarzyły się jej z ogródkiem w Podkowie Leśnej i z Kazikiem, który poszedł do wojska na Hel i wtedy wreszcie ojciec, za namową swego kumpla, Mariusza Gwidosa, odważył się do mamy zagadać.

Już od progu Diupa z wielkim zainteresowaniem zaczęła dobierać się do siatek z zakupami.

- Poczekaj, zaraz będzie obiad! - upomniała ją mama.
- Mówisz do niej jak do dziecka - zauważył ojciec.
- Byłam dziś w księgarni i kupiłam książkę o papugach. Do nich trzeba mówić, bo inaczej robią się osowiałe i dziwaczają.
- Do każdego trzeba mówić, bo inaczej robi się osowiały i dziwaczaje - wtrącił ojciec.
- A poza tym, trzeba jej zrobić klatkę, huśtawkę, powiesić liny do wspinania i zamontować nieokorowane gałęzie. Chodź ze mną, to coś zobaczysz - Wanda poprowadziła swojego męża na mały obchód po mieszkaniu. Pod oknami walały się nadgryzione liście. Siedzisko papugi nosiło wyraźne ślady sprawdzania siły dzioba, a ziarno porozrzucone było dosłownie wszędzie. Zwłaszcza na kanapie w salonie.

- Widać lubi jeść przed telewizorem - zażartował ojciec. Po chwili dodał już całkiem serio - dostrzegam pewne podobieństwo między efektem jej poczynań, a tym, co w swoich pokojach mają dzieci. Chyba się jeszcze nie przyzwyczaiły do tego, że mają własne pokoje i że same powinny w nich utrzymywać porządek. To mieszkanie jest tak gigantyczne, że jedna osoba mogłaby właściwie nie robić nic innego, tylko przez cały czas sprzątać. I tą osobą niby masz być ty?! Niedoczekanie! Nie może być tak, że to głównie ty jesteś obciążona Diupą!

- Nie może, ale musi.
- Nic nie musi. Siadaj tu i piszemy.
- Co piszemy?
- Regulamin, czego ci nie wolno - i ojciec z mamą stworzyli następujący regulamin:

1. Nie wolno niczego sprzątać po Diupie. Nawet, gdy brzydko pachnie albo się rozkłada, albo nawet już rusza.

2. Zabrania się układać czegokolwiek w pokojach dzieciaków. Obowiązuje wręcz zakaz wchodzenia tam pod ich nieobecność. Za schylenie się po rzucone skarpetki syna należy się kara (wymierza mąż).

3. Nie wolno brać do ręki (bez pisemnej zgody męża) odkurzacza i żelazka. Wolno wstawić pranie, ale nie wolno go rozwieszać.

4. Wolno przerwać dzieciakom każdą działalność, aby poszły po zakupy, wyrzuciły śmieci, zabrały się do robót domowych.

5. Kategorycznie nakazuje się zajmować sobą, poświęcać czas sobie i nie brać na siebie żadnych problemów poza swoimi.

6. Pod karą braku czułości ze strony męża nie wolno robić zakupów, wolno tylko na kartce spisywać, co trzeba kupić.

Regulamin wchodzi w życie z dniem sporządzenia.

- Myślę, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty. Masz jakąś zupkę, bo coś bym zjadł, a potem chciałbym uszczelnić prysznic silikonem. Czuję się dziś znakomicie i mam zamiar to wykorzystać. To co, jemy?

- To gotować wolno?
- Wolno - dobrodusznie zgodził się ojciec - ale zmywanie wykluczone!
- To co ja mam robić? - bezradnie zapytała mama.
- Zająć się sobą.

Zająć się sobą. W porządku. Tylko jak to zrobić po dziewiętnastu latach prowadzenia domu?

- Diupa, chodź tu, chodź do mnie! O tak. Jak ja mam się zająć sobą, co?

Wzięła ptaka na ramię i poszła do pokoju Wiktora. Po chwili usłyszała, że Waldek odkurza, podśpiewując ballady Okudźawy. Chwilę mu pozazdrościła, po czym, zupełnie odruchowo, włączyła komputer.

Chciała sobie postawić pasjansa, ale wyraźnie jej nie szło. Wyłączyła komputer. Popatrzyła na ptaka, który wtulił sobie głowę w pióra i zasnął na poręczu krzesła. Przez chwilę oglądała jej bajecznie jaskrawe upierzenie, gdy nagle doznała olśnienia. Już wiedziała, co ze sobą zrobić.

- Spróbuję, a co mi szkodzi! - znów włączyła komputer. Otworzyła nowy dokument. Zaczęła pisać. Ot tak, dla siebie.

*

Piątego listopada Wojtka nie było w szkole. Wika trochę pożałowała, że wstała tak wcześnie, żeby wyprasować džinsy, zamiast je po prostu założyć i poczekać, aż rozprostują się na niej. Pożałowała tylko trochę, bo miała dziś też angielski, a Wojtek nie był nawet w połowie tak interesujący jak Daniel.

Od razu po lekcjach zaciągnęła Darię na ulicę Konwiktorską do Polskiego Związku Niewidomych. Bardzo przyjazna pani wysłuchiwała ich nieco podejrzliwie, po czym wyraziła szczerze uznanie dla ich inicjatywy i podała kilkusetstronicowy spis.

- Macie tu, dziewczynki, spis, ulicami. I tak wybierajcie, bo jak będziecie miały za daleko, to szybko wam się znudzi. Więc szukajcie blisko siebie. Najlepiej na tej samej ulicy.

- Przy mojej ulicy raczej nie mieszka żaden niewidomy - zauważyła Wika.

- Dziecko kochane, żebyś się tylko nie zdziwiła.

I rzeczywiście, przy Bartniczej były aż trzy adresy, z czego jeden dokładnie w bloku obok. Pani od razu zadzwoniła, by zapytać, czy może dać Wice adres. Pysiakowska postanowiła pójść tam po angielskim. Przed zajęciami Daniel podszedł do Wiki tak blisko, że przez rękaw bluzy poczuła jego ciepło. Musiałaby być ślepa, żeby nie widzieć, jak się stara. Dał jej nawet połowę jabłka. Ale najważniejsze, że zapytał, czy może ją odprowadzić.

Może, może. Jasne, że może!

*

- ... i wuj wszystko nagrywa na dyktafon?

- Tak. Od lat tak robi. Zbiera nie tylko anegdotki i dowcipy, ale też nasze głosy. Kiedyś Wiktor, mój starszy brat, przyszedł do domu z jakąś nimfą bagienną, a wuj akurat wygrzebał jego nagranie, gdy miał sześć lat. Dziewczyna nie mogła uwierzyć, że ten dziecinny głosik, to on, jej Wiktor Wspaniały.

- To śmieszne, że rodzice nazwali was Wiktoria i Wiktor.

- My też im to mówimy, ale oni zawsze twierdzą, że powinniśmy być im wdzięczni, że nie Jaś i Małgosia.

- ... albo Jacuś i Agatka.

- ... albo Laura i Filonek.

- ... albo Romek i Julka.

- Romek i Julka przeraża mnie najbardziej... sam widzisz, że mogli gorzej.

- Mnie mama nazwała Daniel... to po aktorze. Ona go uwielbia. Gdybym był dziewczynką, to ojciec wybrałby Polę. Też po jakiejś aktorce - powiedział i mimochodem położył rękę na ramieniu Wiki...

Kiedy chwilę później Wika mówiła mu, że idzie teraz poczytać niewidomemu książkę, zauważyła, że zrobiło to na nim piorunujące wrażenie.

- Wika, takich dziewczyn jak ty dziś już nie ma!
- Są, są - powiedziała z przekonaniem, ale komplement namalował na jej twarzy spore rumieńce.
- To cześć - wyciągnęli do siebie ręce. Daniel przytrzymał dłoń Wiki dłużej o ten ułamek sekundy, który tylko zakochani umieją wychwycić, i mimo iż trwał tak krótko, spowodował, że Wika wchodziła na ósme piętro, skacząc po dwa stopnie.

*

Damroka była umówiona z chłopakiem od papugi, a raczej od żuka, o drugiej. Miała jeszcze godzinę i zamierzała wykorzystać ją na to, by odpowiednio się do spotkania przygotować. Spojrzała jeszcze raz na wybrane wczoraj ubrania. Czarny golf, haftowana w tureckie wzory kamizelka i rozszerzane spodnie. W porządku. Teraz ona sama.

Energicznie pochyliła się do przodu i zaczęła szczotkować włosy. Spięła je w kok na czubku głowy. Potem starannie naniosła na twarz fluid, beżowy cień na powieki, potraktowała rzęsy podwójną porcją tuszu i zabrała się za paznokcie. Miała zamiar użyć lekko fioletowego lakieru, żeby pasował do wzorku na kamizelce.

Kiedy skończyła, była za dwadzieścia druga. Oceniała w lustrze całość swojego dzieła. „Tragedia. Czterdziestoletnia sprzedawczyni z bazaru”.

Przez chwilę patrzyła na nie swoje odbicie i rzuciła się do kranu. „Co ty robisz, idiotko? Rozum ci odebrało?”. Namydliła gąbkę i z pasją zaczęła szorować twarz.

Punktualnie o drugiej była przy wejściu do ZOO. Prawe oko ciągle łzawiło i było bardzo czerwone (na skutek niedawnego kontaktu z mydłem), a twarz błyszczała od kremu do cery wrażliwej. Paznokcie schowała w czerwone, wysadzone na wierzchu malutkimi koralikami rękawiczki i nie miała zamiaru ich ujawniać. Zanim złapała oddech, oko przestało ją piec. Było już dziesięć po drugiej. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że tylko ona jedna mogła pomyśleć o tym wejściu. Przecież główne jest to od Ratuszowej.

O tym przy moście Gdańskim mało kto wie. Ona zna je doskonale, bo kiedy była mała, mama bardzo często zabierała ją na spacer do ZOO, ale chłopak, z którym się umówiła, na pewno nie ma o nim zielonego pojęcia. „Co za idiotka ze mnie!” Czym prędzej kupiła bilet ulgowy i pognęła przez ZOO. Miała przed sobą dobre dwa kilometry.

*

Żuk zrobił się ciepły. Teraz zaczynał być już nawet wilgotny. Wiktor międlął go w rękę jak talizman. Niedziałający talizman. „Mogła chociaż przyjść po żuka. Po żuka? Jesteś debilem - żuka to może sobie kupić drugiego. Ciekawe skąd ona go ma? Pewnie dostała od jakiegoś chłopaka. Chociaż, gdyby dostała go od chłopaka, to tak łatwo by go nie oddała. Ale może już nie jest z tym chłopakiem i dlatego tak łatwo jej to przyszło. Może to on ją rzucił? A jeśli ona ma chłopaka?”

Wiktor poczuł, że zaczyna boleć go głowa. „No, trudno. Coś się po prostu nie zaczęło, więc przynajmniej się nie skończy”. Schował żuka do kieszeni i założył czapkę. Było mu zimno. A dwadzieścia po drugiej było już jasne, że może spokojnie zniszczyć swoją perfekcyjną fryzurę.

Gdyby postać jeszcze półtorej minuty, zadyszana Damroka wpadłaby prosto na niego, ale on ze smętną miną kupił bilet i od razu przy flamingach skręcił w prawo, potem w lewo i zatrzymał się przy papugach. Były tam dwie identyczne jak Diupa Ary ararauny. Żółte brzuchy, turkusowe skrzydła, lekko zielone główki. Bajeczne. Wiktor na próbę ostrożnie wysunął żuka z kieszeni, ale widząc, jak zerwały się i natychmiast przyczepiły do kraty, skrzeczając w niebogłosy, schował go czym prędzej.

*

- Mam do wyboru, biegać jak szalona po całym ZOO albo wrócić do domu - Damroka podejmowała życiową decyzję.

Postanowiła pobiegać.

Okrążyła flamingi od lewej strony i już z daleka zobaczyła jakiegoś chłopaka, krzyczącego do papug „Ara, ara!”. Może to on? Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętała jak wyglądał jej znajomy z tramwaju. Miała cichą nadzieję, że się domyśli i przypnie sobie żuka, żeby go mogła rozpoznać. Cała sytuacja zaczynała ją bawić. I już myślała, jak opowie wszystko Biljanie.

- Hej! - zabrakło jej tchu, więc zamachała beztrzesko ręką w czerwonej rękawiczce. - To ty?

Chłopak odwrócił się z bardzo głupią miną.

- Słyszałeś... o papudze... co wyfrunęła... z tramwaju?

- Ach, to ty. Myślałem, że nie... to znaczy... poszedłem, bo było już... cześć! - uradował się szczerze Wiktor.

- Słuchaj, ja... pomyliłam wejścia, ba ja... mieszkam... - ledwo łapała oddech. - Damroka - wyciągnęła do niego rękę w bardzo zasadniczym geście. Potrzymała ją chwilę w powietrzu i, zanim Wiktor zdążył coś zrobić czy powiedzieć, schowała za siebie.

- Ach te paznokcie, cholera!

- Słucham?

- Nic, nic... Jak ci na imię?

- Wiktor.

- Żartujesz? Wiktor?

- Czemu cię to dziwi?

- Myślałam, że Piotrek albo Paweł, nie śmiałam przypuszczać, że Wiktor.

- Czyli myślałaś o mnie?

- Oj, proszę cię, męczy mnie bardzo ten rodzaj konwersacji. To, że leciałam tu z wywieszonym językiem jeszcze nie znaczy, że chce mi się z tobą tak głupio gadać. Leciałam, bo nie lubię się spóźniać i... w ogóle to fajnie tak latać i kogoś szukać. Dużo ciekawsze niż po prostu przyjść, gdy ten ktoś już jest.

- Sorry, to gadanie już się nie powtórzy. Fajnie wyglądasz. Tak normalnie. Wiesz, ja też myślałam, jak ty będziesz wyglądać...

- I co?

- Nie jestem zadowolony. Nie dziw się. Dawno już zauważyłem, że im większą wagę dziewczyny przywiązują do jakiegoś wyjścia, tym gorzej wyglądają. Prześledziłem to dokładnie na przykładzie mojej siostry i mamy. Kiedy po prostu gdzieś idą - myją ręce i wychodzą, ale gdy się gdzieś szykują - malują się, robią coś takiego ze sobą, że wyglądają znacznie gorzej niż na co dzień. Zawsze mam wrażenie, że w operze moja mama czuje się źle, na imprezę siostra robi sobie na twarzy coś takiego, że mam ochotę wzywać pogotowie. Chyba wpadłem w słowotok... Z czego się śmiejesz? Kobietom w ogóle nie powinno się mówić, że gdzieś wychodzą, bo wtedy wyglądają najgorzej. Dlatego jestem rozczarowany brakiem czerwonych warg i niebieskiej farby na oczach, wtedy poczułbym się dowartościowany jako mężczyzna.

- Oj, szkoda, że nie widziałeś mnie wcześniej. Dowartościowałbyś się. Właśnie tak wyglądałam.

- Naprawdę? To według mojej teorii znaczy, że troszeczkę ci zależało.

- No... może trochę. Wiesz, pierwsze wrażenie i te rzeczy. To znaczy... w naszym przypadku drugie.

Z trudem oderwali się od papug. Wiktor za nic nie chciał uwierzyć, że imię Damroka w ogóle istnieje. Uwierzył dopiero, kiedy zobaczył legitymację szkolną na nazwisko Damroka

Anna Czerdesz i czywiście podejrzwał jej datę urodzenia. Potem wspólnie rozważali, jak Diupa odnalazła ich na Bartniczej. I tak dotarli do szympansów.

- Masz mojego żuka?

- Jasne. Zaraz ci pokażę, jak wyszedł. Napracowałem... to znaczy, nie było z nim żadnego kłopotu. Ale krzywo go przypięłaś, daj. Nie po to tyle się nad nim nasiedziałem, żeby teraz wisiał tak krzywo.

- Tylko mnie nie ukłuj.

Stanęli pod klatką. Damroka znieruchomiała jak żona Lota, a Wiktor zaczął nerwowo gryźć dolną wargę. „Ależ ona genialnie pachnie!” - pomyślał, gdy poczuł zapach kremu dla cery wrażliwej. Ręce trzęsły mu się niemiłosiernie.

- Zimno ci?

- Nie. Powód jest całkiem inny.

- Ale proszę, nie mów... - popatrzyła na niego bardzo ciepło. - Patrz, jakie te szympansy są nieszczęśliwe.

- „Uwaga! Zwierzęta rzucają odchodami” - przeczytał Wiktor. - Ale kapucynki, to już całkiem co innego.

Zatrzymali się na wprost dużego wybiegu dla kapucynek. Mieli do dyspozycji dwudziestometrową poręcz, ale stanęli jedno obok drugiego. Ich kurtki stale szeleściły, ocierając się jedna o drugą.

- Dla nich te kraty nie istnieją. Zobacz, jak się przytuliły. Wręcz splotły. One chyba są szczęśliwe - snuł rozważania Wiktor.

- Ja myślę, że się kochają.

- Kpisz?

- Nie. Jeśli nie widzą krat i są szczęśliwe w niewoli, to to musi być miłość. Tak samo jest z ludźmi. Co za różnica, gdzie są, co się dzieje. Mogą nie mieć nic. Miłość to taki wypełniacz. Zastępuje wszystko.

Wiktor popatrzył na Damrokę i dotarło do niego, że jest niesamowicie ładna. Szkoda, że jej tego nie powiedział. Damroka od lat miała nie najgorsze mniemanie o tym, co ma w głowie, ale wygląd... Najchętniej zmieniłaby w nim... wszystko.

Idąc do gadiarni, gdzie akurat była czasowa wystawa motyli, Wiktor wyciągnął z kieszeni kurtki pokruszoną do granic przyzwoitości szarlotkę.

- Kto piekł? Genialna! - powiedziała Damroka z pełną buzią.

- Szkoda, że nie mogę cię rzucić na kolana i powiedzieć, że to ja. Ciotka piekła. Zresztą nie wiem. Jesienią wszystkie kobiety w naszej rodzinie pieką szarlotki.

- Możesz rzucić. Po prostu następnym razem ty upiecz - powiedziała z niewinną miną.

- Nie obraż się, ale jako berbecia ojciec upuścił mnie na podłogę i cierpię na okresowy niedosłuch. Czy dobrze usłyszałem: „następnym razem”?

- Słuchaj Wiktor, dobrze nam się gada, ty chyba też tak sądzisz - Wiktor z zapalem kiwnął głową. - A ja znam stosunkowo mało osób, z którymi mi się dobrze gada, dlatego tak łatwo się mnie nie pozbędiesz.

- Możesz się śmiać, ale ta randka przeszła moje najśmielsze oczeki...

- Randka? Ja nie przyszedłam na randkę. Przyszedłam po żuka. Brzydzę się randkami. Tym głupim gadaniem, udawaniem, graniem kogoś. Ja przyszedłam poznać nowego człowieka.

Wiktor aż otworzył usta. To było coś! „Przyszedła poznać człowieka. Mnie”.

*

Warszawskie ZOO może rzeczywiście nie jest najmniejsze, ale żeby oglądanie zwierząt zabrało komuś cztery godziny, to nieco dziwne. Damroka i Wiktor najdłużej zabawili przy żubrach. Te gigantyczne zwierzaki mają ogromne, szare, suche jak papier ścierny języki i uwielbiają pożółkłe liście klonu. Kiedy podczas karmienia jeden z nich mało co nie zgarnął

razem z roślinami rękawiczki Damroki, ta tym prędzej ją zdjęła. Zupełnie zapomniała o fioletowym lakierze.

- Jaka to przyjemność kogoś karmić - wyznał Wiktor. - Zaczynam rozumieć swojego ojca. On uwielbia pichcić i potem nas tym częstować. Odkąd wiadomo, że jest chory, ciągle coś robi dla nas i dla siebie.

- Twój ojciec jest chory? - Damroka uważnie na niego spojrzała.

- Tak. Serce.

- To poważne?

Wiktor kiwnął głową.

- Jak to serce.

- Ja bym się kompletnie załamała, gdyby mojej mamie coś było. Załamuje mnie już sama myśl o tym.

- Próbowałem z tym załamaniem. Jakies dwa lata temu. Obraziłem się na wszystkich i wszystko. Zawaliłem szkołę, treningi - całość. Tylko, że to nic nie dało. Nie pomogło. Od tego ojciec nie wyzdrowiał.

- I co?

- Z chorym sercem ludzie żyją latami, więc robię tak, jak on: żyję, jak umiem najlepiej.

Wiktor nie lubił się zwierzać, więc teraz bardzo się zdziwił, że to wszystko powiedział. I to obcej dziewczynie. Dziewczyny zawsze go onieśmiały. Nawet te, które znał od lat z treningów - trochę się ich bał. „Co mi się stało?” - zapatrzył się w wielkie pyski mlaszczących zubrów.

Damroka przyniosła jeszcze jedną sporą porcję klonu i wyraźnie patrzyła gdzieś obok.

- Co cię tak zainteresowało?

- Patrz na te dzieciaki, ale im dobrze - w dużej kupie liści tarzały się trzy brzdące, a mamy z zapałem je fotografowały.

- Przecież i ty tak możesz.

- Wiesz co? Poczekajmy chwilę, aż sobie pójdą.

I kiedy tylko mamy zgarnęły swoje dzieci do wózków i oddaliły się w stronę wyjścia, Damroka z radością rzuciła się w liście, śmiejąc się przy tym jak opętana.

- Nareszcie! W parku zawsze mam na to ochotę, ale boję się psych odchodów. No chodź! - obrzuciła Wiktora liśćmi. - Korona ci z głowy nie spadnie, najwyżej czapka.

Chwilę porzucali się liśćmi, po czym nogami zagarnęli je znów na kupkę. Wiktor przypomniał sobie swoje marne próby umawiania się z dziewczynami i to uporczywe wrażenie, że robi z siebie idiotę. To milczące chodzenie bez celu i udawanie mądrzejszego niż się jest. Roześmiał się do swoich myśli.

- Umiesz się bawić, bez dwóch zdań.

- Po prostu już dawno zrozumiałam, że każda chwila jest... nie chcę być patetyczna, ale jak z niej teraz nie skorzystam, to już nigdy.

- Czyli *carpe diem*.

- Tak, tylko bez tej otoczki filozoficznej. Po prostu. Tyle mam problemów, że muszę je jakoś równoważyć.

- A jakie ty masz problemy?

- Żadnych, tak mi się powiedziało. Ale fakt, lubię żyć.

„Lubi żyć, przyszła poznać człowieka”. Postanowił kupić coś Diupie. Z podziękowaniami.

W końcu wyszli tym drugim wyjściem, od Wybrzeża Kościuszkowskiego.

- Damroka, wiesz... zanim się... wiesz, pamiętam co tam mówiłaś przy tych małpach. Ja chciałem ci powiedzieć, że mnie zawsze ZOO nudziło. Nigdy bym nie przypuszczał, że tu może być tak fajnie. Wiesz o co mi chodzi?

- Chyba wiem - bardzo ostrożnie powiedziała Damroka. - Następnym razem, o znów ten następny raz, zamknijemy się we dwoje w lochu pełnym szczurów i jeśli też będzie fajnie, to...
- To wtedy będziemy wiedzieli. Chociaż ja już wiem.

I Wiktor bardzo mocno zaplótł palce. Gdyby tego nie zrobił, z pewnością przytuliłby Damrokę.

*

- Synu marnotrawny, gdzie byłeś? - ojciec montował Diupie sznur zwisający z sufitu do podłogi, żeby miała się na czym huścić.

- Byłem w ZOO.

Ojciec z wrażenia odłożył wiertarkę udarową.

- Synu, czy czujesz się zaniedbywany? Czy matka powinna ci czytać na głos albo coś w tym rodzaju?

Wiktor ściągnął buty i z łazienki, myjąc ręce, odkrzyknął ojcu:

- Tak, o to mi chodzi. Tato, jesteś genialny. Skończyłeś?

- Tak. Tylko zbiorę narzędzia.

- Wiem już, czego mi potrzeba. W Ojcu chrzestnym jest taki rozdział, o tym, jak Michael został rażony piorunem i w ten sposób zakochał się w Apolonii. Wiesz, ja myślałem, że to bzdura.

- I co?

- Zmieniłem zdanie.

- Synu, czy zakochałeś się w żyrafie?

Dziesięć minut później ojciec, rozłożony na kanapie, czytał Wiktorowi przywołany przez niego fragment. Bał się, że po usunięciu z klubu syn będzie smutny i markotny. Widząc jednak, z jakim apetytem pożera mielone z ziemniakami i marchewką, czuł dumę, że z syna taki twardy gość. W ogóle nie brał pod uwagę, że od czasu rozmowy z trenerem Wiktor zapomniał o całej sprawie. Nie mówiąc już o stroju.

Diupa, ignorując zarówno świeżo zamontowaną linę, jak i dwa piękne stojaki, bujała się na oparciu krzesła i ze szczerym zainteresowaniem słuchała rozdziału o Michaelu i Apolonii. Znała problem rażenia piorunem. W zeszłym roku poznała pewnego gwarka...

Mama, zwabiona głosem swego męża, przysiadła się, żeby też posłuchać. Ojciec czytał przez piętnaście minut. Rozanielony Wiktor nawet nie zauważył, jak mama wyciągnęła z niego szczegółły dzisiejszego wypadu do ZOO.

- Czyli jak ona ma na imię?

- Mamo, Damroka.

- Czekaj, ja to sobie zapiszę. A rękawiczki miała?

- Miała. Czerwone. Nie pytasz jak wygląda, do której chodzi klasy, czy się dobrze uczy i kim jest jej ojciec, a pytasz, czy miała rękawiczki? O co ci chodzi?

Ale mama nie miała zamiaru mu się zwierzać i, wstydząc się przyznać, że ostatnio takie szczegóły bardzo ją zajmują, czym prędzej zmieniła temat.

- A gdzie tak późno włączy się Pysiakowska?

*

Wika stanęła na chwilę, żeby złapać oddech. Poczwała na własnej skórze, co to właściwie znaczy, że kogoś rozpira energia. Postanowiła przez chwilę się skupić. Wiedziała, tak czuła, że to spotkanie nie będzie łatwe. „Niewidomi to bardzo wymagający i dziwni ludzie. Trudno z nimi nawiązać kontakt. Przebywają głównie w swoim towarzystwie i są najdziwniejszymi z dziwaków. Wymagają pomocy przy najprostszych czynnościach. Zasługują na pomoc. I na współczucie”.

Po pierwsze zdziwiło ją, że przez wizjer sączyło się światło. „Po do niewidomy pali światło?” Jeszcze raz sprawdziła adres. Zgadzał się.

Zapukała.

- Kto tam? - głos był męski, rażny, jakiś taki za zdrowy. Przez zamknięte drzwi wypytał Pysiakovską: kim jest, czego chce, a zanim otworzył, dwa razy upewnił się, że to na pewno Wiktoria Rybacka.

Drzwi były zablokowane łańcuchem. Zza nich wyjrzał bardzo elegancki pan; to prawda, że w ciemnych okularach, ale zadbany, ogolony i w butach. Nie w kapciach. Krótką chwilę stał i jakby wpatrywał się w Pysiakovską, po czym zdjął łańcuch i wpuścił ją do środka.

Wika od razu pożałowała, że nie powiedziała rodzinie, dokąd idzie.

- Czy twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś? Już siódma.

Na szczęście była na tyle przytomna, żeby skłamać:

- Tak, rodzice mają adres, a brat czeka na mnie pod blokiem. My tu blisko mieszkamy.

Bardzo blisko.

Niewidomy odebrał z jej rąk kurtkę i bardzo zręcznie powiesił na wieszaku, a potem jeszcze wygładził, jakby chciał strzepnąć niewidoczny pyłek.

- Zapraszam dalej. Mam nadzieję, że nie odmówisz mi filiżanki herbaty. Czekałem z nią specjalnie na ciebie, bo Stenia, sekretarka z PZN-u zadzwoniła do mnie jeszcze raz po twoim wyjściu i powiedziała, kiedy przyjdiesz. To bardzo życzliwa osoba. Więc co z herbatą?

- Tak, proszę.

Wika była już pewna. „Jak on robi herbatę? Niewidomy! Jak włączy gaz? No jak? To nie jest niewidomy”. Wniosek był prosty. Mężczyzna nagle odwrócił się.

- Nie stój tak w przedpokoju, zapraszam na moje skromne włości.

Wika weszła głębiej. W mieszkaniu panowała sterylna czystość.

Meble były stare lub wyglądały na stare, tego Wika nie umiała ocenić, a na dwóch małych stolikach paliły się lampki, dając ciepłe, pomarańczowe światło. Było bardzo przytulnie.

- Pięknie cię rodzice nazwali. Wiktoria to rzadkie dziś imię.

- Mam koleżankę Darię. Szukamy dziewczyn o dziwnych imionach. Właściwie to chcemy stworzyć coś w rodzaju klubu. Jego członkinie będą musiały nosić wyłącznie dziwne i rzadkie imiona.

- Ciekawy pomysł. Słodzisz? - pewnie sięgnął po cukierniczkę i wyciągnął naczynko dokładnie w jej kierunku. Wika poczuła, że się poci.

„Skąd wiedział, gdzie ja siedzę? Widział. Oszukiwał. Ale po co? Na pewno ma złe zamiary”. Podziękowała za cukier i z przejęcia dotkliwie poparzyła sobie wargi aromatycznym napojem.

- Droga Wiktorio, mogę się tak do ciebie zwracać? Chcesz, jak mi przedłożono, zabawiać mnie czytaniem. Czy tak?

- Tak - że też nie mogła się zgłosić do grabienia trawników albo pracy przy trędownych. „W co ja się wpakowałam?”

- Czy przyniosłaś jakąś książkę?

- Nie. Zupełnie o tym nie pomyślałam. Ja dopiero dziś podjęłam tę decyzję...

- Czy wobec tego, zamiast czytania, mogłabyś opowiedzieć mi coś o sobie?

- To raczej nie będzie ciekawa opowieść. Zanudzę pana.

- W tym względzie moglibyśmy się policytować. Czy to tobie tak zaburzało w brzuchu?

- Tak, ale to nic... - przez Daniela zupełnie zapomniała zajrzeć najpierw do domu. „Zostałam ukarana za pychę. Tak się chciałam przed nim popisać, no to teraz mam”.

- Zrobisz mi prawdziwą przyjemność, jeśli pozwolisz się poczęstować barszczem mojej roboty. Bardzo się nad nim napracowałam, ale byłbym się bardziej przyłożył, gdybym

wiedział, że będę miał zaszczyt gościć taką miłą osobkę. Czy możesz pójść ze mną do kuchni i wybrać dla siebie naczynie?

Wika na miękkich nogach poszła za niewidomym i poczuła się bardzo głupio. Patrzyła, jak pan Henryk Maciejewski wszystkiego dotyka. Każdą rzecz pewnie, ale też bardzo ostrożnie bierze do ręki. Patrzyła na jego sprawne ruchy. Zamachała ręką za jego plecami, ale nie zareagował. Zrobiła tuż przed nim kilka kretyńskich min i po braku reakcji poczuła się jak ostatnia idiotka.

- Przyglądasz mi się. Cała tajemnica polega na tym, żeby wszystkie rzeczy odkładać na miejsce. To cały sekret.

- Woda do imbryka... skąd wiadomo, ile jej nalać? - śmiało zapytała Pysiakowska.

- Po odgłosie. Więcej wody - inny dźwięk. Zresztą, robię to po prostu na wycucie, tak jak doświadczona gospodyni, która robiąc ciasto nie musi zaglądać do przepisu. Ale dopiero teraz jestem taki mądry. Prawda jest taka, że jak się trzy razy nie sparzysz, to się nie nauczysz.

- Trzy razy się sparzysz... muszę szybko wziąć się za życie, żeby już te poparzenia mieć za sobą. A może nie każdy musi się parzyć?

- Ale jak wtedy doceni smak szczęścia? Ja ci z całego serca życzę tych trzech razów na początek.

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu - Wika zachłannie jadła barszcz - że nie rozmawiamy w ogóle o czynnościach kulinarnych.

- Dobra rozmowa polega na tym, że każdy widzi w niej to, co powinien i niekoniecznie każdy to samo. Czy mogę zaproponować dokładkę?

- Bałam się, że pan nie zapyta. Ale skąd pan wiedział... że skończyłam.

- Pamiętaj, Wiktorio: słyhać prawie wszystko.

Roześmiali się oboje. I wtedy Wika zobaczyła, że na biurku leży bardzo krótka, chyba składana, biała laska. Ale pan Henryk ani razu się nią nie posłużył. „Na pewno leży na miejscu” - pomyślała Wika.

- Szkoda, że ja wszystkiego nie słyszę.

- Słyszysz, ale nie wykorzystujesz tego, bo nie musisz. Oczy wystarczają ci za wszystko.

Pan Maciejewski był emerytowanym nauczycielem fizyki. Uczył w szkole dla niewidomych przez trzydzieści lat. Znał wiele anegdot i sypał nimi jak z rękawa, więc Wika, niejako w rewanżu, już drugi raz w ciągu tego dnia mogła opowiedzieć o wuju Piotrze i jego hobby.

- Jeśli kiedyś zrobisz mi ten zaszczyt i poznasz ze swoją rodziną... niepotrzebnie to powiedziałem - pan Henryk zamilkł na dłuższą chwilę. - Nie bierz tego do siebie i nie oceniaj mnie jako zgorzkniałego starca, ale u mnie, i chyba u każdego niewidomego, było już tysiące osób, niestety tylko raz. Proszę cię, dziecko: nic nie mów. Nie pozwolę, żeby tak miła paniuszka miała zepsuty wieczór. Jestem od ciebie nieznacznie starszy i wiem, że bardzo trudno pomagać komuś z konieczności. Zawsze wtedy wypada coś ważnego.

Kiedy się żegnali, Wika była już całkiem rozluźniona.

- Tylko następnym razem wchodź od razu. Nie stój tak długo pod drzwiami, bo znowu pomyślę, że zainteresowali się mną złodzieje. Dziwisz się, skąd wiem. Ja słyszę. Może trochę więcej niż inni.

- Dziękuję za wspaniały wieczór.

Pan Maciejewski podał jej rękę i lekko pogłaskał po łokciu.

*

Okolo drugiej ordynator kazał zadzwonić po chirurga plastycznego. Bał się zabierać za twarz bez konsultacji. Był starszym, doświadczonym lekarzem i wiedział, że należy dmuchać

na zimne. Napatrzył się w swoim życiu na poparzenia, ale to było wyjątkowo paskudne. No i ucho. Był niemal pewien, że nie da się go uratować, ale z decyzją o amputacji chciał poczekać do pojawienia się kogoś z plastycznej. Na to zawsze będzie czas. Nie miał żadnych informacji o pacjencie, nie poznał jeszcze jego rodziny. Ale wiedział doskonale, że czasem pacjenci zdrowieją jakimś cudem, że tylko od nich zależy, czy potrafią znaleźć w sobie siły, żeby wyzdrowieć.

Ordynator usłyszał cichutkie skrzypnięcie drzwi. Bez słowa kiwnął głową. I również bez słowa dwaj lekarze pochylili się nad nieprzytomnym pacjentem.

Rozdział 3

W środku nocy u Rybackich zadzwonił telefon. To była babcia. Drżącym głosem przeprosiła zięcia, że tak późno i w ogóle.

- Mamo, czy coś się stało? Ja zaraz po mamę przyjadę.
- A nie, ja tylko tak... Wiesz, okazało się, że on ma żonę...
- Kto?
- Dzielnicowy. Co za dwulicowa jaszczurka z tego podłego węża!
- Mamo, tacy są mężczyźni - Waldek ziewnął rozdzierająco.
- Marnie mnie pocieszasz. A jak moja córeczka? Dobrze się czuje, nic się jeszcze nie dzieje? Przepraszam za tę pobudkę, ale tak mi smutno...

- Mamo, w porządku. Może wpadniesz do nas na trochę? Miejsca nie brakuje, ja po ciebie przyjadę. Jutro? To jest dziś, dobrze? Co będziesz sama siedzieć.

- Wiesz, jesteś kochany, że mi to proponujesz. Teraz to nawet się przydam. Przybędzie wam nowych obowiązków. Przyjadę. Wiesz, mam dla ciebie dowcip. Nagrywaj.

I zanim do ojca dotarło, że teściowa myli go z drugim zięciem, babcia wypaliła:

- „Co by pan zrobił, gdyby dzik napadł pańską żonę?”. „Nic bym nie zrobił. Sam ją napadł, to niech się sam broni”.

*

Mama zamówiła wizytę u ortodonta w godzinach rannych. Uważała, że jest to w końcu sprawa takiej wagi, iż fakt, że ona i córka opuszczą ten jeden dzień pracy, jest jak najbardziej usprawiedliwiony.

Ciocia Marta, znajoma rodziców na prawach cioci, z uwagą obejrzała zdjęcie rentgenowskie zębów Wiki.

- Kiedy je robiłyście? To świeże zdjęcie?
- Oczywiście, tak jak kazałaś.
- Wika, zapraszam cię jeszcze raz na fotel - ciocia bardzo długo oglądała jej szorowane rano i wieczorem zęby. Kazała jej coś zagryzać, przygryzać. Wyciągnęła nawet coś jakby minisuwmiarkę, którą w zestawie narzędzi miał też ojciec, i bardzo długo się nie odzywała.
- Wandziu, czy ty już z kimś rozmawiałaś na temat aparatu?
- Nie. Przyszłam prosto do ciebie. Wiesz, nie chcemy zaniedbać dziecka.
- Tak... No, przełknij ślinę i jeszcze raz.
- Jest bardzo źle, prawda? Ale to można jeszcze chyba naprawić? - mama miętosiła uszy swojej torebki. - Nie oszczędzaj na nas. Jesteśmy przygotowani, finansowo również.
- Tak? To może byście sobie pojechali na wycieczkę. I tak już przecież odżałowaliście te pieniądze.
- Czyli ocknęłyśmy się za późno, tak? Wiedziałam! Czułam to! Wszystkie koleżanki już pozakładały swoim dzieciom, tylko ja zawsze coś przeoczę. Martusiu, ale już nic nie da się zrobić?

- Nic - ponuro zawyrokowała ciotka, po czym nagle klasnęła sama siebie po udzie - bo wszystko jest dobrze! Bardzo dobrze! Wzorowo!

- Oj, co za ulga! - Wika czym prędzej zeszła z fotela.

- Jak to: „dobrze”? Nic nie trzeba poprawiać?

- Nic.

- Niemożliwe.

- No widzisz, a jednak.

- Ciociu, a jak się ma taki aparat, to nie można się całować, prawda?

- Można. Kto ci powiedział, że nie?

- Milena mi mówiła.

- Co za bzdura. Ta moja córka to straszna sensatka.

- Wika, bądź poważna. Martusiu, może ty się mylisz? - mama nerwowo zaplatała ręce na uszach torebki.

- Ale ciociu, to jest na pewno niewyczuwalne? Bo Milena strasznie mnie nastraszyła.

- Dziecko! Z takim aparatem możesz się całować, ile chcesz. Nawet on może mieć aparat. Wandziu, to jest dobra wiadomość, nie zła. Idźcie do biura podróży i wykupcie dla całej czwórki wycieczkę na kilka dni. No, głowa do góry!

Kiedy Wika z mamą wyszły z gabinetu, oswiała Wanda wcisnęła do torby zdjęcie zębów córki.

- I co zrobimy z tymi pieniędzmi, mamuś? Może ta wycieczka? To byłoby cudnie!

- Nawet o tym nie myśl. Jest tyle potrzeb...

- Jakich?

- Różnych. Nowe mieszkanie... Wiktorowi trzeba... trzeba... no... jest masa potrzeb.

- Mamuś, mamuś! No, rozchmurz się. Przepraszam, że mam proste zęby - wzięła mamę pod ramię i przytuliła się do niej.

- Ty złośliwce... masz rację. Muszę ciągle walczyć z tą swoją nadgorliwością. I widzisz, nie udaje mi się. To chodź, pojedźmy kupić sobie jakieś ciuchy.

- A potrzeby?

- E, zawsze i tak będą nowe. To dokąd jedziemy?

*

Waldek Rybacki właśnie karmił swoje skalary, gdy zadzwonił telefon.

- Słucham?

- Ja z ogłoszenia.

- Tak?

- Kiedy można przyjść po zwierzę?

- Kiedy? - Waldek podrapał się po czole. Jakoś nie wyobrażał sobie oddania Diupy. -

No, w zasadzie...

- Tylko jedno pytanie, czy zwierzę jest spokojne? Bo wie pan...

- Spokojne, o ile umiem to ocenić.

- To świetnie. A kiedy się przyplątało?

- Tuż przed dniem Wszystkich Świętych.

- Dobrze, dobrze. To poproszę adresik.

- Chwileczkę - ojciec poczuł nagle, że nie może tak po prostu oddać Diupy. Wydawało mu się, że właściciel, który odnalazł swoją zgubę, powinien być ucieszony, a nie taki chłodny.

- Wie pan, ja chciałbym być pewien...

- Dobrze, dobrze. Proszę powiedzieć, czy to duży osobnik.

- Tak, spory - ojciec zmierzył wzrokiem śpiącą Diupę.

- A przyjazny?

- Tak, bardzo przyjazny.

- To też się zgadza. A sierść?
- Sierść? - ojciec spojrział w lusterko i przejechał sobie dłonią po włosach. - Sierść zdecydowanie ciemna.
- O, ciemna sierść. A to samiec czy samiczka?
- Samiec oczywiście - ojciec wyprężył się przed lustrem i wciągnął brzuch.
- A co lubi?
- Najbardziej to kawę. A, jeszcze ryby bardzo lubi.
- No to, widzi pan, wszystko się zgadza.
- A na jakie imię reaguje ten spory, przyjazny samiec o ciemnej sierści, co lubi ryby?
- No, na różne. Na różne on reaguje. Właściwie to na każde może zareagować.
- Bo nam tutaj się wydawało, że on reaguje na imię Waldek.
- A taki Waldek! Też reaguje. To kiedy mogą przyjść?
- Panie! Ja mam takie urządzenie, które wyświetla z jakiego pan dzwoni numeru. Zaraz policję do pana wyślę. Po co pan zmyślasz, że to pana zwierzę? Mów pan, ale już! - Waldek nabrał animuszu.

Po chwili wydało się, że dzwoniący dorabia do „bardzo, panie, małej renciny”; dzwoni do ludzi, którzy przygarnęli zwierzaka, podszywa się pod właściciela (co nie jest trudne, bo każdy chce zwierzę jak najszybciej oddać), a potem sam daje ogłoszenie i oddaje zgubę prawdziwym właścicielom. Tyle, że za odpowiednim wynagrodzeniem.

Oburzony Waldek obdzwonił wszystkich, którzy dali podobne do Rybackich ogłoszenie, mówiąc, żeby byli czujni. Okazało się, że trzy osoby są już umówione ze starszym panem na oddanie zwierzaka. Potem poszedł do Wandy i wszystko jej opowiedział.

- Musimy przeredagować to ogłoszenie, żeby inni oszuści, sadyści czy...
- ...właściciele orientalnych restauracji...
- ...właściciele orientalnych restauracji - nie zauważył żartu w głosie żony - nie wydzwaniali po naszą Diupcię.

Jednak takie ogłoszenie musiałoby się sprowadzać do treści: „Przybłąkało się zwierzę. Telefon: 675...” Uczciwość kazała im jednak nic nie zmieniać.

Ogłoszenie jeszcze kilka tygodni ukazywało się w warszawskiej prasie. Jednak, poza tym jednym telefonem, nikt więcej w sprawie Diupy się nie odezwał.

*

- Babciu, dobrze, że cię zastałem. Daj mi przepis na szarlotkę... Jak to nie zrobić? Dlaczego tak sądzisz? Moim zdaniem, nie muszę wiedzieć, że istnieje krupczatka, żeby ją wykorzystać... Babciu... ja? Nie chcę zaimponować żadnej dziewczynie. Po prostu... tak... Tak. Chcę zaimponować dziewczynie, czy to źle? Tak, nareszcie. Ale jesteś złośliwa, wiesz? Nie mogę ci powiedzieć, bo mama, ciocia i Wika podsłuchują. Dobrze, to poczekam na ciebie, ale kiedy wreszcie będziesz...

Wiktor wyniósł się z telefonem do siebie.

- Zakochał się? - zainteresowała się ciocia Krysia.
- Tak. W Damroce - i mama bez skrępowań opowiedziała ciotce i Wice, co wiedziała na temat pewnego spotkania w ZOO.
- Damroka? Super imię. Mój braciszek w końcu kogoś znalazł. Taka lebiega...
- Lebiega? Skocz chociaż raz tak jak on.
- Lebiega uczuciowa, mamuś. Zawsze mi się wydawało, że on się boi moich koleżanek, a tu... zakochał się. Proszę, proszę.
- Każda potwora znajdzie swego amatora - beznamyślnym tonem zauważył Krzysio.
- A na co ty czekasz? - ciocia spojrzała na Wikę.
- Ja? - zdenerwowała się Pysiakowska.
- Uwaga! Widzę rumieniec, widzę!

- Ja też, ja też - dołączył Krzysio.
 Żeby nie dać się ciągnąć za język, Wika czym prędzej zaczęła relacjonować swoje wizyty u pana Henryka.

- ... ale jak to, „poznał”?

- Ciociu, po dotyku. Ja poszłam na łatwiznę. Poprosił o brązowe rękawiczki, bo pasowały mu do płaszcza, a ja ich nigdzie nie widziałam, dlatego podałam mu czarne. On je dotknął, mówię wam, tylko wziął do ręki. Od razu wiedziałam, że poznał, ale on jest taki kulturalny, że nie da nic poznać po sobie. I tylko powiedział „Mógłbym uznać, że to pomyłka, ale po tym, jak cichutko oddychasz, dla twojego dobra, Wiktorio, mówię ci, że to są czarne rękawiczki, a ja prosiłem o brązowe”. Ale mi było głupio!

- Ten pan Henryk to dobra szkoła dla ciebie. A ty mu w ogóle czytasz?

- Tak. Bardzo dużo, ale myślałam, że to będzie Sienkiewicz albo Mickiewicz. A wiecie, co on lubi? *Martwą naturę z wędzidłem* Herberta. A najbardziej - słuchać moich opowieści. Szczególnie o Diupie. Obiecałam mu, że kiedyś ją przytargam, bo chciałby poczuć jej kolory. Tak powiedział.

- Kobitki, zapraszam na obiad - wychylił się z kuchni ojciec w fartuchu z napisem *Szanuj męża swego, możesz mieć gorszego*.

- Ja dziękuję, jadłam u pana Henryka. Pierozki z mięsem.

- Żeby on cię nie adoptował. Zaczynam być zazdrosny. Musimy złożyć temu panu wizytę. Ostatnio wszystko wydaje mi się podejrzanym.

- Tato, a może my... my byśmy go zaprosili. On bardzo lubi wychodzić z domu. Mówił mi, że w każdym domu jest inny zapach i każdy tego zapachu zawsze trochę ma na sobie.

- Zapach domu, powiadasz... - ojciec poklepał się po łysinie.

- Ja też idę, ja też - zdeklarował się Krzysio. - Powiem mu wierszyk:
*Na dużym, żółtym liście w czasie dżdżu,
 Siedziała żaba. Czemu właśnie tu?
 Kontemplowała deszcz, przeżuając perz.*
 Rodzinę zatkało.

- Dlaczego on umie wymawiać dobrze tylko to, co zaleci mu logopeda?

- Żeby to się nie skończyło rozdwojeniem jaźni! - zażartował ojciec. - Czy mój szwagier ściągnie wreszcie? Mam dla niego anegdotkę.

- Powiedz!

- O nie, potem będę musiał powtarzać, a wy już nie będziecie się śmiać.

- Będziemy - obiecała mama.

- Ale to potem słyhać, że to taki śmiech zza kadru. Nie chcę. A ty co? Nie zostajesz na placuszkach?

Wiktor tylko mruknął coś niewyraźnie i rzucił się do drzwi. Wbrew pozorom, Damroka nie zносиła spóźnień.

*

W Zespole Szkół Samochodowych przy Jana Pawła II jest nowo wybudowany basen. Tam właśnie, przed wejściem, umówili się Wiktor i Damroka. Wiktor trochę żałował, że wczoraj, kiedy już rodzina poszła spać, po ciemku (żeby go nie nakryli i nie wyśmiali) robił pompki, przysiady i podciągał się na drążku dla poprawienia muskulatury. Teraz bolało go wszystko. „Nie ma nic gorszego niż sportowiec, który przestał ćwiczyć. Flaczeje od razu” - wiele razy powtarzał mu trener. I teraz się sprawdziło. Chociaż chyba lepiej było być lekko sflaczałym niż tak obolałym. Z trudem powłóczył nogami. Przypomniało mu się, co mówił Damroce o szykowaniu się kobiet na randki. Nie był wcale lepszy. Chciał pogadać z siostrą o tym, dlaczego Damroka umówiła się na basenie. To było dziwne. Dziewczyny, które znał, zawsze panicznie bały się pokazywania w kostiumie i w czepku. Damroka była inna. Wysiadł

z jedyńki, przeszedł od Ronda Babka do Jana Pawła i zobaczył, że ona już czeka. Próbował przyspieszyć, ale nogi bolały go gorzej niż ramiona.

Wyglądała ślicznie. Obiecał sobie, że ją pocałuje na pożegnanie. Chciałby już mieć z nią takie układy, żeby mógł ją całować kiedy będzie chciał, bez tego głupiego łomotania serca.

Wstęp kosztował osiem złotych. Wiktor nawet nie próbował za nią płacić. Czytał to i owo o feministkach, więc gdy Damroka położyła na ladzie równo odliczone pieniądze, po prostu zapłacił za siebie. Pokiwali sobie dłońmi i poszli każde do swojej szatni. Damroka miała pod kurtką czerwony sweter z przypiętym... żukiem od niego... to znaczy z tym, którego reperował.

Wiktor czuł się jak po lumbago, a ciepła woda pod prysznicem zamiast pomóc - kompletnie go rozłożyła. Z trudem wszedł po dwudziestu stopniach do hali basenu. Damroki jeszcze nie było. Jakaś gruba dziewczyna stała tyłem do niego i układała na ławce ręcznik.

Wiktor popatrzył na jej bardzo okrągłe nogi, zdecydowanie za duży tyłek i pomarszczoną skórę. Mama mówiła, że to jakiś celul czy coś takiego. Odwrócił się, patrząc na wejście na basen. Nie odrywał wzroku od schodów, wyobrażając sobie Damrokę w skąpym, przezroczystym kostiumie opiętym na kształtach top modelki.

- Hej! - Damroka klepnęła go z tyłu w ramię. Zrobiła to bardzo lekko, ale zaboląo jak sto diabłów.

- To ty?! - aż mu zaschło w ustach. - Nie... nie poznałem cię... w tym czepku.

Damroka beztrudnie zsunęła klapki i kiwnęła głową, żeby weszli do wody. Pływali razem ponad pół godziny.

Lekko niedosuszeni zjedli najpierw kanapki Damroki z białym serem i surowym ogórkiem, a potem Wiktora - z pumpnikiem i babcinym paszтетem (Wiktor nałogowo jadał pumpnikiel do wszystkiego, nawet do śledzia). W mocno naciągniętych czapkach zdecydowali się na heroiczne przedsięwzięcie. Postanowili przejść mostem Gdańskim do domu Damroki. Dużo gadali o szkole.

- Ojciec przekonał mnie i siostrę, że uczyć się można wszędzie. Na przystanku, w autobusie. Zawsze jest kilka minut, kiedy coś można przeczytać. Ja zawsze uczę się właśnie tak, przy okazji.

- Ja też - ucieszyła się Damroka. - Ale lekcje muszę odrabiać od razu po szkole - powiedziała to, nie wiedząc czemu, ze smutną miną.

- To chyba dobrze?

- Zależy z jakiego powodu się to robi.

- A ty, z jakiego?

- Życie mnie tak wytresowało.

Godzinna przechadzka minęła im błyskawicznie.

- Szkoda, że nie poszliśmy przez Świętokrzyski - zażartował Wiktor. Był rozradowany jak nigdy. Nagle Damroka lekko pociągnęła go za rękaw.

- Chodź!

Wciągnęła go do bramy jakiegoś bloku.

- Co jest?

- Nic, trochę zimno.

Koło klatki przeszedł bardzo elegancko ubrany gość. Miał teczkę z bukatowej skóry, a w ręku kilkanaście czerwonych róż. Mniej więcej na ich wysokości potknął się lekko i dopiero wtedy Wiktor zorientował się, że jest pijany. Dziwne. Wyglądał tak porządnie.

Wydawało się, że Damroka w ogóle nie zauważyła faceta. Zajrzała Wiktorowi w oczy i... nagle powiedziała:

- Nie chce mi się jeszcze wracać. Jeśli nie wystraszyły cię szczury w lochu, to zapraszam na Tarchomin. Na ciacha. Tam jest genialna cukiernia. Znam wszystkie dobre cukiernie w Warszawie.

- Jakie szczury? - nie zrozumiał Wiktor.
- No, mieliśmy spotkać się w lochu, ze szczurami i gdyby...
- Chodzi o ciebie w kostiumie? - wyrwało mu się mało taktownie.
- Czytałam u Musierowicz o takim jednym, co cierpiał na nadszczerzość. Myślałam, że to fikcja literacka, ale wiedzą o tobie, stary.
- Damroka, ja... ja chciałem ci... - Wiktor miał ochotę na wyznania i pocałunki, ale z Damroka nie było to takie łatwe.
- Jedziesz na ciacho, czy nie? A może cię odprowadzić?
- Jadę na ciacho. Nigdy cię nie zaproszę do siebie. Moja rodzina pożera żywcem.
- Tak? Opowiedz mi o nich. Szczególnie o siostrze. Wiktoria. Ja nam psiapsiółkę Biljanę. Serbkę. Ona przyjechała tu...
Wiktor musiał wysłuchać długiej historii o Biljanie, zanim się dorwał do głosu i opowiedział o siostrze. Początkowo myślał, że nie ma właściwie o czym opowiadać, ale mówił dobre dwadzieścia minut.

*

Diupa nie przepadała za telewizją. No, chyba, że chodziło o Przygód kilka wróbla Ćwirka. Rodzina rozważała, czy nie nagrywać jej kreskówki na wideo i puszczać w chwilach, gdy potrzebowali trochę spokoju. Na przykład w nocy. Papuga w ogóle była bardzo towarzyska. Trochę ją denerwowało, kiedy każdy był w innym pomieszczeniu. To było wbrew jej naturze - stado powinno trzymać się razem. Musiała wtedy kontrolować cały dom. A chodzenie po podłodze nie było jej najmocniejszą stroną. Od kilku dni była jednak z rodziny zadowolona. Mama przeniosła komputer Wiktora do salonu, bo, jak twierdziła, w ciszy denerwuje ją szum wiatraczka. Ojciec zarządził spanie w salonie, bo nie znośił kłaść się spać w pokoju innym niż ten, w którym żona wali w klawiaturę. Babcia, co prawda, zajęła gabinet, ale zajmowała go tylko nocą, resztę czasu spędzając w salonie. Jedynie Wika i Wiktor nadal korzystali z dobrodziejstw własnych pokoi. Szczególnie z przyjmowania gości.

Do Wiktora właśnie przyszli znajomi. Oprawdzał ich po ogromnym mieszkaniu. Mama dosłownie na sekundę oderwała wzrok od klawiszy (pisała dwoma wskazującymi palcami, robiąc masę błędów, co łatwo było zauważyć, gdyż prawie każdy wyraz był podkreślony czerwoną falką) i powiedziała nie wiadomo do kogo:

- Zupę macie na kuchence - nawet nie zauważyła, że wśród gości była Malwina Gwidosz, córka ich dobrych znajomych. Ojciec za to od razu zauważył, że Malwina ma oderwaną napę w kurtce. Na szczęście babcia posadziła zięcia przy stole, zaserwowała kawę i szarlotkę, i kazała się zabawiać rozmową. I tylko przez niezwykłą sympatię, jaką darzyła zięcia, pozwalała mu przy stole czyścić filtr do akwarium.

Dzięki temu, że rodzice, babcia, a nawet Diupa skupili się w salonie, Wiktor bez przeszkód mógł zabrać gości do siebie. Malwina pierwszy raz przyszła ze swoim chłopakiem, który od razu przypadł Wiktorowi do gustu.

Rozmawiali już dobre pół godziny, gdy nagle Wiktor, pod byle pretekstem, udał się do kuchni, gdzie zamierzał spędzić trochę czasu. Wiedział, że wszyscy Gwidoszowie cierpią na chroniczny brak chaty i chciał tej parce dać chwilę tylko dla siebie. Malwina i jej chłopak od razu się przytulili i zaczęli czule szeptać.

Chwilę później drzwi otworzyły się bezszelestnie. Do pokoju dumnie wkroczyła Diupa. Podfrunęła i usiadła na oparciu krzesła. Malwina nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi, ale Pawlacz był lekko zdezorientowany.

- Co się dzieje?
- Diupa - zaskrzeczała Diupa i przechyliła głowę tak mocno, jak tylko ptaki potrafią.
- Paweł... pocałuj mnie - ale Pawlacz nie odrywał wzroku od ptaka.
- Ona nas obserwuje.

- Kto? Ta papuga?
 - Patrz, jak ona nas lustruje.
 - To tylko ptaszek. Duży, jaskrawy ptaszek.
 - Diupa! - zdenerwowała się Diupa. Nikt nie lubi, gdy się go obraża.
 - Nie. Ja przy niej nie mogę. Ona mnie peszy. Patrzy gorzej niż moje siostry.
 Kiedy nadszedł Wiktor, oboje siedzieli nieruchomo w sporej odległości od siebie.
 - Aha, zapomniałem wam powiedzieć, żebyście zamknęli drzwi na klamkę. Diupa to stara podglądaczka. Prawda, Diupa? - i pogłaskał papugę po zielonkawym łebku.
 - A co u Kuby?
 - Kuby już nie ma. Zniknął. No, co tak patrzysz? „Nie ma mnie, jesteśmy my”. Wczoraj wieczorem uraczył mnie takim tekstem. Są oni. Jemu się wydaje, że tylko on potrafi być zakochany, że tylko on jest szczęśliwy.
 - To chyba dobrze. Każdemu zakochanemu powinno się tak właśnie wydawać. Mam rację?
 - Zdecydowanie tak - włączył się Pawlacz. - Mnie na przykład tak się właśnie wydaje - spojrzał z zachwytem na ciągle jeszcze czerwone od mrozu policzki Malwiny.
 - No, właśnie o tym mówię. Kuba nie jest wyjątkowy...
 - Opinie siostr są zawsze druzgoczące. Boję się nawet myśleć, co Wika o mnie opowiada. Powiedzcie wreszcie, co u Kuby i Magdy?
 - Nic ciekawego - Malwina popijała herbatę z sokiem malinowym. - Kuba cały czas się uczy, ma jakiś egzamin i zamierza razem z Magdą pojechać do Bonn na studia. Germanistyka
 - Malwina przewróciła oczami.
 Pogadali jeszcze chwilę. Kiedy wychodzili, Malwina ze zdziwieniem zauważyła, że ma napę przy kurtce. A dałaby sobie głowę uciąć, że ją wczoraj po szkole zgubiła.

*

- Nad czym się tak zamyśliłaś? - pana Henryka niełatwo było oszukać.
 - Ech, nic, nic.
 - Najwyraźniej jest to coś istotnego, skoro udajesz aż taką lekkość w głosie.
 - Jeden kolega nie przychodzi do szkoły.
 - Chory?
 - No... właśnie nie wiem.
 - To skontaktuj się z nim albo z jego rodziną - dla dorosłych wszystko zawsze jest takie proste.
 To nawet niezłe rozwiązanie dla kogoś, kto chce, żeby cała szkoła gadała, że lata za Wojtkiem.
 - Nie. To jakoś tak głupio. Tym bardziej, że... - zamilkła i zaczęła wpatrywać się w swoje poobgryzane paznokcie - ... że ja... ja mu... źle życzyłam.
 - I masz wyrzuty sumienia, że jemu coś się stało przez ciebie?
 - Aha.
 - Tym bardziej powinnaś się przełamać i tym samym zdjąć ciężar z barków.
 - A jeśli on rzeczywiście jest chory? Przeze mnie!
 - To bardzo dobrze. To jest znakomita okazja do przemyślenia mocy, jaką ma myślenie o kimś. Nie doceniamy jego siły, a niesłusznie. Na przyszłość, zanim zobaczysz oczami duszy czyjeś nieszczęście, zanim pomyślisz, że ktoś mógłby się rozchorować, to się dwa razy zastanowisz. Jak to życie samo podsuwa mądre doświadczenia! - pan Henryk z zadowoleniem zatarł ręce.
 - Czyli myśli pan, że to naprawdę przeze mnie? - Wika aż wstała z głębokiego fotela.
 - Wiktorio, głos ci drży, i myślę, że grzeszysz pychą. Nie wydaje mi się, żebyś miała zdolność telekinezy albo rzucania uroków na kolegów z klasy. Gdyby tak było, byłabyś

bardzo niebezpieczna. Nie przeceniaj siebie, dziecko. Człowiek nie jest Bogiem, żeby mógł na kogoś zesłać nieszczęście.

Czując, że jego młoda przyjaciółka się spłoszyła, dodał już lekkim tonem:

- A może całkiem niepotrzebnie się niepokoisz? Może on na przykład poszedł na... - pan Henryk poszukał jakiegoś, jak mu się wydawało, młodzieżowego słowa - na casting. O!

- Na casting?

- No, kto wie. Może?!

Czytali dalej. Tym razem byli to Bracia Lwie Serce Astrid Lindgren, których zresztą kilka dni potem Wika odkryła w kąciku książek mówionych w bibliotece na Suwalskiej.

*

Krzysio grał z babcią w quiz o przysłowia. Babcia próbowała dawać wnukowi fory, ale tylko na początku. Zaraz okazało się, że sama musi się nieźle starać.

- Wiesz, babciu? Myślę o cymś.

- O czym, Krzysiu?

- Dlaczego w bajkach dziewczyny są zawsze te gorse?

- Jak to rozumiesz? - babcia poprawiła okulary, żeby lepiej słyszeć (jak czasem żartowała).

- No, na przykład w Złotej Rybce. Rybak jest dobry, spokojny, a żona to taka... - siedmiolatek poszukał słowa - jędza.

- Masz jeszcze inne przykłady?

- Mam. Licne. W Kopciusku. Kopciusek tak ma źle u macochy, a nic nie robi, tylko ceka. Zamiast zwać stamtąd i posukać księcia. Psecies miała but w ręku, to dlaczego nic nie robiła? Tego nie rozumiem.

- Wiesz, dziewczynce nie do końca tak wypada - babcia nie była nasączona feminizmem.

- No, o tym mówię. One są gorse. Chłopak wszystko może. Dziewczyna - nic. Na przykład Śpiąca Królewna. Leży i ceka. Nie lubię takich dziewczyn... takich... no, sam nie wiem jakich. Takich, wiesz.

- Wiem - biernych. A ty jakbyś widział to z tą Śpiącą? Tylko poczekaj, wezmę dyktafon taty. - Jest dziś piątnasty listopada, czwartek. Krzysio ma siedem lat i nie lubi biernych kobiet. Cokolwiek to oznacza - dodała babcia.

- Śpiący Rycerz - zaczął Krzysio. - Dawno, dawno, za siedmioma, w pewnym pałacu rodzicom urodził się chłopiec. Oni bardzo się ucieszyli, że to chłopiec. Ale jak robili jego chrzciny, to jednego złego czarodzieja nie zaprosili. Albo niech ta wróżka zostanie. Ona jest w porządku. To jednej złej wróżki nie zaprosili i ona się wściekła i rzuciła czar, że jak ten chłopiec będzie miał szesnaście lat, to ukłuje się... śrubokrętem. I umrze. Rodzice zdenerwowali się okropnie, ale zaraz jeden Czarodziej zmienił ten czar. Chłopiec miał spać tylko, ale za to przez sto lat. I tak było. Mimo że wszystkie śrubokręty wyrzucili i w całym królestwie wozy, stoły i szafki były niepodokręcane. Wyrzucili, bo tak się o niego bali. Zupełnie jakby mu nie mogli po prostu powiedzieć, że nie wolno mu brać śrubokrętów do ręki.

- I on by tak zaraz posłuchał? - nie wytrzymała babcia.

- Tak, bo to by... No dobra, on by i tak nie posłuchał, więc trzeba było te wszystkie śrubokręty schować. I on, oczywiście, się ukłuł. To nie jest ciekawe z tymi jego urodzinami i ukłuciem. Jak się te wszystkie księżniczki o tym dowiedziały, to zaraz rzuciły się, żeby go odczarować. Bo on tak sobie leżał nieruchomy i taki biedny i rosły mu paznokcie. Sama mi mówiłaś, że po śmierci rosną jeszcze paznokcie. I każda chciała go mieć dla siebie. Niejedna próbowała. Ale nic. W końcu była taka, co wsiadła na konia, zabrała łuk, strzały, pistolet, miecz światłowodowy i granaty. I pojechała. Bez problemu pokonała smoka. Bo tego

chłopczyny smok pilnował i szybko ścięła żywopłot i weszła na wieżę. A tam na łóżeczku leżał on. Piękny! Miał zamknięte oczy i takie czerwone te... wargi i ona nie mogła się powstrzymać i go... tego... pocałowała. A on zaraz się podniósł i rzucił jej na szyję. „Moja wybawicielko, czy zechcesz mnie za męża?” I ona się zgodziła, bo co miała robić. Czy to nie fajniej, babciu?

- Dużo fajniej. Dziecinko, powinieneś mieć wykłady dla młodych panien. Diupa, czy ty słyszałaś jakiego ja mam genialnego wnuka, który w dodatku przestał seplenić? Może teraz Złota Rybka? Tylko poczekaj, żeby mi taśmy nie zabrakło.

*

Pysiakowska w milczeniu odkurzała mieszkanie. Było co odkurzać. W ich starym mieszkaniu to było rach-ciach i po kłopotcie. Tu zabierało dobrą godzinę. Kiedy skończyła, zawołała Diupę, która organicznie nie znosiła odkurzacza, ale za to uwielbiała gonić zwijającą się wtyczkę. Wika wyciągnęła wtyczkę z gniazdka i nacisnęła stopą przycisk, a Diupa z radosnym skrzykiem usiłowała złapać koniec przewodu. Dla uciechy ptaka Pysiakowska powtórzyła zabawę jeszcze dwa razy. A potem powiedziała słowami mamy:

- Dzieci to nie są złe wynalazki, tylko bawić się z nimi nie wolno, bo jak raz to zrobisz, to potem ci żyć nie dadzą.

To ją na chwilę rozchmurzyło. Po czym znów poczuła się przybita wczorajszą rozmową z panem Henrykiem i dzisiejszą (bardzo odważną) z Danielem. To wszystko wytrąciło ją z równowagi. Tym bardziej, że w szkole cała klasa była świadkiem dziwnej sceny. Podczas biologii do klasy zapukała mama Wojtka. Zawsze taka wymuskana i perfekcyjna, tym razem była jednak wyraźnie w nieładzie i cicho poprosiła, żeby wychowawczyni porozmawiała z nią na osobności. Nauczycielka, ku zdziwieniu wszystkich, od razu wyszła. Kiedy zadzwonił dzwonek i wysypali się z klasy, zobaczyli, obydwie kobiety splecione w uścisku i wręcz zalewające się łzami.

*

Mama skończyła rozmawiać z siostrą przez telefon i od razu poszła do Wiktora.

- Szykujesz się?
- Tak, mamuś. Wychodzę.
- To jest lista zakupów i recepty ojca - wręczyła mu plik karteczek. - A dokąd idziecie?
- Do kina.
- Do którego? - nie dała się zbyć mama.
- Nie wiem jeszcze mamuś, to wszędzie grają.
- A bilety to drogie są? Tak mniej więcej... - mama ostatnio zadręczała wszystkich pytaniami o najdrobniejsze szczegóły.
- Mamo, ja płacę ze swoich. To znaczy z waszych, ale z kieszonkowego.
- Czyli ile? - drążyła mama.
- Ja byłam ostatnio w Gigakinie. Bilety drogie. Chociaż w dzień powszedni taniej. I dają do tego kisiel. Ostatnio dostałam truskawkowy - powiedziała babcia.
- Damroka nie lubi takich kołchozów. Zresztą tam jest dla nas za drogo.
- Mądre dziecko - zabrał głos ojciec. - A czym ty tak pachniesz?
- „Sono io” - przyznał się Wiktor.
- Matko boska, widziałam to w perfumerii na Chmielnej. To chyba ze trzy stówy...
- A ta koszula to chyba nowa - mama pomacała rękaw Wiktorowej koszuli.
- A to ja mu kupiłam. A co? Nie wolno kupić wnuczce? Komu mam kupować?
- Synu, twoja randka naraża na koszt całą rodzinę. Pachniesz za trzysta złotych, nowa koszula za... za ile mamu?
- Za sto osiemdziesiąt - przyznała babcia ze skruchą.

- Pasta do butów w dużych ilościach...
- Rodzina zaczęła się wyraźnie bawić kosztem zakochanego.
- Co najmniej dziesięć litrów na prysznic, szampon, żel do golenia...
- Żyłетки marki...
- Kwiaty... kupujesz jej kwiaty? - zaczęła, znów mama.
- Nie kupuję, ale jeśli nie przestaniecie, to...
- To niby co? - ojciec przybrał pozę tyrana.
- No, rzeczywiście. Nic.
- Kiedy dzieci były małe, Wika chodziła w ubraniach po Wiktorze.
- Dobrze, że nie odwrotnie - mruknął pod nosem Wiktor.
- A wy na takiej randce to coś jecie? Pizzę?
- A jak ci odpowiem, to dacie mi już spokój?
- Nie, ale odpowiadaj.

I Wiktor, ku radości rodziny, ze szczegółami opowiedział, że Damroka lubi tylko domowe jedzenie i on upiecze dla niej szarlotkę.

- To bardzo oryginalne o tej porze roku - zauważyła mama.
- Możecie kpić, ile chcecie. A babcia mi już obiecała.
- Obiecałam, ale proszę, kup po drodze makrelę dla Oliwera. Jutro jadę do domu, to akurat mu dam.

*

Po wyjściu Wiktora mamę ogarnęły wątpliwości, czy czasem nie naśmiewają się z niego za bardzo i czy to go nie zniechęci do tej, skądinąd nie znanej im, dziewczyny.

- Wiecie, moja przyjaciółka, ta Ziarkiewiczowa, wdowa po pułkowniku Ziarkiewicz. Ach, co to był za przystojny mężczyzna... o czym to... aha, miała syna. I on zawsze przyprowadzał do domu takie cudaczne panienki. Wiesz który, Wandziu? Ten Jerzyk z naprzeciwka.

- Wiem, wiem. Waldek też go chyba pamięta.
- I ona zawsze robiła tak: jak jej się panienka nie podobała, to ją sama zapraszała, chwaliła przed synem, biegła do ogródka po kwiatki dla niej.
- Po co? - nie rozumiał ojciec.
- Żeby mu obrzydzić. Wiesz jak to jest, kiedy nie trzeba się starać... To się chyba nazywa syndrom Romea i Julii czy coś takiego. Kochasz tego, kogo ci kochać nie wolno. Bardzo klarowna zasada. Raz on poznał Rosjankę, Maszę.
- No, to przecież się z nią ożenił - wtrąciła mama.
- Tak, ale dzięki własnej matce, Ziarkiewiczowej. Bo jak ta Masza raz przyszła, taka skromna i od razu po obiedzie zadeklarowała, że pozmywa i zaczęła przy tych talerzach cichutko nucić, to stara Ziarkiewiczowa zrobiła tak: kategorycznie mu zabroniła spotykać się z tą Maszą. Że ona tego nie przeżyje, że Rosjanka, i że nigdy nie pozwoli, żeby on się uczył poza szkołą rosyjskiego. I tak było przez dwa lata. Ona cały czas była twarda, a on krył i wił się jak piskorz. Nie miał pieniędzy na lekcje rosyjskiego, więc jeździł do jej dziadków, bo ona nie miała rodziców tylko dziadków. I wiecie, że został tłumaczem.

- I co?
- I jak ta Masza zaszła w ciążę i przyszli matce, starej Ziarkiewiczowej, o tym powiedzieć, to ona się rozplakała ze szczęścia, że taka wspaniała synowa jej się trafiła.
- Miała nerwy ze stali. A my, póki co, musimy jak najszybciej ściągnąć tę, jak jej tam... Damrykę - zdecydował ojciec.
- Damrokę - poprawiły go chórem kobiety.
- Ja ją muszę koniecznie obejrzeć. I to nie na zdjęciu.

*

Wieczorem Wiktor z babcią zabrali się wreszcie za szarlotkę. Już po dziesięciu minutach kuchnia przypominała pobojuwisko.

- Może ja chociaż pozmywam - zadeklarowała babcia. - Jutro wracam do domu. Wykorzystaj mnie, póki masz okazję.

- Nigdy!

- Ale dlaczego?

- Bo ja muszę sam. Czy ty tego naprawdę nie rozumiesz? A jak Damroka zapyta: „Sam piekłeś, naprawdę?”, to co ja będę musiał jej powiedzieć? „Nie sam, bo babcia zmywała”.

Proszę cię, usiądź i napij się herbaty.

Diupa, licząc na przekąski, zawsze z radością towarzyszyła krzątającym się w kuchni. Niedawno okazało się, że wcale nie jest roślinożerna. Raczej wszystkożerna, jak koza. Jeśli już musiała jeść owoce, to najchętniej jabłka. I to pieczone!

- Ty jesteś za szczerzy, będziesz miał z kobietami kłopoty.

- A ty, babciu, z mężczyznami nie jesteś szczerza?

- Uchowaj Boże! - zawołała babcia. - Siekaj dobrze. Czy ta margaryna jest wystarczająco zmrożona?

- A jak było z dziadkiem? - niewinnie zagadnął Wiktor.

- Znów dziadzio i dziadzio. Szkoda, że nie było czasów sztucznego zapłodnienia, to bym miała spokój. Czego wy chcecie od tego dziadka? - zapytała już udobruchana.

- Bo to głupio mieć w drzewie genealogicznym taka białą plamę. Diupa! Zostaw to jajko!

- Wiktoru, nie. Ja tę tajemnicę zabiorę do grobu. I niech tak zostanie.

- Oj nie, babciu. Obiecuj mi, że kiedyś mi powiesz. Kiedyś, nie dziś.

- Jeśli powiem tobie, to będę musiała wszystkim - babcia wyraźnie się łamała. - Teraz podziob ciasto widelcem. Będzie kruche.

- Wcale nie. Powiedz mi, proszę, jako... prezent na urodziny. To będzie najwspanialszy prezent, jaki możesz mi dać.

- Ale ostrzegam, będzie bolało.

I umówili się, że na osiemnaste urodziny Wiktor dostanie od babci bolesny prezent.

*

Ojciec obudził się zlany potem. Po omacku odszukał lekarstwo. Włożył pod język i przymknął oczy. „Żeby tylko nikogo nie obudzić” - powtarzał w kółko w myślach.

Po jakimś czasie mu przeszło, ale nie mógł już zasnąć. Leżał w łóżku, słyszał równy oddech Wandy i delikatnie dotknął jej włosów rozłożonych jak ciemny wachlarzyk na poduszce. Zaczął robić rachunek sumienia, czy nie obciąża za bardzo swoją chorobą rodziny. Wyszło mu, że zdecydowanie za bardzo.

Wtedy zadzwonił telefon.

Waldek zdołał go odebrać, zanim pierwszy sygnał wybrzmiał do końca. Odruchowo zerknął na budzik. Była pierwsza czterdzieści w nocy.

- Słucham?

- Kto mówi? - zapytał impertynencko głos w słuchawce.

- To ja pytam, kto mówi - Waldek starał się nie obudzić rodziny. Wsunął stopy w sztruksowe, zielone kapcie i wyszedł do kuchni.

- Nazywam się Radosław Czerdesz. Pewnie mówi panu coś to nazwisko?

- Raczej nic, a powinno?

Głos wyraźnie się zdenerwował.

- Z kim rozmawiam?! Pytam po raz drugi i ostatni! *One always remains alone with one's doubts.*

- A do kogo pan dzwoni? - ojciec sam się zdziwił, że w ogóle się nie zdenerwował.
- Nie udawaj pan niewinnego, jesteś pan ojcem tego Wiktora. Wiem to doskonale! Nie tacy jak pan chcieli mnie wykiwać - zaśmiał się gardłowym śmiechem człowieka o zawartości alkoholu we krwi powyżej granicy rozsądku.

- Istotnie, Wiktor to mój syn - Waldkowi zaczynało świtać z kim właściwie rozmawia. - Czym mogę panu służyć? - postarał się, żeby to nie zabrzmiało ironicznie.

Odgłosy w słuchawce świadczyły o tym, że człowiek po drugiej stronie najwyraźniej coś jadł, popijając przy tym i mówiąc jednocześnie:

- Pan wie, ile ja mogę? Pan wie? Nie będzie mi tu... Nie życzę sobie, rozumiesz pan, nie życzę...

Pijacka przemowa pana Czerdesza trwała dość długo. Była wysadzana różnymi wstawkami w wielu językach, z czego Waldek najlepiej wylapywał powtarzające się *sacreble*. W pewnej chwili usłyszał w tle spokojny, kobiecy głos. Potem nastąpił nieokreślony hałas; może to meble się przewróciły, a może sam dzwoniący. Cokolwiek się stało, połączenie zostało raptownie przerwane.

Waldek wpatrywał się w trzymaną w rękę słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił ponownie.

- Jeszcze z panem nie skończyłem! Won! - krzyknął do kogoś, po czym zaczął bełkotać coś po szwedzku albo po norwesku. Waldek nigdy nie odróżniał tych języków. Rozłączył się. Wrócił do pokoju i wyciągnął wtyczkę telefonu z gniazdka.

- Co jest? - wszedł do nich Wiktor. - Coś się stało?

- Nic. Wszystko w porządku. To pomyłka - odparł ojciec bez mrugnięcia okiem. - O pierwszej w nocy ludzie dzwonią do Herbapolu i pytają, czy produkujemy zioła na bazie pieprzu. Świat zwariował - ojciec sadowił się wygodnie w łóżku.

Wiktor ziewnął rozdzierająco i wrócił do swojego łóżka.

- Czemu masz taką minę? - Wanda z ledwo otwartymi powiekami patrzyła na dziwny wyraz twarzy swojego męża.

Waldek staranie zamknął drzwi, po czym wprost do ucha żony opowiedział o telefonie pijaka poliglotty.

- Biedaczek.

- Ty jedna mnie zawsze rozumiesz - przytulił się do Wandy.

- Nie o tobie to mówię, tylko o nim.

- O nim? To pijus, zwierzał

- Tak. Dlatego jest biedny, bo nie ma nad sobą władzy. Stracił kontrolę nad swoim życiem. Mówiąc językiem naszych dzieci, olewa cały świat i siebie przy okazji. Musimy powiedzieć Wiktorowi.

- Nigdy w życiu! Nie mam zamiaru go denerwować!

- Przecież zawsze powtarzasz, że dzieci mają prawo do prawdy. Jesteś bardzo niekonsekwentny! - mama podparła się na zgiętym łokciu i z naganą popatrzyła na męża.

- Nie wymagaj ode mnie konsekwencji o pierwszej w nocy. Konsekwentny jestem wyłącznie w ciągu dnia.

- Racja.

Oboje usiłowali usnąć, ale nie przyszło im to łatwo. Obraz padających mebli, ciał i krzyków odebrał im chęć do snu. Około wpół do czwartej wstali i zaparzyli sobie herbaty o smaku truskawkowym. Tej nocy już nie spali.

A Wiktor o telefonie nie dowiedział się nigdy.

Krysia miała jeszcze kilka dni do terminu porodu. Czuli się jednak dziwnie niewyraźnie i mąż postanowił odwiedzić ją już teraz do szpitala. Tam położono ją w sali przedporodowej, a męża odesłano do domu i kazano nie zawracać żonie zbyt często głowy.

Piotr zgodził się, że dopóki Krysia z Paulinką nie wrócą, Krzysio może spać z nim w jednym łóżku.

I spali tak sobie smacznie od czterech godzin, zegar cichutko szurał im nad głową, gdy zadzwonił telefon.

- Kochanie, mamy syna! - usłyszał w słuchawce głos żony.

- Wiem - spojrzał na śpiącego obok Krzysia. - Śpi tu koło mnie.

Był w końcu lekarzem i wiedział, że depresja okołoporodowa przybiera różne formy.

- Nie - zdenerwowała się ciotka. - Mamy drugiego syna.

- Niemożliwe. Widziałem USG. Mamy córkę - Piotr jeszcze do końca się nie obudził. - Jak mogłaś tak beze mnie? Bez mojej zgody oszczędzić mi zrobienia z siebie ciężkiego kretyna, bo na pewno bym zemdłał. Odebrać mi prawo do dostania hysterii albo ucieczki w obuwiu ochronnym i fartuchu z porodówki. Nie mam już szansy stać się legendarnym pośmiewiskiem całego szpitala - wuj zaczynał dostawać nerwowego słowotoku. - Dlaczego mi tego oszczędziłaś, wyrodna żono? - żartował.

- Jutro wynagrodzę ci tę stratę - ciotka mimo porodu była w znakomitej formie. - Wiesz, jest śliczny. Ma twoje rączki, takie malutkie - wuj spojrzał z niepokojem na swoje wielkie, owłosione ręce. - Myślisz, że Krzysio jakoś to przeżyje?

- Ja mam czworo młodszego rodzeństwa i żyję, więc może i jemu się uda.

- Jesteś niepoważny. Przyjdź jutro i przynieś mi koszulę nocną, tę z różyczkami, czystą bieliznę, jest w drugiej szufladzie, kocyk, taki z foczką...

*

Kiedy następnego dnia Krzysio został u kuzynów, jego tato pomaszerował do szpitala na Kondratowicza (w którym notabene od dziewięciu lat pracował) i oczywiście nie mógł darować sobie małego figla.

Noworodki podjechały na metalowym wózku z przegródkami. Wyglądały jak zapakowane w koce baleroniki. Tyle, że z oczkami.

- To nasz synek - mama ze łzami w oczach pokazała na łysą głowę i oczka, w których były dosłownie trzy rzęsy. Dwie w prawym oku i jedna w lewym.

- Ten? Taki podrapany? - spojrzał na stojącą koło nich położną. - Nie można by go wymienić? O, ten już lepszy - wskazał na leżącą obok dziewczynkę. - A nasz taki pomarszczony. Tu i tu ma krosty. Weźmiemy tego... dobrze, siostrzyczko?

Pielęgniarka aż otworzyła usta. Pracowała na noworodkach i widziała nieraz kobiety samotnie borykające się z macierzyństwem, kobiety odrzucające własne dzieci, mężów zalanych w trupa w trakcie odwiedzin, babcie, które nie dawały matkom dotknąć się do ich własnych dzieci. Ale takiego oglądała pierwszy raz.

- Masz dyktafon? - na Krysi żarty męża nie zrobiły nawet w połowie takiego wrażenia jak na położnej.

- Bierz go i zaczynamy.

I oddalili się do łóżka położnicy, nagrać kwilenia dziecka i wynurzenia matki.

Rozdział 4

Ciocia z noworodkiem wrócili do domu. Oczywiście rodzina miała już doświadczenie, jak to jest, gdy do domu przybywa nowy potomek. Wszyscy pamiętali jak Wiktor po przyniesieniu siostry z niechęcią obejrzał gumowe zabawki z dziurką, grzechotki i schował się tak skutecznie, że szukali go dobrą godzinę, również u sąsiadów. A on, dotknięty brakiem

zainteresowania, po prostu stał przy drzwiach balkonowych zakryty zasłonką. Tego chcieli Krzysio i babcia jak i ciotka Wanda z rodziną. Dlatego opracowali pewien plan.

Szli właśnie do Sobczaków. W pełnym składzie, objuczeni siedemnastoma (tak wyszło) kotletami mielonymi z piersi indyka, gulaszem z indyka, pieczonymi udami indyka i potrawką z indyka, zmierzali do nowego braciszka Krzysia. Oczywiście nie mieli zamiaru raczyć tą żywnością noworodka, ale chcieli wspomóc szwagra, żeby nie umarł z głodu w tych trudnych dniach. Ziemniaki i surówkę z kiszzonej kapusty mama miała zrobić już na miejscu. Każdy z nich tachał dodatkowo jakiś prezent. Wiadomo - to miała być ich pierwsza wizyta u noworodka.

Drzwi otworzył im wujek. W szortach, kłapkach i podkoszulku na ramiączka stanowił zabawny kontrast dla całej gromady, szczelnie opatulonej zimowymi paltami.

Już w progu uderzyło ich iście śródziemnomorskie ciepło, buchające z mieszkania. Ciocia w leciutkiej, rozmamłanej koszuli nocnej karmiła właśnie zakutanego w dwa kaftaniki, śpioszki i flanelowy kocyk noworodka.

Krzysio wybiegł im na spotkanie w samych majtasach.

- Jak się masz, obywatelu? - Waldek czym prędzej zdjął z siebie wszystko co wypadło i pomagał innym lokować na wieszaku swetry. - Jesteś teraz starszym bratem. To nie byle co. Mam tu coś dla dzielnego samuraja - wręczył mu nowusienką, biało-czarną piłkę do nogi.

Oswobodzona z ubrań rodzina od razu przeszła do dużego pokoju, nie obdarzając maleństwa najmniejszym zainteresowaniem. Natomiast na oszołomionego Krzysia jak grad posypały się rozliczne prezenty: gra „Rodzinki”, klaser do zdjęć i robot wydający przeraźliwe dźwięki.

- Prawdę mówiąc liczyłem na kubańskie cygara - mruknął oglądając prezenty.

- Może w coś zagramy, Krzysiu? - ciotka nie wypuszczała go z objęć.

- Ja odbiorę! Czekam na ważny telefon - Krzysio zerwał się z miejsca. Miał nadzieję, że to Marzenka. - Tak. To jak? Co masz? Atak... no dobrze... tak... może być... a dokąd... no dobrze... jak ci zależy... zrobię to dla ciebie - po czym oddał słuchawkę swojemu ojcu, który wyznał do słuchawki:

- Chyba dobrze... raczej w porządku. Nie za bardzo. Chyba to jakoś zniósł... tak, cały czas pamiętamy.

- Kto to dzwonił? - zainteresowała się z małego pokoju położnica.

- To babcia. Ma dla mnie bilety do teatru na Piotrusia Pana i do kina. Idziemy też do parku wodnego i jeszcze gdzieś, ale już nie zapamiętałem. Mamo? Czy ja muszę iść z babcią? Może tato by poszedł, a ja bym został trochę z Maciusiem, co?

Rodzina jednak, zgodnie z wcześniejszą linią ustaleń, nie dała mu nawet sekundy, tylko porwała w tok grania w bierki, „Czarnego Piotrusia” i ukochane „Patyczaki”. Bardzo chcieli, żeby nie poczuł się zaniedbywany z powodu narodzin brata.

Za obiad jakoś wszyscy, z wyjątkiem cioci, podziękowali. Spożyli natomiast prawie cały zapas wody mineralnej. Ojciec, ograny przez Krzysia we wszystkie gry, chciał wyrzeć przez okno, ale szyby były tak zaparowane, że tylko ugryzł się w język, sięgnął po kolejną szklankę wody mineralnej i podszedł do szwagra. Piotr rozłożył deskę do prasowania i prasował dziesiątki pieluch tetrowych, bowiem jego żona nie dowierzała plastikowym. Miało się to zmienić za dwa miesiące, kiedy niemowlak został skazany wyłącznie na plastiki. Szwagier cały czas popijał wodę mineralną.

- Ciepło tu u was - zagadnął ojciec.

- Wiem.

- Może by tak okno...

- Możesz spróbować.

- On cały czas płacze - Waldek starał się mówić bardzo cicho.

- A ty co byś zrobił na jego miejscu? Bo ja też bym płakał.

Ojciec zerknął na książkę *Jak wychować wspaniałego człowieka*. Położnica najwidoczniej zapoznała się z jej treścią wnikliwie, bo wszędzie były podkreślenia i samoprzylepne zakładki. - Czy tu piszą, że najpierw trzeba dziecko ugotować? - spojrzał na szwagra i obaj dyskretnie parsknęli śmiechem.

- Kiedy to mija, bo już nie pamiętam?

- U nas trwało dwa miesiące. Mało zapalenia płuc nie dostałem.

- Sześćdziesiąt dni na Saharze - zażartował wuj. - Chyba napiszę opowiadanie, jak Hemingway.

Obaj mężczyźni stuknęli się szklaneczkami z mineralną. Średnio gazowaną.

Noworodek cały czas płakał. Darł się! Oczywiście nie jest to nic dziwnego. Prawie każdy uważa, że noworodki muszą płakać i nikomu nie wydaje się to specjalnie dziwne. Wręcz przeciwnie - gdy jakiś noworodek jest zadowolony z życia i nie płacze, zyczliwie radzą udanie się do neurologa, bo coś z nim na pewno jest nie tak.

Dziwił się tylko Wiktor. Rodzina solidarnie nie zwracała na dziecinę uwagi, absorbując cały czas Krzysia. W końcu Wiktor oderwał się od pożyczonej od Gwidoszów książki Kaczmarek *O aniołach innym razem*. Przyszło mu to z trudem. Główny bohater był właśnie z Lorraine w jej domu w Alpach i oboje zajmowali się bardzo nieprzyzwoitymi rzeczami. Mimo to, Wiktor zdecydował się pójść do sąsiedniego pokoju i wziąć kuzyna na ręce. Postął z nim chwilę, ale od kocyka było mu tak gorąco, że postanowił odwinąć dziecko. Maciuś nieco się uspokoił. Jednak gdy Wiktor po chwili przykrył go kocem, mały zaczął przeraźliwie płakać. Wiktor powtórzył doświadczenie jeszcze kilka razy - wynik był zawsze ten sam. Bez kocyka Maciuś nie krzyczał. Poszedł dalej tym tropem. Zdjął dziecku zawiązaną pod bródką czapkę z grubej bawełny. Maciek zupełnie się uspokoił. Wiktor popatrzył na drzwi i widząc, że ciotka chlipie w ramię jego mamy, zdjął mu również śpioszki i jeden z kaftaników. Malec, czerwony jak burak, wreszcie odetchnął. Nareszcie był ubrany jak reszta rodziny. I oczywiście przestał płakać, zamachał cienkimi jak patyki nogami i zasnął. Wiktor wrócił do lektury. Nie minęło jednak dziesięć minut, kiedy zaniepokojona ciszą ciotka weszła do pokoju.

- O mój Boże! - zamarła z przerażenia, widząc swoje zdrowo śpiące dziecko bez kocyka. I natychmiast zaczęła je ubierać.

Noworodek znów zaczął płakać.

Wiktor, unikając karcącego spojrzenia ciotki, czym prędzej wyszedł do reszty rodziny, która delectowała się wodą mineralną.

Ciocia z wrzeszczącym Maciusiem, zakutany w znany już wszystkim kocyk i czapkę, weszła do pokoju.

- Kochanie, nie mogę włączyć farelki, a chciałabym go przewinąć. Chodź i włącz mi.

Jej mąż bez słowa (rzucił tylko porozumiewawcze spojrzenie szwagrowi) poszedł włączyć farelkę. Ciotka ustawiła ją nawiewem na trzykilowe ciało i przystąpiła do przewijania.

Po wyjściu kuzynów Krzysio zadumał się. Był zdziwiony i zaniepokojony postawą rodziny. Dzieci w szkole uprzedziły go, że teraz nikomu już nie będzie potrzebny, że rodzice przestali go kochać i dlatego zafundowali sobie nowe dziecko, bo stare im się znudziło, że będzie musiał temu wrzaskunowi we wszystkim ustępować, że jego życie z rozkosznej egzystencji jedynaka wraz z narodzinami brata zamieni się w koszmar.

Był rozczarowany, że to wszystko go ominęło.

Kiedy następnego dnia w szkole pani logopeda wzięła go do swojego gabineczku z wielkim lustrem i dwoma starymi krzesłami i zapytała z uśmiechem, czy jego braciszek jest już w domu, zgasił jej uśmiech wyznaniem:

- Jest, ale jego w naszej rodzinie nie chcą. Nawet jednego prezentu mu nie przynieśli. Nawet głupiej grzechotki! Oni go wcale nie chcą! Oni kochają tylko mnie! To straszne!

I wybuchł rzęsiwym płaczem, wprost na nową dżersejową spódnicę ukochanej pani logopedy.

*

Kiedy Rybaccy wrócili do domu, nagle wypłynęła sprawa urodzin Wiktora. Mianowicie: co chciałby dostać. Najpierw zażartował, że tak jak siostra, pierścionek z cyrkonią.

- Ale to było na piętnaste urodziny - przypomniała Pysiakowska.

- No właśnie. Ja mam osiemnaste, więc poproszę o dwa pierścionki.

A potem się zastanowił. Co on by chciał? Jest tyle rzeczy, które by chciał, ale ani jednej, którą by chciał szczególnie. Obiecał rodzicom, że teraz coś zje, wykąpie się po tej saunie u wujów i im odpowie.

- Chodźmy wszyscy razem na kręgle.

Rodzice nic nie powiedzieli, ale gdy tylko zostali sami, naradzili się w tej sprawie. W końcu mieli tylko jednego syna i on tylko raz będzie miał osiemnaste urodziny. Kręgle? Dziwne życzenie jak na ich syna. W związku z tym ojciec (nie zważając na wilgotne jeszcze włosy Wiktora) wyciągnął go na męski spacer po osiedlu. Podczas przechadzki udało mu się ustalić, że syn przestał żyć w świecie przedmiotów materialnych, że wszystko ma i niczego nie potrzebuje. A jedyne, co ma dla niego wartość to... tego... uczucie. Cóż więc było robić? Stańło na kręglach.

*

Diupa nie lubiła zostawać sama w domu, ale wybaczyła państwu, że ją opuścili i była już udobruchana. Od kilku minut (nieruchoma jak kot) obserwowała gołębie. Bezcelne. Jedzą z jej balkonu. Jej chleb. Patrzyła na nie zimnymi oczami. Nie wiedzieć czemu, nie lubiła gołębi.

Były w mieszkaniu tylko we dwie. Ona i Wika. Wika siedziała przy biurku w swoim pokoju i wkuwała historię na jutro. Miała mało czasu - za dwadzieścia minut powinien pojawić się pod blokiem Daniel i razem mieli iść na angielski.

Gdy tylko o nim pomyślała, rozkojarzyła się zupełnie. Daniel codziennie czekał na nią po szkole. Czasem chciała wyjść gdzieś z Daria, ale co tam. Daria nie ucieknie.

Diupa przysiadła jej na ramieniu. Znudzona obserwowaniem wiecznie głodnych gołębi, rozłożyła piękne prawe skrzydło i przystąpiła do toalety. Wika oderwała się od książki. Ma jeszcze dziś tyle na głowie. Zaraz... Daniel, angielski, znowu Daniel, potem zakupy, pan Henryk, potem jeszcze te zadania przygotowawcze. Ten matematyk to prawdziwy wesołek - wysyła do nich e-maile z zadaniami przygotowawczymi. Chyba wie, co robi, bo jakoś głupio odebrać pocztę i nic nie rozwiązać. Wika zaraz po szkole odebrała pocztę i wydrukowała zadania. Od jakiegoś czasu można było korzystać z komputera tylko wtedy, gdy nie było mamy, bo inaczej był zajęty.

- Czyli co ja mam dziś na głowie? - jakoś ją nie zastanowiło, że Daniela też „ma na głowie”. Czy to nie dziwne?

*

Daria dopędziła ich przed samym Domem Kultury „Świt”, gdzie chodzili szlifować język.

- Wi-ka! Wi-ka! - darła się za nimi.

- Zbie-raj się, je-dzie-my do... szpitala... - wysapała Daria.

- Co ci jest?

- Słuchaj, moja mama... spotkała dziś mamę Wojtka... On się poparzył. Walczą o... ucho. Ma poparzenie trzeciego stopnia. Będą mu... przeszczepiać skórę... gaz wybuchł mu na twarz - zakończyła już spokojniej.

Wika zrobiła się biała jak ściana.

- Boże!

- Co to za gość? O co chodzi? - zapytał Daniel.

- Słuchaj Daniel, musimy pojechać do kolegi. Chodź - pociągnęła Wikę za rękaw kurtki - tu mamy 118.

Wika jednak nie mogła ruszyć się z miejsca. W jednej sekundzie przypomniała sobie rozmowę z panem Maciejewskim i jego słowa wciąż dźwięczały jej w głowie. Była głucha na to, co mówiła Daria. Daniel patrzył na nią wyczekująco i cierpliwie czekał, co postanowi.

Daria pojechała sama. Na ich oczach wsiadła do 118 i nawet się nie obejrzała.

„Ucieka się od problemów, co?” - usłyszała głos w swojej głowie. - „Nie tak łatwo!”

Lektorka przygotowała bardzo wciągającą lekcję o Londynie i Wika spędziła wieczór twórczo. Wcale nie myślała o wiadomej sprawie. Ilekroć myśli skręcały jej w niebezpiecznym kierunku, od razu przywoływała się do porządku. „Są przecież inni, na pewno ktoś go odwiedzi. O, na przykład Daria już pojechała”.

Daria następnego dnia nabrała wody w usta i nie chciała nic powiedzieć.

*

Wanda Rybacka wyłączyła komputer i przeciągnęła się jak kotka. Albo raczej jak Diupa, bo zamachała szeroko wyprostowanymi rękami.

- Zobacz! Aśka Gwidosz jest w telewizji! - wrzasnął ojciec i mama natychmiast odwróciła się w kierunku telewizora.

- Nagrywaj, nagrywaj szybko - magnetowid pożarł podsuniętą kasetę i mogli już w spokoju oglądać. Joanna Gwidosz była, tak jak jej mąż, wieloletnią znajomą Rybackich, jeszcze z czasów studiów. Rodzice mieli do nich szczególny sentyment, bo, co tu ukrywać, to dzięki Gwidoszom się poznali.

- Czym dokładnie zajmuje się założone przez panią stowarzyszenie? - prezynter wyglądał bardzo profesjonalnie, ale nieco sztywno przy Asi Gwidosz, która wszędzie czuła się jak u siebie.

- Nasze stowarzyszenie „Równe” walczy o prawa kobiet we wszystkich dziedzinach życia: w kuchni, we własnym domu i w Białym Domu. Nie można być biernym w tej sprawie, ja przynajmniej nie potrafię. Myślę, że kobietom brakowało dotąd miejsca, gdzie mogłyby godnie walczyć o swoje prawa. Panu takiego miejsca nie brakowało?

Prezynter nerwowo zajął w swoje notatki.

- A skąd nazwa: „Równe”? Czy ona ma jakieś ukryte znaczenie?

- Hmm... - Aśka podrapała się po czole. - Od jakiegoś czasu chodził mi po głowie pomysł takiego stowarzyszenia. W ubiegłym roku, gdy chodziłam z mężem do szkoły rodzenia, a instruktorka ciągle powtarzała nam: „Równo, równo, równo”, chodziło oczywiście o oddech przy porodzie, mnie nagle olśniło.

- Przy porodzie? - prezynter wyraźnie się zdenerwował i poluzował krawat.

- Poród. Wie pan, dziecko się rodzi. No więc, jak tak cztery razy w tygodniu słyszałam to „równo, równo”, to urodziłam pomysł. Równe oddechy, równe kobiety... To znakomita nazwa, przyzna pan?

Prezynter znów niespokojnie zaszeleścił kartkami.

Wywiad jednak potoczył się dalej, a rodzice zaczęli ustalać, ile to właściwie miesięcy ma, trzecia już, córeczka Gwidoszów. Ustalili, że trzy. Potem odtworzyli sobie jeszcze dwa razy wywiad i byli bardzo dumni, że mają taką aktywną życiowo znajomą.

- Co robimy z sylwestrem w tym roku? - zagadnęła swojego męża Wanda.

- Nie wiem, a masz jakiś pomysł? - ojciec obkładał *Honor Prizzich*.
- Ja bym chętnie została w domu - przyznała się mama.
- A ja myślałem o balu, który zrukuje nas finansowo, ale, szczerze mówiąc, mnie też nigdzie nie ciągnie. Może wpadniemy na trochę do Piotrków? Tyle, że ja w tym ukropie długo nie wysiedzę. Ostrzegam.
- Oj, nie mów. Idzie ku lepszemu.
- Ale zdecydowanie za wolno. A pamiętasz jak to było z tobą? - Waldek potargał maminą fryzurę.
- Tak. Wiesz, ja się tak bałam przegrzewania.
- Pamiętasz jak Wiktor nam zśniał? Ile on mógł mieć? Może ze trzy miesiące. Leżał w łóżeczku taki fioletowy i darł się wniebogłosey. A doktor z pogotowia po prostu powiedział „Ja to bym mu po prostu założył sweterek” - ojciec gruchnął śmiechem i pocałował żonę w czuprynę.
- Oj przestań, bo przypomnę, jak było z radiem - postraszyła mama.
- A co z radiem, nic nie wiem - zdziwił się Waldek.
- Jak to? W tym pierwszym maluchu... Ciągłe ci się wydawało, że coś stuka...
- Nic nie pamiętam.
- Tak? A to, że hamulce piszczą, a to, że skrzynia biegów i co tydzień prowadziłeś go do warsztatu. I co? Może nie pamiętasz, że mechanik wziął mnie na bok i powiedział „Może by tak pani mężowi radio do samochodu kupiła, bo ja już z nim nie daję rady”.
- No dobrze, wtedy to może trochę przesadzałem, zgoda - i znów czule ucałował żonę w czoło. - To co robimy z sylwestrem? Wiesz, ja mam pomysł. Nie będzie dzieci, tak?
- Nie, nie będzie.
- To ja wszystko biorę na siebie. Coś przygotuję. Tyle razy o tym myśleliśmy i zawsze coś przeszkodziło. Wypożyczę jakiś film. Obejrzymy razem.
- I zjemy coś wyjątkowego, na przykład...

Mama nie dokończyła, bo Diupa z radością rzuciła się do drzwi, żeby przywitać Wiktora, zagłuszając ich rozmowę całkowicie.

*

Darii nie wpuścili do Wojtka. W ogóle nie mieli na jego temat żadnych wiadomości i po kilku dniach klasa przywykła, że go nie ma. Nawet nikt się tym specjalnie nie interesował. Wszyscy żyli już feriami świątecznymi i oczywiście sylwestrem. Wice udało się przestać obwiniać siebie i, jak reszta, pozwoliła się wciągnąć w wir przygotowań.

Sylwestra zawsze robiła Daria. To znaczy drugi rok z rzędu, bo wcześniej bezlitośni rodzice pozwalali zapraszać jedną, góra trzy koleżanki i po wypiciu bezalkoholowego szampana sugerowali, że czas rozłożyć na podłodze śpiwory. Wika była cztery razy na takim Sylwestrze u Darii i zawsze było bardzo fajnie, chociaż zawsze tylko w babskim gronie. W tym roku miało być inaczej.

Rodzice (akceptując fakt, że dziecko im podrosło) pozwolili zrobić prawdziwego Sylwestra z chłopcami i prawdziwym szampanem. Problem w tym, że Wika poza kilkoma bardzo wygodnymi i bardzo zużyтыми parami spodni dysponowała tylko plisowaną spódniczką w szkocką kratkę oraz granatową szkolną służbówką. Nic nie nadawało się na sylwestra. Nie było rady - trzeba było odzalaować dostane od Mikołaja zasoby gotówkowe i pojechać na miasto. Mama też coś tam chciała sobie jeszcze dokupić, ale w końcu lenistwo wzięło w niej górę i została. Wysłała Wikę z Darią do Śródmieścia ze swoim błogosławieństwem i dodatkowymi pieniędzmi.

Niełatwo w Warszawie kupić coś fajnego do ubrania. Spotyka się tu bowiem albo supermodne ubrania wiszące na wyprofilowanych wieszakach w tak drogich sklepach, że ekspedientka nawet nie zaszczyca nastolatki spojrzeniem, albo bazarowe ciuchy, które

wyglądają nawet na zdatne do noszenia, ale tylko do pierwszego prania. Dlatego wiadomości, gdzie znajduje się sklep, w którym normalna dziewczyna może sobie coś kupić (coś, co założy więcej niż raz i nie będzie musiała przy tym okraść najbliższego oddziału banku) są w tym mieście informacją bezcenną i przekazywaną w wielkiej konspiracji tylko wybranym znajomym.

Wika знаła taki sklep na Tamce. I właśnie tam kupiła przed chwilą bardzo ładną (oczywiście ciemnoszarą) sukienkę. Trochę przed kolano, za to z dekoltem. Dekolt Wika miała zamiar wypełnić nie tylko własnym biustem, ale też pięknym srebrnym wisiorkiem w kształcie kuli ziemskiej, który przyniósł jej inteligentny tegoroczny Mikołaj.

Dziewczyny doszły do przystanku przy Dobrej, żeby pojechać do domu. Wice było przeraźliwie zimno, szczególnie w zdecydowanie za lekko ubrane kończyny dolne, i chciała jak najszybciej wracać. Daria miała jeszcze ochotę pochodzić po sklepach, więc postanowiły się rozstać. Pomachały sobie na pożegnanie i Daria pieszo wdrapała się Tamką do Świętokrzyskiej. Wika, po długich i wietrznych ośmiu minutach, doczekała się dwóch autobusów naraz. Wsiadła do drugiego, niemal pustego, z kilkoma podwójnymi miejscami tyłem do siebie. Gdy ktoś siada za twoimi plecami, odczuwasz wtedy silne, choć niezbyt bolesne, rąbnięcie w plecy. I takie właśnie uderzenie zmarznięta, głodna i zła Wika poczuła przy Bednarskiej.

- To nie jest proste, rozumiem, ale czy rozmawiałaś z jego matką? Może coś da się zrobić? - powiedział damski głos.

- On nie chce żyć. Dosłownie tak powiedziała mi jego mama. O czym tu można jeszcze rozmawiać... - od razu poznała głos swojej wychowawczynie. - Wiesz, ja go widziałam. Byłam w szpitalu. On dosłownie nie ma połowy twarzy. Taki wspaniały chłopak!

Wychowawczynie głośno zatrąbiła w chusteczkę i wygodniej usadowiła się na swoim miejscu, co Wika oczywiście odczuła na swoich plecach. Nie drgnęła jednak nawet o milimetr. Wtuliła się głębiej w kaptur i udawała, że na jej miejscu nikt nie siedzi. Samo spotkanie wychowawczynie w autobusie jest wystarczająco krępujące, a co dopiero, gdy już usłyszało się kawałek jej rozmowy z kimś innym? W dodatku przeraziło ją, że jeśli teraz się ujawni, to będzie musiała do końca podróży o czymś z nauczycielką rozmawiać. A o czym? Wołała już podsłuchiwanie. Skuliła się jeszcze bardziej i bez ruchu wpatrywała się w ciemność za oknem.

- ... może rówieśnicy. Wiesz jak to jest z dziećmi. Jednemu drugie potrzebne jest do życia jak powietrze.

- Problem w tym, że to już nie są dzieci. Nie wiem, czy rówieśnicy nie zrobią mu więcej krzywdy niż pożytku. Zresztą matka prosiła, żeby to trzymać w tajemnicy. Ja klasie nic nie powiedziałam. Myślałam, że sami się ruszą, ale gdzie tam!

- Zawsze umiałaś sobie radzić z młodzieżą. Ten chłopiec miał dużo szczęścia, że trafił właśnie do twojej klasy.

- E, tam - zachnęła się wychowawczynie.

- Mówię ci. Masz chore serce, matkę w szpitalu, wyjącego psa, toniesz w długach i jeszcze miejsce w sercu, żeby zalewać się łzami z powodu ucznia. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Panie chyba przytuliły się do siebie, bo Wika poczuła potężne falowanie oparcia.

- Dziękuję ci za dobre słowo - wychowawczynie zaszeleściła nowym opakowaniem chusteczek. - Sęk w tym, że to nie dla mnie ta sytuacja jest trudna, ale dla tego chłopca. Dlaczego akurat on? Takie rzeczy nie powinny się zdarzać! Tylu złych ludzi żyje i ma się bardzo dobrze, a on... Wołałabym, żeby to mnie spotkało. Ja mam już całe życie za sobą, a on... nawet się nie ożeni...

- Chyba przesadzasz. Jeśli to wspaniały, jak mówisz, chłopak, to na pewno któraś się na nim pozna.

- Nie widziałaś go. Z lewej strony ma jakby za mało skóry. Tak jak tkanina, która po praniu skuliła się i na szwach pomarszczyła, tylko dodatkowo wszystko w szkarłacie... O mój Boże... - wychowawczyni znów z rozmachem wydmuchała nos. - Ja zrobię wszystko, żeby on wrócił do klasy.

- Może ktoś już go odwiedził, a ty o tym po prostu nie wiesz.

- Niestety. Codziennie rozmawiam z jego matką. Nikt go nie odwiedził. Ani w szpitalu, ani teraz w domu. Na święta go wypisali. Jest w domu do następnej operacji. Będą próbowali przeszczepu. Nikt nawet nie zadzwonił. Nikt!

- Dlaczego zwyczajnie komuś nie powiesz, żeby do niego poszedł?

- Dlaczego? Bo oni od razu wyczuwają takie rzeczy. Będą wiedzieli, że idą tam z przymusu i on też to będzie wiedział. Znasz powiedzenie „Przymuszony paciorek do nieba nie idzie”? A zresztą pamiętasz, jak nas pocziwa Wespiańska poprosiła, żebyśmy tej starowince spod piątego obiady ze szkoły przynosiły? I co? Nigdy nie mogłyśmy i to z samych „bardzo ważnych powodów”. Jak coś robisz bez serca, to zawsze akurat wtedy coś ważnego ci wypadnie.

- Czuję, że wszystko się dobrze ułoży.

- Ty zawsze tak mówisz...

- I co? Powiedz, że chociaż raz mi się nie sprawdziło. Wiesz, wysiadźmy tu i chodźmy do mnie. Mamy nową kadrową i ona świetnie stawia tarota. Trochę się przy niej podciągnęłam...

- Nie, proszę cię... tylko nie...

- Chodź, chodź. Zobaczysz...

- Błagam... Ostatnio jak mi wróżyłaś, to wyszło, że będę strażniczką pierwszej miłości. Nie, proszę.

- Wiesz, wróżby czasem sprawdzają się po latach.

- Robię to tylko dla ciebie... strażniczka pierwszej miłości... już idę.

Kobiety wysiadły.

W głowie Wiki kołatały się tylko strzępki myśli: „To o Wojtku, o Wojtku, nikt go nie odwiedza, on nie chce żyć”.

Nawet nie czuła, że twarz ma mokrą od łez. Czuła natomiast, że jest jej bardzo gorąco. Z rozmachem rozpięła suwak i zsunęła kaptur. Rozejrzała się po autobusie, jakby szukała śladów niedawnej bytności obu pań. Ale żadnych śladów nie było. W ogóle wszystko wydawało się takie normalne. Skuleni ludzie z siatkami pełnymi zakupów, kierowca cichutko słuchający radia, przeraźliwie zimne powietrze wlatujące przez niedomknięte drzwi... Wszystko było jak zawsze. I to bardzo Wikę zdziwiło. Jak świat może tak spokojnie reagować na to, co przed chwilą usłyszała?

Chciała być już w domu, umyć się i zastanowić, co robić. Ścisnęła siatkę z nową sukienką, żeby przypadkiem jej nie zapomnieć.

Na przystanku (róg Rembielińskiej i Wyszogrodzkiej) stał Daniel. Musiał już długo czekać, bo nos miał czerwony, a włosy lekko oszronione.

Gdy tylko ją zobaczył, taką zapłakaną, od razu chciał kogoś bić. Ale, jak to on, pozwolił jej najpierw wypłakać się na swoim ramieniu i oczywiście nie zapytał, co cię stało. Co tu dużo mówić - Daniel miał klasę. Nagle zachciało jej się śmiać. Jeszcze w wakacje chodziła zła jak osa wyobrażając sobie, że nigdy nikt jej nie pokocha, że będzie gnici sama w domu do późnej starości... A tu Daniel. Miał duży zapas chusteczek i na pewno bardzo ją lubił, bo przecież pozwolił, żeby tak poplamiała mu kurtkę. Roześmiała się krótko.

- Widzę, że ci lepiej.

- Ty chyba mnie bardzo lubisz?

- Bardzo - Daniel momentalnie zmienił ton. To nie były tematy, na które miał zamiar żartować.

- Wiesz, po czym to poznaję? - chciała pokazać mu plamę na kurtce.
- Myślę, że trzeba być ślepym, żeby tego nie zobaczyć.
- Ja to poznaję po plamach. Zobacz, co zrobiłam twojej kurtce.
- O tu, tu nie ma jeszcze plamy, tu możesz sobie popłakać - Daniel pogłaskał ją po ciemnoszarej chustce, którą miała zawiązaną na głowie. - Twoja mama powiedziała, że pojechałaś kupić sobie sukienkę na sylwestra i pomyślałem sobie, że może będziesz wracać.
Daniel odprowadził ją pod blok. Umówili się, że w sylwestra przyjdzie od razu do Darii, bo ona musi tam być wcześniej, żeby upiąć jakieś balony i zrobić kanapki.

- Do sylwestra!

- Do sylwestra!

Daniel podał jej rękę. Ściągnął rękawiczkę i w nagłym impulsive pocałował w wewnętrzną stronę dłoni. Miał bardzo ciepłe usta. Potem, zupełnie na nią nie patrząc, bardzo wolno położył jej rękę na swoim lodowatym policzku i znów pocałował. Od wewnętrznej strony.

Poczuła, że nogi robią jej się miękkie.

*

Ponieważ wcale nie miała ochoty narażać się w domu na pytania, dlaczego jest taka zapuchnięta i przygnębiona, wstąpiła najpierw do pana Henryka. Z nim było o tyle dobrze, że zawsze po zmroku siedział w domu, a oprócz tego, był jedyną znaną Wice osobą, która nie wymagała telefonicznego uprzedzenia o wizycie.

Oczywiście nie miała wątpliwości, że pan Henryk wyczuje, że przed chwilą płakała. Miała też jednak pewność, że nie zapyta. Zresztą mógłby. Te kilka minut z Danielem przywróciły ją nieco do równowagi. Tak jej się przynajmniej zdawało, gdy w przedpokoju zdejmowała kurtkę i buty.

- Kupiłam sobie sukienkę na sylwestra. Proszę obejrzeć i koniecznie pochwalić.

- Jak widzę, ciemnoszara - zażartował pan Henryk, bo wszystko, co nosiła Pysiakowska było ostatnio ciemnoszare. - Bardzo przyjemna. To ty tak się już dekoltujesz?

Wikę to już nie dziwiło, że po krótkich oględzinach pan Henryk mógł opisać ze szczegółami każdy detal. Im dłużej do niego przychodziła, tym bardziej czuła się ułomna. Jakby to jej czegoś brakowało, nie jemu.

- Moja młoda przyjaciółko - zaczął oficjalnym tonem pan Henryk - dziś jest dzień szczególny. Po pierwsze, masz na sobie ten sam miły sweterek co wtedy, gdy do mnie przyszedł pierwszy raz.

Wika aż otworzyła usta, ale po chwili zrozumiała, że panu Henrykowi wystarczy dotknąć czegoś jeden raz. Tak jak jej zobaczyć.

- A po drugie, mam urodziny.

- Ojej! - Wika aż wstała. - Dlaczego pan...

- Bo nie chciałem... Bo chcę, żebyś była dziś moim gościem i zjadła tort mojej produkcji. Zgoda?

- Oczywiście. Wszystkiego dobrego. A przeczytać panu te kartki? - Dopiero przed chwilą Wika zobaczyła stojącą na parapecie specjalną skrzyneczkę z wystającymi z niej pocztówkami.

- Nie. Sąsiad już mi przeczytał. Proszę, umyj ręce i wracaj na słodkie co nieco.

Źle się stało, że Wika poszła do łazienki. Mogła już ten jeden raz w życiu zjeść tort brudnymi łapami. Gdy zobaczyła w lustrze swoją zapuchniętą twarz, od razu przypomniało jej się, dlaczego płakała. Popatrzyła sobie w oczy i nie miała wątpliwości, że to jednak ona jest wszystkiemu winna. Los specjalnie wsadził wychowawczynię do tego autobusu, żeby ją ukarać. Wojtek jest poparzony, dlatego nie ma go w szkole. Daria wie o tym od dawna, ale z

jakichś powodów jej nie mówi. Dlaczego? Dlaczego? „Bo wie, że to przez ciebie” - usłyszała wyraźny głos w swojej głowie.

- Nie, to nie moja wina, ja tego nie chciałam - odpowiedziała głośno.

„Chciałaś. Życzyłaś mu źle. Chciałaś tego i tak się stało. Nie zaprzeczaj sama sobie”.

- Nie, to niemożliwe... - Wika poczuła się potwornie zmęczona. Zamknęła powieki i nie mogła ich już podnieść do góry.

- Wiko, Wiktorio... Otwórz drzwi, proszę, niepokoję się o ciebie.

Wika, lekko się zataczając, wyszła z łazienki.

- Masz kłopoty?

- ...

- Nie musisz mówić.

Przez bardzo długą chwilę siedzieli w milczeniu, po czym pan Henryk ze zdziwieniem usłyszał miarowy, równy oddech śpiącego człowieka.

- Ot, młodość - powiedział szeptem i cichutko poszedł do małego pokoju przynieść pled. Wyłączył wszystkie światła. Zostawił tacę z herbatą i tortem, żeby nie obudzić Wiki i wyszedł poszukać notatnika. Po ciemku mógł to zrobić dokładnie tak samo, jak przy włączonej lampce.

*

Wika spała trzy i pół godziny. Obudziła się dopiero przed ósmą, zupełnie nie wiedząc gdzie jest i co robi, za to słysząc znajome, domowe odgłosy. Opuściła nogi na podłogę. Odrzuciła pled i przeciągnęła się. Odgłosy były zdecydowanie znajome.

- Diupa, Diupa! - darła się, bez wątpienia ich, papuga. A ten rechot? Też był znajomy.

- ... żaby rzępolą na Hrubieszowszczyźnie, a w puszczy piszczy puszczyk... - to był na pewno Krzysio, popisujący się znajomością twórczości kabaretu O.T.T.O.

- O rany, co oni tu robią? - w popłochu zerwała się z kanapy.

- Cześć babciu, cześć Krzychu!

- Ceść - wniebowzięty Krzysio siedział na podłodze zawalony pudłem z najróżniejszymi szpargałami, monetami, starymi nożami do cięcia papieru, zapalniczkami. Za to babcia wyraźnie się zmartwiła na widok wnuczki.

- Już się wyspałaś? Może jeszcze się chwilę zdrzemniesz, dziecko?

- Co wy tu robicie?

- Pan Henryk zadzwonił do nas, że zasnęłaś u niego. Przybyłam więc zbadać sytuację i oboje postanowiliśmy dać ci po prostu porządnie się wyspać.

- Krzysiek, zostaw to, bo coś zepsujesz - Wika nie dowierzała swojej rodzinie.

- A wcale nie! - odpowiedziało hardo dziecko. - Mi wolno. Nie wiesz, że małe dzieci wszystko oglądają tylko rękami. Wujek to rozumie. I pozwala.

- No cóż, nie mógłbym tak miłemu młodzieńcowi odmówić prawa do tego, co robię sam i co ratuje mi życie.

- A ta? - Wika pokazała głową na siedzącą na ręku pana Henryka papugę. - Też musiała tu przyjść?

- No, tak bardzo chciała iść...

- Bardzo dobrze się stało. To tak naturalnie wyszło... Wasza papuga nareszcie pozwoliła mi, po tylu latach, zrozumieć, na czym polega niepowtarzalność ptasiego upierzenia. I wcale się nie broniła. Polubiliśmy się - pogłaskał Diupę po łebku. - Słowem, Wiktorio, wszyscy jesteśmy bardzo z ciebie zadowoleni, bo spędziliśmy dzięki tobie bardzo miłe dwie godziny.

- Tsy - sprostował Krzysio.

W drodze powrotnej babcia nie mogła się wprost nadziwić, jak „ten pan Henryk” sprawnie jej podał jesionkę, jak on „ten pyszny tort” sam upiekł.

- Ale jak on do nas zadzwonił? - nie mogła zrozumieć Wika.

- Normalnie. Ma notes z alfabetem brajla - Krzysio postawił sam siebie w pozycji znawcy.

- Jaki to przeuroczy pan... Nie wiesz czasem, które to jego urodziny, bo jakoś nieskładnie było mi pytać.

Wika spojrzała na babcię podejrzliwie.

- Babciu, umówiłaś się, że mu kiedyś poczytasz?

- Tak, a co w tym złego... Zresztą, co ja mam robić? Jestem w końcu na emeryturze i mogę robić, co chcę - momentalnie poprawiła się babcia.

*

Zima dopisała jak nigdy.

W sylwestra było śniegu po kolana i Wiktor z Krzysiem spędzili dobre trzy godziny na sankach w Parku Bródnowskim. Co jak co, ale górka to tam jest pierwszorzędna. Było za to piekielnie zimno i wiało, ale co z tego, kiedy takiej zimy Krzysiek właściwie jeszcze nigdy nie przeżył.

Wiktor z Damroką wybierali się na sylwestra do Podkowy Leśnej. Nie do babci oczywiście, tylko do kolegi Wiktora. Ten kolega nawet pytał go złośliwie, czy będzie z dziewczyną, ale Wiktor wolał odpowiedzieć „z koleżanką”. Ojciec latami wkładał mu do głowy, żeby nie chwalił dnia przed zachodem słońca.

- Z koleżanką? - Miłosz znacząco pokiwał głową i, cokolwiek miało to znaczyć, wpisał na listę: „Wiktor + 1”.

Rodziców ta Podkowa Leśna bardzo ucieszyła, bo, w razie czego, można zawsze poszukać azylu u babci.

Byli zaproszeni na dziewiątą. Wiktor od dziesięciu minut stał pod blokiem Damroki, ponieważ ustalili (to znaczy Damroka ustaliła, a Wiktor nie miał wyjścia), że na razie nie będą poznawać swoich rodzin. Wiktor stał więc w zaciszu klatki przy ulicy Karola Lineusza, trzymał w białej reklamówce z napisem „Czytam, więc jestem” szarlotkę w okrągłej tortownicy i sałatkę jarzynową z majonezem w litrowym słoiku po ogórkach konserwowych. Słuchał strzelających petard, którymi już teraz czczono Nowy Rok, i czekał. Nie było mu zimno. Dostał od Damroki odlotową czapkę z rogami i mimo, że była z polaru, nosił ją uparcie nawet w cieplejsze dni. Taki symboliczny gest. Ubrał się wygodnie i wiedział, że Damroka też nie przyjdzie z błyszczącymi na srebrno powiekami. Punktualnie co do sekundy Damroka wysiadła z windy, owinięta fioletową chustką. Wiktorowi zrobiło się gorąco. A prawdę mówiąc, ścisnęło go nawet w dołku.

- Cześć! - podali sobie ręce, a Wiktor w przypiływie uczucia przytulił Damrokę i delikatnie ją pocałował, nie trafiając w usta, tylko gdzieś w okolice lewego oka.

- Taaak... - Damroka wyraźnie się speszyła. - To co robimy z resztą wieczoru?

Doszli do ronda Starzyńskiego, wsiedli do autobusu, a potem do kolejki WKD. Wagony były prawie puste i, niestety, strasznie przegrzane. Musieli więc zdjąć kurtki, które Wiktor natychmiast starannie ułożył sobie na kolanach.

Chciał na Gwiazdkę podarować Damroce kubek z jednoznacznym napisem „Kocham cię” lub „Razem jest lepiej” (ten ostatni widział u Gwidoszów), ale po rozmowie z tatą, zrezygnował. Może rzeczywiście za wcześnie na takie deklaracje? W końcu wybrał neutralny prezent w postaci gigantycznej, ciepłej, fioletowej chusty ze sklepu indyjskiego. Oczywiście Wika usiłowała go nakłonić, żeby jej odsprzedał, ale był twardy. Zresztą zaraz po świętach poleciała i kupiła sobie taką samą, tylko ciemnoszarą.

Gdzieś w okolicach Malich Damroka zapytała, czy dobrze zna Choszczówkę.

Niestety. Mimo że Choszczówka to las najbliższej jego domu, nigdy tam nie był. I musiał się do tego teraz przyznać.

- To bardzo dobrze. Może uda mi się kiedyś zaciągnąć cię tam i zgubić w środku lasu, bo ja tam bywam od zawsze.

- Nie musisz mnie zaciągać. Wystarczy, że powiesz, kiedy tam będziesz.

Wiktor był dziś nastrojony bardzo romantycznie i postanowił sobie, że nie będzie już dłużej trwać w niepewności. Nie chciał już być tylko kolegą Damroki. Zrobiłby wszystko, żeby, wracając do Warszawy, trzymać ją za rękę i wiedzieć, że... no, wiedzieć, że ona też.

- Może pojedziemy tam jutro? Wyśpimy się i pojedziemy.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Tam trzeba być rano. Jak się wyśpimy i znowu spotkamy, to będziemy tam łązić po ciemku. Koło czwartej będzie już czarna noc.

Damroka popatrzyła w kierunku okna. Na dworze panowała ciemność, a jasno oświetlony wagon odbijał ich postacie w szybach. Mieli fioletowe twarze ze względu na trupią poświatę, jaką dają jarzeniówki. Oboje patrzyli przez chwilę na swoje odbicia w szybie. Pomyśleli chyba o tym samym, bo każde uśmiechnęło się do swoich myśli. Wiktor zdecydował, że to dobry moment. Obrócił się leciutko w stronę Damroki i zaczął szukać czegoś pod kurtkami.

- Czego tam tak szukasz?

- Twojej ręki - odpowiedział po prostu. Ale Damroka znów wbiła wzrok w szybę.

- Wiktor, ty nie wiesz o mnie wszystkiego. Może to jeszcze nie czas.

- Ja myślę, że to najwyższy czas.

- A ja nie. Chcę być pewna tak do końca.

- Gdy byłem mały, mama czytała mi książki, w których dzielni rycerze zdobywali piękne, nieszczęśliwe księżniczki, a one były tym zachwycone. Ty nie czytałaś takich bajek?

- Dzielni rycerze, powiadasz? Księżniczki? Ja zaczytywałam się w Ronji, córce zbójnika. No, powiedz, czy ja wyglądam na księżniczkę? - Damroka zrobiła głupią minę i wybałuszyła oczy. Ale Wiktor brnął dalej.

- Wyglądasz - i nie mówiąc już nic więcej, odszukał jej lewą rękę i schował w swoich dłoniach. Damroka ze smutkiem popatrzyła na ich splecione, gorące dłonie i Wiktor miał spore trudności z rozpoznaniem, czy brzydzi się jego spoconej z emocji i temperatury ręki, czy raczej delektuje się chwilą. W to ostatnie jednak trudno mu było uwierzyć. Myślał sobie, że gdy ją już wreszcie przytuli czy pocałuje, to jakby wszystko jej wyzna i słowa nie będą potrzebne. Teraz niby trzymał ją za rękę, ale zupełnie nie wiedział, co dalej. Co z tym dalej robić? Czy jej to ciąży? Nie dawała mu żadnych sygnałów i przez jedną, krótką chwilę Wiktor pomyślał, że zwyczajnie się narzuca.

Aż do Podkowy Leśnej nic nie mówili. Bo co tu jeszcze trzeba było mówić...

*

Na imprezie Damroka robiła furorę. Bez przerwy z kimś tańczyła. A najczęściej z Miłozsem, gospodarzem imprezy. Teraz znów tańczyli razem. Wiktor stał pod ścianą, trzymając jej wypełniony po brzegi zielonymi oliwkami nadziewanymi kawałeczkami papryki talerzyk i zżerała go zazdrość.

Nawet podczas toastu noworocznego nie udało im się pocałować, ani nawet przytulić. Wiktor zaczynał, a raczej przestawał, oszukiwać sam siebie. Damroka robiła wszystko, żeby się z nim nie bawić. Poczł bardzo bolesne ukłucie zazdrości. Głupio przyjść na imprezę z dziewczyną i nawet z nią nie zatańczyć, prawda? Damroka pojawiła się tylko na chwilę, łapczywie zjadła kilka oliwek i zdążyła wykrzyknąć:

- Jak się bawisz?! - po czym nagle zniknęła, ciągnięta za rękę przez Miłozsa. Posłała tylko Wiktorowi przepaszające spojrzenie. Na szczęście jakaś dziewczyna uśmiechnęła się zachęcająco do niego.

Odstawił talerzyk na parapet i poszedł tańczyć. Wiktor widział, jak Damroka znika w ogromnych, umięśnionych ramionach Miłozsa. Nie mógł tego znieść. „Nie wiesz o mnie

wszystkiego! Nie wiesz wszystkiego...” Z całej siły przytulił do siebie swoją partnerkę, aż ta pisnęła (może z zachwytu, może z bólu - kto wie?) i zaczął słuchać o czym mówią tamci (nie oczywiście nie mógł usłyszeć, ale próbować zawsze warto). Nie mógł oderwać wzroku od wielkiej łapy Miłosa rozłożonej jak pieczęć na plecach Damroki. Widział, że ona się śmieje. „Bezczelna. Zgrywa niewinną, nawet przytulić się nie da. To znaczy, jemu nie da się przytulić, bo Miłosa...” »Nie wiesz o mnie wszystkiego...«. Już chyba wie”. Zaczynał mieć jej dość. Chciał, żeby już była szósta rano i żeby wreszcie mógł znaleźć się w domu.

Teraz Damroka szeptała coś Miłosowi na ucho! Dosłownie chwilę później Miłosa zaproponował grę w butelkę. No tak! Będą całować się na moich oczach. I to będzie tylko zabawa, tylko zabawa. „Jeśli się obrażę, to na dodatek wyjdę na idiotę” - pomyślał.

- ... w butelkę? E, to głupie - Miłosa usłyszał w odpowiedzi, ale nie zważając na to, pogasił światła, zostawił jedną marną świeczuszkę i nawet sam się zdziwił, jak wszyscy chętnie usiedli w kółeczku. Zaczęli. Damroka wsadziła sobie jeszcze kilka oliwek do buzi i usiadła tuż przy Wiktorze. Nawet uśmiechnęła się do niego jakoś głupawo. Nie zareagował.

Bawili się wyśmieniem. Chłopcy padali sobie w ramiona w silnym „misiaczku”, pary całowały się długo i namiętnie przy wtórze chóru odliczającym długość pocałunku, a kiedy padło na Wiktora i Monikę, koleżankę z jego klasy, po prostu cmoknęła ją w rękę, na co ta powiedziała:

- Dziękuję - widocznie jej ulżyło, że nie musi obcałowywać się z obcym facetem.

Na Damrokę nie wypadło ani razu. Widać była zawiedziona, bo siedziała sztywna jak kołek. Wręcz odrętwiała. Wiktor już jej wybaczył i zerkał na nią ukradkiem, ona jednak była blada, wyglądała dziwnie. Wyraźnie coś się z nią działo. Ma pewnie dość tego wieczoru albo może myśli o kimś innym? Teraz dopiero zobaczył, jak Miłosa się na nią gapi. Dosłownie rozbierał ją wzrokiem, a ona... też jakby patrzyła znacząco...

Gdzieś około drugiej Miłosa nagle wyszedł z pokoju. Nie minęła minuta, jak Damroka wyszła za nim.

Nie było ich dobre dwadzieścia minut.

Może i więcej, ale Wiktor nie czekał dłużej. Po prostu złapał kurtkę, spojrzał na czapkę z rogami łosia i aż go od niej odrzuciło. Nie wziął jej (czego miał szybko pożałować) i wyszedł.

Kiedy doszedł do stacji WKD, było wpół do trzeciej. Pierwszy pociąg miał się pojawić o czwartej piętnaście. Ale śnieg padał całą noc i Wiktor nie miał pewności, czy dziś w ogóle nadjedzie. Postawił kołnierz puchowej kurtki i, zapadając się po łydki, pomaszzerował w kierunku Warszawy.

Przed sobą miał kilkanaście kilometrów rozmyślań.

*

O jedenastej rodzice wrócili od Sobczaków. Wuj tym razem nagrał sam siebie w krótkiej anegdotce o profesorze Winerze:

- Student wszedł na Poczta Główną, by wysłać list do rodziny. Zauważył stojącego przy oknie profesora Winer. Zamyślony profesor trzymał pióro nad drukiem pocztowym. Student odczekał chwilę, by cieszącemu się powszechnym szacunkiem profesorowi nie przeszkadzać. W końcu ośmielił się uklonić grzecznie i głośno powiedział: „Dzień dobry, profesorze Winer”. Profesor, wyrwany z zadumy, rozpromienił się na widok studenta i odrzekł: „A właśnie! Winer!”

Krzysio, śmiertelnie obrażony na rodzinę, że nie pozwalają mu zaprosić do siebie Marzenki, wisi na telefonie i szeptem ustalał, jaki piękny byłby świat bez rodziców. Musiał być bardzo urażony, skoro nie zareagował nawet na zaczepkę swojego wujka, który wygrzebał z pamięci stary wierszyk „Leży Jerzy koło wieży i nie wierzy, że na wieży leży gniazdo nietoperzy”. Popatrzył tylko na niego jak na dzieciennego starca i poszedł oglądać

u siebie *Wielką podróż Bolka i Lolka* - prezent od Mikołaja; od Gwiazdki obejrzą już z dziewięć razy, czyli więcej niż raz dziennie.

Dorośli zjedli resztki świątecznego makowca. Ciocia tylko drożdżowe, bo karmiła Maćka piersią. Była tak zmęczona i tak nieskutecznie maskowała, że ziewa, iż Wanda z mężem czym prędzej się pożegnali i wrócili do siebie, zabierając kawałek ciasta dla papugi.

Diupa spała, schowawszy głowę pod skrzydło. Bojkotowała sylwestra.

Teraz ojciec rozpoczynał swój „wielki plan”.

- Masz film?
- Mam. Wypożyczyłem *Casablankę*.
- Mam nadzieję, że jest czarno-biała.
- A jaka ma być?
- Nie wiem, ale skoro pokolorowali *Przeminęło z wiatrem...*
- Masz ci los, o tym nie pomyślałem.
- Poczekaj, podam tylko moje dzieło - Wanda poszła do kuchni. - No nie! - zawołała po chwili. Waldek natychmiast znalazł się obok niej.
- Komuś bardzo smakowało moje *foie gras**
- Zrobiłaś *foie gras*? - ojciec rozczulił się.
- Tak, ale została tylko rozdziobana pacia. Dlaczego nie schowałam do lodówki?
- Daj spokój. Zjedzmy coś innego, co zastąpi nam *foie gras*.
- Ciekawe, co niby zastąpi *foie gras* - mruknęła. Zrobiła krótki przegląd zawartości lodówki i zdecydowała się na wczorajszą ogórkową.

* *Foie gras de canard* - pasztet francuski z kaczyczych wątróbek. Tu: pasztet domowy *à la foie gras*.

Wyjęła posrebrzaną tacę (prezent ślubny od siostry), przykryła ją koronkową serwetą (prezent urodzinowy od teściowej), do małego flakonika wstawiła spory liść scindapsusa z kuchni i zaczynała być bardzo zadowolona z efektu. Wypolerowała dwa długie kieliszki do szampana, po którym zawsze rano bolała ją głowa, ale za bardzo kochała swojego męża, żeby o tym teraz myśleć. Sprawdziła, czy Diupa na pewno śpi. Kiedy wszystko było już dopięte na ostatni guzik, weszła ze słodkim uśmiechem do sypialni. Magnetowid pokazywał siedemnastą minutę projekcji... a jej mąż spał. I nawet lekko pochrapywał. Wanda parsknęła śmiechem i wycofała się z tacą do kuchni. Przebrała się w grubą, flanelową koszulę w koguciki (kupioną kiedyś na wczasach w Kołobrzegu). Wyłączyła magnetowid i telewizor. Przez cały czas uśmiechając się pod nosem, weszła do wygrzanej pościeli. Wtuliła się w swojego męża i bardzo szybko zasnęła.

Nie miała zamiaru czekać do dwunastej.

*

Diupę obudziły wybuchające za oknem petardy. Postanowiła rozejrzeć się trochę po domu. Niestety, wszyscy spali albo gdzieś sobie poszli, a ona zaczynała się nudzić. Bez celu oblatywała mieszkanie, przysiadając to tu, to tam. Jej uwagę zwróciły szpargały na biurku Wiktora. Przyczepiła się do brzegu blatu i, przekrzywiając łeb, zaczęła je oglądać. Szczególnie podobał jej się mały okrągły przedmiocik przypominający ziarenko. Diupa uznała więc, że to jest ziarenko. Chwyciła je dziobem i zamierzała odlecieć do kuchni, w której czuła się najlepiej. Poderwała się do lotu.

Nie wiadomo, czy to na skutek wysiłku związanego z lotem, czy czegoś innego, nacisnęła na ziarenko, a ono wybuchło.

Pióra na głowie Diupy zaczęły się palić. Ona sama wrzasnęła niewiarygodnie głośno. Poczwała, że świat wokół zawirował. Zrobiło jej się przed oczami bardzo ciemno. Straciła

przytomność i upadła z głośnym plasnieniem na podłogę w przedpokoju, wydzielając charakterystyczną woń spalenizny. Dopalały jej się pióra na głowie.

Była północ. Zaczął się całkiem Nowy Rok.

Ale Diupa już go nie doczekała.

Rozdział 5

Są pewne żelazne zasady, których trzeba przestrzegać. Na przykład papuga powinna mieszkać w klatce, a nie latać swobodnie, gdzie jej ptasia dusza zapragnie. Piszą o tym we wszystkich książkach na temat papug. Nie powinno się też karmić jej poza klatką, bo jakie będą argumenty, żeby w ogóle zechciała do tej klatki wejść? Diupa miała stanowczo za dobrze. Oczywiście, gdyby wiedziała, jak straszna przygoda ją spotka, zapewne wcisnęłaby się nawet do za małej klatki dla papuzek falistych. Gdyby... ech, szkoda słów.

Istotnie - Diupa nie doczekała Nowego Roku. Nie doczekała w stanie pełnej przytomności. Z omdlenia ocknęła się około dwunastej trzy i, lekko się zataczając, stanęła na łapach. Bolała ją głowa. Na dodatek oczy ją piekły, a dziób rwał. Chwilę zastanawiała się co zrobić, po czym bez skrępowania nocną porą zaczęła się wydzierać i wołać pomocy.

- Diuuupa! Diuuupa! - obudziło ojca skrzeczenie ptaka. Usiadł i rozejrzał się. W salonie nie działo się nic szczególnego. Za oknem raz po raz wybuchały potwornie głośne petardy, a jego żona pochrapywała zwinięta w kłębek obok niego. Ojciec jednak zdecydował, że zrobi obchód po mieszkaniu.

- Diuuuuupa! - usłyszał niecierpliwe wołanie. - Diuuuuupaaaa! - domagało się zainteresowania ptaszysko.

Czym prędzej założył rozdeptane sztruksowe kaptcie i poczłapał do przedpokoju.

Po dosłownie dziesięciu minutach siedzieli już ubrani, zwarci i gotowi w samochodzie. Mama co prawda założyła sweter na koszulę nocną i teraz spod płaszcza wystawały jej sprane koguciki, ale za to odnalazła wczorajszą gazetę z informacjami o ostrym dyżurze. Niestety, ostrego dyżuru weterynaryjnego nie było na Grochowskiej ani nigdzie indziej, albo oni nie umieli go znaleźć. Nie czekając aż los podsunie im lepszy pomysł, pojechali do szpitala na Kondratowicza, w którym był akurat dyżur okulistyczny.

Mimo że oboje mieli ze sobą ważne książeczki zdrowia z PESEL-ami i innymi numerami, które są absolutnie niezbędne, żeby pani z rejestracji dopuściła pacjenta przed miłościwe oblicze lekarza, nic nie pomogło. Diupa nie była objęta ubezpieczeniem w Mazowieckiej Kasie Chorych i cała trójka musiała odejść z kwitkiem.

W grobowych nastrojach wladowali się znów do samochodu. Diupa cały czas dygotała i w ogóle się nie odzywała, co najbardziej niepokoiło rodziców. W końcu mamę olśniło. Wyglądając przez okno nowego mieszkania, nieraz widziała kolorowy neon „Klinika dla zwierząt”. Na szczęście właśnie teraz sobie o tym przypomniała.

We wszystkich oknach było jasno i wylewał się z nich odgłos hucznej sylwestrowej zabawy. Dobre dziesięć minut zajęło im dobijanie się do drzwi, ale w końcu wpuszczono ich do tonącego w balonach wnętrza.

- Nareszcie! - przywitały ich różne głosy. - Chodźcie, musicie wypić po karniaku! Dajcie dla spóźnialskich dwie duże cole z lodem i cytryną.

Kiedy wreszcie udało się ustalić, kim są, po co przyszli i kto tu jest weterynarzem, okazało się, że prawie każdy jest weterynarzem, ewentualnie żoną weterynarza, a w dwóch przypadkach nawet mężem weterynarza.

W gabinecie na półpiętrze przyjął ich weterynarz w stroju Indianina, a najprawdopodobniej, oceniając po rozmiarach pióropusza, samego wodza Indian.

Diupa od razu podejrzliwie spojrzała na jego dorodny i barwny pióropusz i zaskrzeczała coś w rodzaju „Diuuuu” i wyraźnie zaczęła się wrywać. Na pewno pomyślała, że jako osobnika wybrakowanego zamierzają ją teraz sprzedać jak włosy - na perukę.

- Proszę państwa, ptak przeszedł szok. To i tak cud, że obrażenia są tylko takie. Absolutnie nie powinien przebywać cały czas na wolności. Rozumiem państwa motywacje, ale to jest bardzo nierozważne. Klatka, to nie więzienie dla ptaka, ale zwyczajne bezpieczeństwo - po wnikliwym badaniu poinformował Indianin. - Papuga ma rozległe poparzenia. Brak piór może spowodować wychłodzenie ciała; trzeba ją trzymać w ciepłe, bez przeciągów. W dwóch miejscach trzeba założyć opatrunki, najgorzej dziób... utrata sporej części tkanki... ale jest młoda i silna, wyjdzie z tego. Jak jej na imię?

- To... Diupa - odpowiedział ojciec zgodnie z prawdą.

- Wie pan, ja bym nie był tak pesymistyczny, rokowania wcale nie są takie złe, jak pan przypuszcza. Raczej na pewno wyjdzie z tego. Proszę być dobrej myśli. To pomoże zwierzęciu. Jakie imię wpisać do karty? - powtórzył pytanie.

- No, Diupa.

- Imię? - ponaglał Indianin.

- Burcia - wypaliła nagle mama.

Indianin łypnął na nią spod masywnego pióropusza i wpisał imię.

- Burcia. Ludzie tak zazwyczaj nazywają koty. Może chcecie państwo kociaka? Mamy cztery syjamy na zbyciu. Oddamy za darmo. Dorzucę jeszcze parę skoczków pustynnych, bardzo estetyczne zwierzątka.

- Ale wie pan, mamy już papugę - odparł skonsternowany ojciec.

- A tak, rzeczywiście, jednak ja bym nalegał. Zwierzęta najlepiej hoduje się po kilka. To co? Bieriecie państwo kotka?

- No, to może... - asertywność na pewno nie była mocną stroną Wandy Rybackiej, dlatego ojciec czym prędzej wkroczył do akcji.

- Nie, dziękujemy. A pan jakie ma zwierzęta?

- Nie, ja nie ma żadnego. Wiedzą państwo, jest tyle roboty ze zwierzakiem, a ja lubię się wspinać. Na Jagiellońskiej otworzyli świetną ścianę wspinaczkową. Byli państwo?

Około drugiej trzydzięci wrócili w domu. Mama zaraz przygotowała Diupie okłady z maści nagietkowej i z czułością oglądała jej poparzony, pozbawiony piór korpus. Ptak wcale nie wyglądał źle. Łypał okiem i rozkoszował się stuprocentowym zainteresowaniem rodziców.

- Moja Burcia kochana, mała śliczna Diupeczka, pani posiedzi dzisiaj przy swojej Diupuni - zadeklarowała mama.

- Co my powiemy dzieciom?

- Coś im trzeba powiedzieć. Wiktor sobie nie daruje tego kapiszona. Z drugiej strony powinien był przewidzieć... Zachował się bardzo nieodpowiedzialnie, nie wolno go chronić nadmiernie. Wiesz kochanie, nie będziemy go wpędzać w poczucie winy. Przedstawimy im inną wersję wydarzeń.

- Na przykład jaką?

- Na przykład... na przykład, że Diupa się upiła szampanem bez naszej zgody i kiedy poszliśmy spać, otworzyła szufladę, wyjęła z niej paczkę zapalek i zaczęła się nią bawić.

- Myślisz, że oni w to uwierzą?

- No tak, raczej nie.

- Niestety, Wiktor musi się zmierzyć z tym, że to on zostawił ten nieszczęsny kapiszon.

- Chętnie bym go okłamała i powiedziała, że to przeze mnie.

- Ja też, ale on ma prawo wiedzieć, że to przez niego. Niestety.

- Wiem, że ma prawo, ale tak mnie kusi, żeby mu to prawo odebrać. To by było bardzo źle, prawda?

- Bardzo. Ma prawo wiedzieć. Zobacz: ona wygląda całkiem dobrze. Ty wiesz, ona mi wręcz wygląda na głodną.

Diupa może i była w szoku, może i była poparzona, ale apetyt jej dopisywał. Zjadła całego melona, który w innych okolicznościach starczyłby jej na cztery dni.

*

Wiktor wrócił do domu i bez włączania światła rzucił się na łóżko i zasnął. Spał do trzynastej. Kiedy się obudził, postanowił przede wszystkim w ogóle nie myśleć o tym, co się stało. „Bo co się niby takiego stało? Nic. Nic się nie stało”. Jednak cały czas widział, jak Damroka po prostu wyszła za tym tandetnym Miłozsem. „I dobrze. Bóg z nimi! Niech za nim leci. Mnie to w ogóle nie obchodzi. Nie było sprawy. Jak ona mogła? »Nie wiesz o mnie wszystkiego...«. Na pewno się całowali... Pewnie rozmawiali o mnie. Może nie, bo mieli zajęte usta. Za sekundę zwariuję. Ale dlaczego niby mam zwariować, przecież mnie to w ogóle nie obchodzi. Ciekawe czy się całowali? Na pewno tak. Co innego można robić tyle czasu? No nie! Koniec. Idę zrobić herbatę”.

W rozmątlanym ubraniu i z kubkiem herbaty wszedł do pokoju Wiki.

- Cześć, siostró! - podrapał się po zmierzwionej fryzurze. Wika wbiła kamienne spojrzenie w kubek z gorącą herbatą i wymamrotała pod nosem:

- „Nowe przysłowie Polak sobie kupi, że i przed szkodą, i po szkodzie - głupi”.

- O co ci chodzi?

- Rodzice ci nic nie powiedzieli? - popatrzyła na brata wymiętego do granic możliwości. Nie wyglądał dobrze.

- Nie. A co się stało?

- Wiktor, zostaw mi tę herbatę. Ja jej przypilnuję, żeby nic się nie stało. A sam idź do rodziców - powiedziała to zupełnie innym tonem, ciepłym. - No, idź. I... trzymaj się.

Rodzice siedzieli w kuchni. Powiedzieli mu co się stało i Wiktor bez słowa poszedł do dużego pokoju, gdzie pod akwariem siedziała w kucki nastroszona Diupa.

Wiktor rozbeczał się jak dzieciak. Płakał i nie mógł się uspokoić. Wika chciała obejrzeć Seksmisję, którą pożyczyła od Darii, ale kiedy zobaczyła brata, odwróciła się na pięcie i, najciszej jak umiała, zamknęła za sobą drzwi. Gestem pokazała rodzicom, żeby nie wchodzili.

Wiktor siedział z ptakiem ponad dwie godziny. Kiedy wyszedł, miał w jednej ręce dracnę, a w drugiej szczelnie zabazgraną kartkę.

- Mamo, to trzeba wyrzucić, bo jest trujące. Cud, że wcześniej się nie otruła. Tato, budujemy woliere. Ja rezygnuję z...

- Ja też już o tym myślałem. Ona nie może tak swobodnie latać. Będzie na wolności tylko wtedy, gdy któreś z nas będzie w domu.

- Tak. Jeszcze drzwi do kuchni. To jest dla niej najbardziej niebezpiecznie. I jakieś grube zasłony albo siatki na okna; przecież wiosną...

- Synku, nie zdręczaj się... - mama umilkła jednak w pół zdania i zabrała się za noworoczny obiad. Za chwilę mieli pojawić się wujowie i babcia.

- Synu - zaczął ojciec - zdarza się. Naprawdę.

- Możliwe. Mnie się więcej nie zdarzy. Tato, wskoczę tylko w dres i zabieramy się za woliere.

- Macie zamiar pracować? Nie wiecie, że jaki Nowy Rok, taki cały rok? Dajcie dziś spokój.

- Nie, ja będę pracował. Oczywiście, chodzi wyłącznie o pracę fizyczną, bo uczyć, to ja się dzisiaj na pewno nie będę.

Zanim reszta rodziny ściągnęła na obiad, zdążyli już zdewastować sporą część gabinetu, który z wolna przeistaczał się w woliere.

Siódmego stycznia ich mieszkanie przypominało gigantyczny, bezpieczny wybieg dla ptactwa.

Mądry Polak po szkodzie.

*

Obrzydliwie pachniało szpitalem. Wśród wielu poparzonych petardami najmłodszym był dwunastolatek, który stracił dwa palce. Do tego masa pacjentów z problemami żołądkowymi. W największej sali, przy samych drzwiach, w wykrochmalonej pościeli leżał ktoś, kto co chwila nerwowo przełykał ślinę, usiłując powstrzymać odruch wymiotny, spowodowany gumową rurką wystającą z ust. „Dobrze się stało, że właściwie do niczego między nami nie doszło. Przynajmniej nie mam powodów, żeby się zadreć. Wprawdzie trochę mi przykro, ale nie zamierzam się tym przejmować. On przecież nawet nie dał mi szansy na wyjaśnienie czegokolwiek! Na pewno się obraził, że popsulał mu cały wieczór. No tak, nie mógł przecież wiedzieć, dlaczego nagle wybiegłam z pokoju, ciągle pewnie nie wie, że przez pół godziny odchorowywałam w toalecie pochłonięte wcześniej gigantyczne ilości oliwek. A, potem... tego, nawet ja sama nie pamiętam... jazda karetką, to tylko zamazane wspomnienie... Jedno jest pewne - zmarnowałam mu sylwestra. Tyle razy tańczyłam z Miłozsem, a przecież to z Wiktoorem tam przyszłam. Ja umiem tylko wszystko psuć!”

Damroka zdążyła już zamoczyć łzami sporą część poduszki, kiedy nadeszła pielęgniarka.

- Tak cię boli, dziecko?

- Nie - pokręciła głową Damroka. Kiedy pielęgniarka wyjęła jej rurkę, dodała - tak sobie płaczę. Ogólnie.

- Chłopak?

Damroka chlipnęła ze zdwojoną energią.

- Jesteś młoda i ładna. Im prędzej dowiesz się, że faceci to straszne dranie, tym dla ciebie lepiej.

- Nie pociesza mnie to.

- Mnie też to nigdy nie przekonywało - odparła pielęgniarka. - Ale wszystko się ułoży. Nie płacz. Taka jesteś blada i jeszcze płaczesz. Bądź twarda. Może on jutro przyjdzie?

- Nie - pokręciła głową zapłakana Damroka. - A siostra jest twarda? - Damroka popatrzyła na śliczne, ufarbowane na rudo włosy pielęgniarki.

- Ja? Nigdy nie jestem twarda i zawsze płaczę. Właściwie to wtedy zawsze mi lepiej. Wiesz, co? Ten chłopczyk obok ciebie, Piotruś Napłoszek, boi się spać sam. On jest z Domu Dziecka. Ciągle jest sam, nikt go nie odwiedza - szepnęła jej cichutko. - Może opowiesz mu bajkę?

- Bajkę? Nigdy w życiu. Nie umiem. No, naprawdę nie umiem.

- Spróbuj. Najgorzej za dużo myśleć o sobie. Posuń się trochę, jeszcze trochę.

- To w szpitalu też nie wolno myśleć o sobie?

- Szczególnie w szpitalu. No, spróbuj - pielęgniarka wzięła małego, zapuchniętego czterolatka i bez pardonu wcisnęła Damroce pod kołdrę. - No spróbuj, spróbuj.

- Nie umiem - powiedziała jeszcze bezgłośnie Damroka, ale kiedy zostali sami, Piotruś wtulił opuchniętą twarz w jej pachę i nie miała już wyjścia. Zaczęła śpiewać pierwszą piosenkę, która przyszła jej do głowy.

Po czwartej z rzędu „Dajanie” chłopczyk spał jak kamień.

*

Miłosz, oddając Wiktorowi czapkę z rogami łosia, nie oszczędził mu szczegółów dotyczących obfitych torsji Damroki. Powiedział mu wszystko co widział, wiedział i trochę

tego, co sam zmyślił. Podkolorował trochę swoją rolę w całej sprawie. Inny na jego miejscu podkolorowałby znacznie więcej, więc nie zrobił w końcu nic złego, przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Jednak bez względu na to, jak barwnie opisywał Miłosz swoje umiejętności w zakresie udzielania pierwszej pomocy, jedno było faktem: Damrokę w nocy zabrano pogotowie. Nie wiadomo do jakiego szpitala.

Wiktor ustalił to bez trudu, dzwoniąc kolejno do szpitali i tym samym nabijając rodzinny rachunek telefoniczny. Za jedenastym razem miał szczęście. Leżała na Niekłańskiej.

*

Łodyżki kupionych przez niego stokrotek były skutecznie zmiażdżone z powodu wielominutowego międlenia. Gdyby Damroka chciała wstawić je na przykład do wazonu, musiałyby obciąć im ogonki niemal do samych główek, bo biedne szklarniowe kwiatki wiele przeszły, zanim Wiktor ostatecznie się zdecydował, że wchodzi.

- Wchodzę! - powiedział głośno do obwisłych kwiatków. I kolejne dziesięć minut spędził pod szpitalnymi drzwiami.

Miał w głowie totalną pustkę.

Czuł się jak ostatni palant.

Damroka nie była sama. Przy jej łóżku, na obdrapanym, białym krześle, które na pewno przetrwało kadencję niejednego ordynatora, siedział uśmiechnięty od ucha do ucha mężczyzna. W pierwszej chwili wydał się Wiktorowi znajomy, ale już przy przedstawianiu to wrażenie znikło. Ojciec Damroki był super. Od razu potraktował go jak dorosłego faceta (nie było to dziwne zważywszy, że Wiktor dosłownie za chwilę miał składać wniosek o dowód osobisty). Spał dowcipami i przejął naturalnie ciężar rozmowy na siebie. Damroka mówiła, że jej ojciec jest dyplomata i Wiktor pomyślał, że to po nim widać. Facet miał klasę.

Damroka wyglądała pięknie. Była blada jak ściana, pod oczami miała sine obwódki, włosy przyklejone do czaszki. Spod sztywnej, burej szpitalnej pościeli wyglądała tylko sama głowa. Wiktor jednak nie mógł od niej oderwać wzroku. Jemu wydawała się naprawdę piękna.

- No, proszę państwa, pójdę już - ojciec Damroki podniósł się, a po sali rozszedł się zapach klasycznej męskiej wody kolońskiej. - Zostawiam was. Wpadnę jutro, córeczko, i zabiorę do domu, bo jutro już cię puszcza. Miło mi było - wyciągnął do Wiktora męską dłoń. - Czołem, młodzieży!

Odszedł, zostawiając „młodzież” w totalnym skrępowaniu, któremu nie pomogło nawet ujawnienie wymiętoszonych stokrotek.

Zapewne tkwiliby tak, milcząc aż do zakończenia odwiedzin, a potem całą noc zagryzaliby się tym, dlaczego się nie odezwali, gdyby nie nauczycielka.

Z wielkim, wiklinowym koszem weszła na oddział kobieta pod sześćdziesiątkę. Miała długi, zaczesany w kok warkocz. Zdecydowanym głosem zarządziła, że wszyscy będą oglądać slajdy. Z pomocą Wiktora i kilku tatusiów rozstawiła rzutnik, ustawiła ekran, poprzestawiała stoliki i krzesła, zgasła światło i zaczęła urozmaicać dzieciom pobyt w szpitalu, wyświetlając bajkę *Wyprawa na targ*.

Damroka leżała w łóżku, a tuż obok niej, mniej więcej w połowie długości łóżka, na szpitalnym krześle, oparty plecami o jej pościel siedział Wiktor i śledził rozwój akcji w nieskomplikowanej bajeczce.

Prawdę mówiąc, kompletnie nic nie rozumiał. Częściowo chyba z tego powodu, że był bardzo zdenerwowany. Niczego sobie jeszcze nie wyjaśnili, nie udało mu się przeprosić, ani wytłumaczyć. Chociaż siedział jak słupek soli i ani drgnął także z innego powodu.

Miał nadzieję, że zawsze już tak będzie: ciemno, zapach lizolu, niewygodne krzesło i gadające buraczki na slajdach, a Damroka... niewiarygodne... Kiedy tylko zgasło światło,

zaczęła delikatnie bawić się jego krótkimi włosami. Czochoła je i przesypywała między palcami. Pieściła je.

Nie było żadnych wątpliwości. Ona się nie gniewała.

A miała przecież, do diaska, za co!

*

Ciocia Krysia stała z wózkiem pod szkołą i wśród wysypujących się dzieciaków wypatrywała swojego syna. W końcu się pojawił. Machnął jeszcze do kogoś na pożegnanie i z grymasem podstawił jej policzek do cmoknięcia.

- Mogę go poprowadzić?

- Tak, włóż worek i tornister do koszyka. Co w szkole?

- Normalka. Tylko za brak pracy domowej wprowadzono ciężkie więzienie.

- A co było na obiad? - zapytała z niewinną miną. Krzysio zatrzymał wózek.

- Były takie trzęsąco-drżące kluski, białe i ruszające się jak tłuste robaki - wyciągnął przed siebie ręce i zademonstrował mamie jak trzęsły się i drgały kluski. - Do tego mięso w kolorze ku... no, takie brązowawe, i jakaś oślizgła zielona breja na „sz”.

- Szpinak - domyśliła się mama. - I co, nic nie zjadłeś?

Krzysio spojrział na mamę i poklepał ją po kieszeni, gdzie schowała ręce.

- Wsystko zostało zjedzone - zapewnił stalowym głosem. - Mamo wiesz, pani nam mówiła, że w pisowni imion i nazwisk mogą być odstępstwa od ortografii, szczególnie w starych, slacheckich rodach. To ja chcę być Ksysisiek przez „s”, dobrze? Zgódź się, dobrze? Co ci zależy...

Pomaszerowali w stronę domu, drocząc się przy wtórze niemiłosiernie skrzypiącego kółeczka wózka.

*

Daria Łysakowska miała urodziny w styczniu. Oprócz urodzin miała też rękę do robienia fajnych imprez. Zaprosiła same dziewczyny. Na zdziwienie odpowiadała:

- A co? Jestem masochistką? Nie mam chłopaka, a mam oglądać na własnych urodzinach waszych oblubieńców? Wybijcie to sobie z głowy! Przemęczyłam się już na sylwestra. Gdzie się człowiek nie ruszył, tam parka. Koniec! Niedoczekanie. Chłopom wstęp wzbroniony! I nie udawać mi potem, że któraś zapomniała. Uwaga, będziemy wróżyć, więc macie przyjść w odpowiednich strojach.

- To znaczy jakich?

- Odpowiednich do wróżenia - nie dawała się zbić z pantałyku Daria.

- Ale andrzejki to my już mamy za sobą - Wika udawała całkowitą obojętność, podnosząc głowę znad Alicji w krainie czarów. - My też będziemy miały coś w rodzaju nieurodzin.

Wika jako zadanie bojowe otrzymała zorganizowanie około kilograma świec do stopienia w rondelku, obrączek (wyciągnęła jakąś swoją starą miedzianą, bo rodzice kategorycznie odmówili wypożyczenia swoich), i takiego papierowego kółka z wpisanymi po jednej stronie imionami chłopaków. Po niezapisanej stronie wbija się szpilkę, odwraca kartkę i już wiadomo, jak będzie miał na imię potencjalny małżonek. No, niech będzie chłopak. Wika przypomniała sobie jak ze śmiertelną powagą wróżyły sobie z Darią w piątej klasie podstawówki i wyszedł jej Władysław, więc każdego pytała, czy nie zna jakiegoś Władka. Wtedy Marcin z równoległej klasy oficjalnie (przez kolegę) zaproponował jej chodzenie, ale bezlitośnie go odrzuciła. Wszak nie miał na imię Władysław, prawda? Wika na wszelki wypadek zebrała od dziewczyn z klasy imiona, które chciałyby umieścić na kartce, bo wiadomo, że każda ma jakieś upatrzone.

Teraz, na dwadzieścia minut przed przyjściem dziewczyn, Wika i Daria stały w kuchni mieszkania Darii i robiły przegląd, czy wszystko jest.

- To ty robiłaś? - Daria z miną Szerloka Holmesa oglądała zrobioną przez przyjaciółkę kartkę z imionami chłopaków.

- Ja. A co?

Daria nadal nieruchomo wpatrywała się w kartkę. Wika delikatnie wyjęła jej swoje dzieło z rąk.

- Nie widzę tu nic nadzwyczajnego.

- Taaak. Nic nadzwyczajnego. Wiesz, czytałam gdzieś o czynnościach pomyłkowych. Dam ci przykład: jeśli zapomnisz kogoś zaprosić, powiedzmy, na swoje urodziny, i naprawdę myślisz, że tylko zapomniałaś, to prawda jest taka, że twoja podświadomość nie chciała tego kogoś zapraszać. Albo jeśli się pomylił i dzwoniąc do cioci, wybierzesz numer młodego, przystojnego sąsiada, to znaczy, że...

- Nie masz ochoty rozmawiać z ciotką, tylko z nim - dokończyła Wika równie beznamiętnym tonem.

- Zaczynasz rozumieć. Więc kontynuujmy. Do czynności pomyłkowych należy przywiązywać bardzo dużą wagę. Ujawniają one nasze prawdziwe odczucia, marzenia, kto wie co jeszcze...

- Nie rozumiem jednak... - i w tej chwili zrozumiała.

Na kartce wśród pięćdziesięciu jeden, bo tyle imion się zmieściło, nie było imienia „Daniel”. Po prostu.

*

Bawiły się znakomicie. Karolina Dul przyszła ze swoim czarnym kotem. Przytaczała go w specjalnym wiklinowym nosidle.

- Nie wiedziałam, co może być bardziej odpowiedniego do wróżby niż czarny kot - tłumaczyła się mętnie.

- Patrzcie, zdobyłam karty do tarota - pochwaliła się Magda. Miała sześcioro rodzeństwa i zwyczaj wtrącania między zdaniem „gorzej być nie może”. Ale nie w związku z rodzeństwem, tylko tak w ogóle. - Wiecie, co ja przeżyłam? Gorzej być nie może. Patrzę, a te karty są akurat dołączone do numeru jakiejś gazety dla małych. Wstyd mi było w moim osiedlowym kiosku, bo jeszcze ktoś zobaczy, że kupuję coś takiego. Pojechałam do Megastoru, żeby było intymniej. Wzięłam to i stoję do kasy. A tu podchodzi Łukasz!

- Twój Łukasz?

- Tak! I zapytał, co kupuję. Ja na to, że dla siostry. A on: „Przecież ty masz tylko młodszych braci, nie siostry”, i wpatruje się w okładkę jak sroka w gnat. Ale obciach. No, gorzej być nie może!

- Ale jeśli on tak dobrze wiedział, że nie masz młodszej siostry, to może on jednak trochę się tobą... wiesz - zauważyła Zosia, od czasów przerabiania Pana Tadeusza powszechnie zwana Zofiją.

- Oj, dajcie spokój, bo jeszcze uwierzę.

- I co? Odprowadził cię?

- Tak. Pod dom. Wróciliśmy 32. Całe Krakowskie ze mną przeszedł...

- To się liczy jako randka - zawyrokowała Daria.

*

Bez chłopaków bawiły się bardzo dobrze. Zresztą - czy one były bez chłopaków? Ich cienie cały czas snuły się między nimi, ale w babskim gronie poczuły się sobie bardzo bliskie.

- Wiecie - Daria podała grzanki. - Wojtek ma poparzoną twarz, dlatego nie chodzi do szkoły.

- Niemożliwe. Ja mieszkam najbliżej, jak mogłam... - Zofija autentycznie zaszlochała. Wice chrupiący chleb stanął w gardle. „Słyszysz, już wszyscy wiedzą”.

- Jak to się stało? - dopytywała się Zofija.

- Nie wiadomo. Po prostu odgrzewał sobie obiad i gaz wybuchł. To się mogło zdarzyć każdemu.

„Ale zdarzyło się jemu. Nie wiesz dlaczego?” - głos zaczynał być coraz bardziej zuchwały.

- I co, kiedy wraca do szkoły?

- Podobno powinien po feriach, ale on nie chce nas widzieć. „A szczególnie jednej osoby”.

- Jak to: „Nie chce nas widzieć”? Może on tylko tak mówi? - niedowierzała Zofija.

- No, tak mówi. A ty byś chciała się pokazać z poparzoną twarzą?

- Wiecie co, zadzwońmy do niego - piskliwym głosem zaproponowała Karolina.

- Nie, to głupie. Nigdy do niego nie dzwoniłaś i raptem zaczniesz? Od razu się zorientuje, że się nad nim litujemy.

„Nad nim trzeba się litować. Biedna ofiara złych życzeń”.

- Może... może...

- Wika, co cię tak zamurowało?

„Jakbyście wiedziały, to przestałoby być tak wesoło”.

- Ja pójdę - Wika, podpierając się na łokciu, zaczęła wstawać z podłogi.

- Genialna myśl. Ty jesteś taka neutralna.

- I masz chłopaka, to on nie pomyśli, że na niego lecisz - wyrwało się Zofiji.

- A potem nam wszystko opowiesz.

- Ale nie o to mi chodziło - Wika czuła, że wir wydarzeń wciąga ją bez jej udziału i woli.

„Oczywiście. Niech chłopak, poparzony, siedzi w domu. Po co będziesz do niego szła? Niech sobie umrze w spokoju”.

Wika sama nie wiedziała, jak do tego doszło. W końcu wśród kilkunastu idiotycznych propozycji (że pójdą do niego teraz, że wyślą mu list od klasy, jak do centrum Zdrowia Dziecka do Międzyzlesia do Majki w podstawówce) postanowiły, że Wika i Daria pójdą do niego. Ot tak, z koleżeńską wizytą.

- Ale jaki pretekst, jaki pretekst? Myślcie dziewczyny.

„Może powiedziec mu, jak to się naprawdę stało” - zaproponował „przyjaźnie” głos.

- Mam plan! - oczy Karoliny zaświeciły się jak kotu. - Pójdziemy całą klasą do teatru. Wszystko jedno na co. I powiemy, że mamy też bilet dla niego. To normalne i naturalne. Niczego się nie domyśli.

„On się już domyśli”.

- I on pójdzie? Skoro nie chce przyjść do szkoły, to na pewno pójdzie do teatru, gdzie jest sto razy więcej osób i na dodatek obcych. Genialnie głupi plan - podsumowała Zofija.

- Ale to trzeba zrobić tak, żeby on się od razu przełamał. Zresztą wydaje mi się, że gdybym ja miała coś takiego, to łatwiej byłoby mi wyjść do obcych, niż do tych, którzy mnie znają.

- Taki fajny był z niego chłopak - rozczuliła się Zofija. - Zawsze mi lekcje przynosił, nawet jak miałam ospę.

„Był. Właśnie był”.

- Dlaczego był? To jest bardzo fajny chłopak. Nadal - zdenerwowała się Wika.

Dziewczyny dyskutowały jeszcze prawie pół godziny. W końcu stanęło na tym, że:

1. Wika kupuje dla całej klasy bilety na Straszny Dwór.
2. Zofija ma najbliżej - idzie do Wojtka, żeby mu dać bilet.
3. Nikt nie patrzy na jego twarz. W teatrze każdy udaje, że on wygląda normalnie.

W zasadzie ich plan nie miał większych luk logicznych. Poza jedną. Był idiotyczny.

*

Od czasu imprezy u Darii, Wika przestała zachowywać się racjonalnie. Na przykład, gdy wczoraj piłowała paznokcie, spiłowała je tak doszczętnie, że wyglądały jak obgryzione. Nie mogła też zmrużyć oka, gdy była sama w pokoju. Ubłagała brata, żeby pozwolił jej sypiać na karimacie u siebie. Uczyła się tak dużo, że wyraźnie było to już widać po ocenach. Szczelnie zabudowywała sobie czas. Ani przez chwilę nie była wolna, bo wtedy głos od razu wracał. Kupiła bilety na Straszny Dwór, tak jak postanowiły z dziewczynami. Nawet założyła ze swoich za dwie osoby, żeby już to załatwić. Następnie spędziła dwadzieścia minut stercząc na korytarzu przy kasach i studiując plan widowni. Każdy kto chodził do szkoły, wie, że nie ma nic ważniejszego niż kto koło kogo siedzi, a Wika miała niepowtarzalną okazję porządzić biletami.

W Teatrze Wielkim nie tylko scena jest wielka, widownia też do najmniejszych nie należy. Po chwili wpatrywania się w różnokolorowe kwadraciki, oznaczające, ile które miejsce kosztuje, Wika wyciągnęła zeszyt do geografii i na ostatniej stronie przerysowała szybko interesujące ją rzędy. Ponumerowała miejsca, zaznaczyła, gdzie są przejścia i ruszyła do domu wykonać najtrudniejszą pracę - posadzić wychowawczynię jak najdalej, a Wojtka jak najbliżej siebie.

Głos w jej głowie od kilku dni siedział cicho. Nie pisał nawet słówkiem, kiedy Daria opowiedziała, że była u Wojtka, ale rozmawiała tylko z jego mamą, bo on podobno bardzo źle się czuł. To wszystko nie miało znaczenia, po prostu dzisiaj nareszcie go zobaczy, przekona się, że on żyje i wszystko będzie dobrze. Prawdziwy *happy end*.

*

- Kochanie, co ty tam robisz tak długo? - ojciec od dłuższej chwili dobijał się do łazienki. - Kończ, proszę, bo musimy już wychodzić.

Waldek zobowiązał się, że odwiezie córkę i jej dwie koleżanki pod teatr, a potem przywiezie z powrotem. Nie było mu to na rękę, bo w sobotnie popołudnie chciał udroźnić odpływy zlewów w kuchni i w łazience, ale trudno - jak się chciało mieć dzieci... Powinien to przewidzieć siedemnaście lat temu, że tej soboty nie będzie mógł podłubać sobie spokojnie.

- Kochanie, spóźnimy się przez ciebie. To znaczy, ty się spóźnisz... O, mój Boże!

Z łazienki nie wyszła Pysiakowska, jego rodzona córka, ale kobieta w pełni dojrzała, umalowana i na dodatek w sukni.

- Wandziu, mogę cię prosić? - ojciec szukał oparcia w żonie. - Czy ty idziesz z klasą do teatru? Jesteś tego pewna? - popatrzył krytycznie na nogi córki w butach jego żony.

Wika kiwnęła potakująco głową i bardzo wolno, żeby się nie przewrócić, podeszła do wieszaka z kurtkami.

Tym razem zdecydowanie przesadziła z kosmetykami. Przykro o tym mówić, ale wyglądała strasznie. Tym bardziej, że tego rodzaju makijaż zrobiła sobie pierwszy raz w życiu, a (jak wiecie) nowicjusze zawsze mają tendencje do przesady.

- Kto tam będzie, że tak się odstawiłaś? - Wiktor od razu wiedział, co jest grane. - Tato, gdzie jest zaciskarka do przewodów, bo mama wyrwała gniazdko przy komputerze.

- W mojej szafie, w prawej skrzynce... A może poczekasz na mnie? - nieśmiało zaproponował ojciec.

- Nie, mam ochotę teraz nad tym posiedzieć.

- Dobrze - mruknął zrezygnowany ojciec. - Tylko odłóż wszystko na miejsce.

- Tato, idziemy, czy nie?

- Umyj się i przebierz. Bez dyskusji. Nie trać zbędnej energii, córeczko. Do łazienki!

*

Jakimś cudem udało im się nie spóźnić.

Ojciec oczywiście nie odmówił sobie przyjemności przywitania się z wychowawczynią, a nawet był bliski zgodzenia się i skorzystania z jednego wolnego biletu, bo Zofija właśnie się rozchorowała. Tylko mordercze spojrzenie córki spowodowało, że schował komórkę do kieszeni (już chciał informować żonę, żeby się nie niepokoiła). Jak miałyby wyjaśnić wszystko Wojtkowi... pod okiem ojca... To by wszystko zepsuło. Na szczęście ojciec pojechał do domu. Miał się stawić za trzy godziny.

Klasa prawie do drugiego dzwonka czekała na Wojtka. W końcu weszli do środka i, zdyszani, zaatakowali schody na drugi balkon. Wika trochę się ociągała w szatni, wciąż wykręcając głowę w kierunku wejścia. To straszliwie trudne: czekać na kogoś, ale tak, żeby nikt inny tego nie widział. Stała za filarem, by klasa nie zauważyła, że zostaje w szatni.

Nagle Wojtek wszedł. Od razu do siebie podeszli. Jego blizna wcale nie była taka straszna. Ot, różowy ślad na policzku. Nic wielkiego. Dorośli zawsze dramatyzują (patrz moja mama). Wojtek błyskawicznie zrzucił kurtkę, chwycił Wikę za rękę (jakby byli narzeczonymi od trzech lat) i razem pognali na górę, gadając i śmiejąc się nie wiadomo z czego. Mieli miejsca koło siebie, to jasne. Cały spektakl dotykali się ramionami. Siedzieli tak blisko, żeby powierzchnia dotykania była jak największa. Tak cudownie było czuć przez sukienkę najwspanialsze ciepło na świecie - ciepło drugiego człowieka. Nie trzymali się za ręce, bo to głupio, tak przy całej klasie. Ale już wiedzieli, że sobie wybaczą. To znaczy, że Wojtek wybacza Wice, że mu tak źle... ale przecież Wika... nagle sobie przypomniała... Daniel. Boże, w co ja się wpakowałam?

Ocknęła się i ze zdziwieniem zauważyła, że nadal sterczy za filarem w pustej szatni. Spojrzała na zegarek. Sztuka trwała już dwadzieścia minut. Właściwie to wszystko mogło się zdarzyć, gdyby Wojtek przyszedł. Właśnie. Gdyby przyszedł.

Wika na drewnianych nogach dowlokła się na drugi balkon. Bileterka z marsową miną kazała jej czekać do przerwy, bo spóźnialskich nie wpuszcza. Ma zasady.

*

Zadzwoił telefon. Nikt z rodziny nie zdążył nawet się podnieść, gdy Wiktor, jak goniony przez sforę rozwścieczonych psów, wypadł z łazienki i rzucił się do słuchawki.

- Tak? - piana z aloesowego płynu do kąpieli okleiła mu łydki i wolno spływała na dywanik w przedpokoju. Wiktor nerwowo poprawiał maleńki ręcznik, którym zasłaniał sobie newralgiczne miejsca mokrego ciała. Na głowie miał spieniony szampon przeciwłupieżowy, a w lewym oku dokuczliwą pianę.

- Oczywiście, że nie przeszkadzasz - zadygotał z zimna, a rodzina zarżała ze śmiechu. - Nie, nic nie robię - spiorunował ich wzrokiem. - Doskonały moment - rodzina wiała się w konwulsjach. - Tak? Naprawdę? - Diupa, która korzystała z wolności zawsze, gdy ktoś był w domu, zaczynała bardzo intensywnie interesować się różowym, do złudzenia przypominającym dobrze otłuszczoną krótką glizdę, małym palcem jego stopy. - Ale kiedy to było? - usiłował odgonić Diupę, zanim ta ponownie dziobnie go w nogę. - Jak to się stało? - Wiktor z błogim wyrazem twarzy wysłuchał dziesięciominutowej opowieści o straszliwych przejściach Biljany z kontrolerem komunikacji miejskiej. Ona nie miała biletu, a ten drań się czepiał nie wiadomo o co. Serbki Biljany Wiktor nadal nie widział na oczy. Ale co z tego, skoro Damroka tyle o niej opowiadała.

Kiedy skończył, całe ciało miał pokryte gęsią skórką. W odpowiedzi na pytanie ojca, czy zrobić mu herbatę z sokiem malinowym, Wiktor pogroził mu zaciśniętą pięścią. Wrócił do łazienki i, z lekka fałszując, zaczął nucić:

*Już nie będziesz motylku skrzydlaty,
Latać sobie z kwiatuszka na kwiatek.*

Wice nagle zrobiło się smutno. Poszła do pokoju, zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy. Przypomniała sobie, ile lat mieszkała w jednym pokoju z bratem. Wtedy nie było dnia, żeby nie marzyła o własnym kącie. Teraz, kiedy nareszcie go już miała... nie znośła być sama. Co tu dużo mówić - znów mieszkała z Wiktorem w jednym pokoju. Po prostu nie mogła inaczej.

Poleżała chwilę, po czym wstała i wzięła brązowy koc z frędzelkami. Owinęła się szczelnie. Nagle zobaczyła bardzo wyraźnie białą, lekko owłosioną rękę. Siedziała przy łóżku. Na kolanach trzymała tekturkę i pisała. Pisała list do rodziny rannego. Nie widziała rannego, bo całą twarz miał zabandażowaną. Tylko po głosie mogła się zorientować, kto to. Chłopak był bardzo poparzony. Do polowego szpitala przywieźli go wczoraj. Dostał dużą dawkę środków uśmierzających ból, ale i tak między dyktowanymi zdaniami wił się z bólu.

- Wody!

Wika odłożyła papier i zaczęła lekko zwilżać usta poparzonego.

- Siostrzyczko, proszę mi dać rękę, tak się boję... strzelają - majaczył pacjent.

Wika schowała swoją rękę w jego ciepłej dłoni. „Na pewno nie ma spoconych łap”.

Odrzuciła koc i energicznie zaczęła szukać albumu ze zdjęciami szkolnymi. Znalazła zdjęcie z trzeciej klasy. Większość z nich miała ubytki w zębach stałych i zdecydowanie ulizane włosy. Nie tego szukała. Pogrzebała w swoich szpargałach jeszcze chwilę i znalazła zdjęcia z zeszłego roku, z wycieczki w Góry Świętokrzyskie.

Na jednym z nich stały z Darią na szczycie Świętej Katarzyny z rozwianymi włosami i szczerzyły się do obiektywu, mając między sobą roześmianego Wojtka w dzianinowej opasce na włosach. Wika popatrzyła na zdjęcie z zadowoleniem, po czym wzięła korektor i dokładnie zamalowała Darię.

*

Zerwanie z kimś nie jest specjalnie trudne. Można na przykład nagle przestać być uchwytnym, przestać odbierać telefony i przestać chodzić na wspólny angielski - po prostu czekać, aż sprawa przyschnie. Wika jednak wybrała inne rozwiązanie: miała szczerzy zamiar zerwać z Danielem.

Poprzedniego wieczoru ułożyła sobie całe przemówienie. Słowo w słowo. Skoncentrowała się na tym, że robi to dla jego dobra. Tylko dlatego. Inne punkty, które sobie przygotowała, były następujące.

- On nie jest z nią szczęśliwy - to od dawna widać.

- On zasługuje na kogoś lepszego niż Wika.

- Ona życzy mu jak najlepiej i jest pewna, że on znajdzie sobie bardzo szybko kogoś innego, bo tak naprawdę jest bardzo fajny. Tyle, że ona go nie chce.

Mając w głowie ten zestaw tez, Wika markotnie przesiedziała cały angielski, bez entuzjazmu rozwiązując ćwiczenia gramatyczne. Po wyjściu z klubu Daniel, jak zawsze, podał jej kurtkę.

„Też wybrał sobie moment! Ona tu chce z nim poważnie porozmawiać, a on podaje jej kurtkę i jeszcze gapi się na nią jak cielę. Że też nie mógłby zrobić czegoś koszmarnie głupiego! Czegoś złośliwego. Ale nie, oczywiście on musi być taki akuratywny w każdym calu. Mógłby na przykład za plecami zacząć podrywać jej najlepszą przyjaciółkę, Darię. Wtedy byłoby łatwiej”.

Przeszli przez ulicę Wysockiego na światłach i wolno szli słabo oświetloną ulicą Syrokomli, kiedy Wika zdecydowała, że nie ma na co czekać.

- Daniel, chciałabym coś ci powiedzieć.

- Stój spokojnie. Zachowuj się normalnie. O nic nie pytaj, tylko, jak ci dam znak, to pędem do domu. Potem do ciebie zadzwonię.

Jak spod ziemi wyrosło obok nich czterech wyrostków. Każdy dwa razy większy od Daniela. Nawet w ten zimny wieczór mieli głowy łyse, nieosłonięte czapkami.

- Macie ogień? - otoczyli ich kołem z jednoznacznymi zamiarami.
- Nie, my nie palimy.
- Tacy wzorowi, co? - jeden z nich, z tatuażem wystającym aż na szyję, zacharczał i splunął na chodnik. - Dawać forsę!
- Pokaż torbę, laleczko...
- To ty, Patryk? - Daniel uśmiechnął się do niego szeroko. - Nie poznajesz kumpla? Niemożliwe? Przecież chodziliśmy razem do klasy. Nie pamiętasz mnie, chłopie? Daniel.
- Daniel! Dobry synek mamusi! - odparł jeden z typków i podał mu zimną jak lód, brudną łapę. - Poznaj moich kumpli.

Nim się pożegnali, udając, że miło było się spotkać, musieli jeszcze odstać parę minut i wysłuchać wulgarnych uwag na temat świata, kobiet i życia. Potem mogli odejść w swoją stronę. Żeby zamaskować zdenerwowanie, objęli się i najwolniej jak umieli, w zupełnym milczeniu szli w kierunku domu Wiki.

- Jestem mokry ze strachu. Gorąco było, prawda? - Daniel poprawił czapkę z wielkim pomponem.

- Myślałam, że zemdleję. Ty naprawdę go znalazłeś?
- A co ty myślisz, że bandyci i złodzieje nigdy nie chodzili do szkoły? Oni też byli z kimś w klasie, są czyimiś sąsiadami, czyimiś braćmi. Tego Patryka dobrze pamiętam.

Trudno się dziwić, że w tych okolicznościach, Wika nie poinformowała Daniela o przygotowanych tezach.

*

Diupa siedziała na krawędzi wanny i z życzliwością obserwowała, jak Wika czyści sobie pięty pumeksem. Poparzenia wyglądały coraz lepiej, ale brak piór powodował, że wybierała miejsca najcieplejsze, właśnie takie jak wilgotna, zaparowana łazienka. Co jakiś czas delikatnie usiłowała złapać łapą pianę z wanny. Brała ją na palec z zakrzywionym pazurem i z fascynacją oglądała. A że piana ciągle jej uciekała, bawiła się z łapaniem jej i skrzeczała niewyraźnie.

Wika nałożyła na włosy szampon rumiankowo-skrzypowy i oparła głowę o wannę. Zamknęła oczy.

Było lato. W długiej, przezroczystej sukience (widziała taką w sklepie indyjskim na Jana Pawła) szła z Wojtkiem po ulicy. Nagle otoczyło ich kilkunastu bandytów uzbrojonych w noże. Noże było widać wyraźnie, bo połyskiwały w słońcu. Nie, połyskiwały w świetle latarni, bo było już późno. Wojtek od razu zasłonił ją ciałem i spojrzał w oczy tak jednoznacznie, że natychmiast przestała się bać. Jego oczy mówiły „Nic się nie stanie”.

Samej sceny obezwładniania bandziorów Wika nie umiała sobie dokładnie wyobrazić. Zobaczyła tylko, jak kilku ucieka, a kilku leży plackiem na ulicy, nie dając oznak życia. Wojtek podszedł do niej i przytulił mocno, „Chyba się nie bałaś?”

Wyraźnie czuła jego oddech i zamknęła oczy. Nie bardzo wyobrażała sobie, jak można się całować z otwartymi oczami. Wojtek przytulił ją mocniej, a potem odsunął i bardzo wyraźnie zobaczyła jego bliznę, ale to zupełnie nie miało dla niej znaczenia. Całowała się pierwszy raz w życiu.

- Wika! Żyjesz? Otwieraj natychmiast! - ryczał Wiktor, waląc nogą w drzwi łazienki.
- Zaraz, nie ma pośpiechu.
- Dlaczego się nie odzywasz, kochanie? - włączył się ojciec. - Wiesz, że to wbrew zasadom? Mama bardzo się zdenerwowała.

Mama siedziała w salonie i przeglądała jakieś swoje karteluchy. Nawet do niej nie dotarło, że powinna była się czymś zdenerwować.

- Przepraszam, zamyśliłam się. Prawda, Diupciu? - dmuchnęła ptakowi sporą grudę piany na skrzydło. - Już wychodzę.

Dokładnie w momencie, gdy splukana sięgała po gruby, zielony ręcznik, doznała olśnienia.

„Przecież na początku roku wychowawczynie zbierała zdjęcia całej klasy do kroniki”. Jak mogła na to nie wpaść? Kronika! Przecież to dziecinnie proste.

- Tylko gdzie teraz jest ta kronika?

„W biurku” - podpowiedział jej znany głos.

- Jasne, że w biurku.

*

Wika siedziała z podkulonymi nogami na łóżku brata i gapiła się w okno. Po parapecie przechadzała się Diupa, a za oknem aura była nie do pozazdroszczenia.

- Kochanie - zajrzała do niej mama - widzę, że ciągle przesiadujesz u Wiktora.

Zamieniacie się na pokoje, Pysiaczku?

- Nie. Jakoś tu mi lepiej.

Coś w jej tonie lekko zaniepokoiło mamę. Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Chwilę siedziały w milczeniu, po czym mama przysunęła się bardzo blisko córki i przytuliła ją do siebie bez słowa.

- Wiesz mamus, chciałabym być malutka i móc się zawsze schować na rękach u ciebie albo taty.

- Moim zdaniem, świetnie sobie radzisz... - mamie aż ścisnęło się serce z miłości.

- Mówisz tak, bo nie wiesz o mnie wszystkiego...

- To mi powiedz - odpowiedziała mama.

Wika chwilę się zastanawiała. Głos w jej głowie milczał.

- Mamo, ja nie chcę już chodzić na angielski. Wiem, że zapłaciliście i to strata pieniędzy, ale ja nie mogę tam chodzić. Nie mogę się skupić. Muszę to przerwać - wyrzucała słowa z siebie.

- Czy to przez tego chłopca? - zapytała mama ostrożnie.

- Żeby to było przez niego, to ja bym wiedziała, co się dzieje, ale... mamo, on jest w porządku i nie o niego tu chodzi. Ja rezygnuję z angielskiego. Mam dość nauki.

Mama milczała przez chwilę. Cały czas gładziła córkę po głowie.

- Wydaje mi się, że za mało się przytulamy, Pysiaczku. Jesteś takim udanym egzemplarzem, że nawet bez angielskiego poradzisz sobie świetnie. Muszę ci coś powiedzieć - mama nabrała powietrza. - Babcia wychowywała nas sama i zawsze powtarzała, że młodość to jest taki kuferek, taki bagaż na całe życie. Im więcej uda ci się do niego upchać, tym więcej będziesz mogła w przyszłości z niego wyjąć. Angielski to takie wyposażenie kuferka. Zawsze chciałam, żebyś umiała pływać, jeździć na rowerze, nartach, żebyś kochała czytać, miała poczucie humoru, umiała zrobić zupę i upiec ciasto. To wszystko są takie rzeczy do kuferka. Nigdy nie wiadomo, co ci się przyda. A nauka jest najważniejsza z tych rzeczy. Jeśli teraz nauczysz się dobrze angielskiego, w przyszłości może dzięki temu będziesz mogła czytać książki w oryginale albo mieć przyjaciół z różnych stron świata. Warto, kochanie, zbierać sobie takie kamyczki i wkładać, pakować do kuferka na przyszłość. Rozważ to. Niczego ci nie narzucam, decyzję naprawdę zostawiam tobie, ale przemyśl to.

Obie panie pochlipywały sobie przez chwilę bez słów.

- Zostawić cię samą, czy chcesz jeszcze pogadać?

Wika nic nie odpowiedziała, a mama pokazała jej brodą śpiącą Diupę.

- Zobacz, jak ją znudziło moje przemówienie.

- Mamus? Czy to jest możliwe? Tak zupełnie teoretycznie... żeby na przykład jedna osoba, powiedzmy pewien mężczyzna, myślał źle o jakiejś kobiecie, którą zna, życzył jej źle... On nie jest zły, nie ma jakiegoś robaczywego charakteru; po prostu tak się zagalopował i...

- I tej kobiecie rzeczywiście coś się stało - z miejsca domyśliła się mama.
- Tak. Czy to jest teoretycznie możliwe?
- Absolutnie nie - mama poklepała ją po dłoni. - Kochanie! Gdyby tak było, to nikt by nie dożył dziesięciu lat. Po świecie chodziliby sami okaleczeni, połamani, zakrwawieni ludzie. Nikomu nic by się nie udawało i nikt nie odniósłby sukcesu. Nie mówiąc już o tym, że każdy, kto miałby pecha urodzić się ładnym, szpetniałby w tempie ekspresowym.
- Myślisz mamó, że ludzie aż tak bardzo źle sobie życzą?
- Bardzo trudno jest się zawsze pilnować i życzyć każdemu dobrze. Trzeba nad sobą oczywiście pracować, ale i tak czasem człowiek się zapomina. Absolutnie nie jest możliwe, żeby komuś stało się coś złego tylko dlatego, że ty mu tego życzyłaś - ach, te matki! Nic im nie można powiedzieć, bo od razu się wszystkiego domyślają. - Chodzi o tego chłopca od was z klasy?
- Nie, ja tylko tak... hipotetycznie... Tak. O niego.
- Dręczysz się tym?
Wika nawet nie próbowała zgadywać, skąd mama wie. Wiedziała i nie przestała jej kochać. Ulga.
- Tak. Nie mogę tego udźwignąć.
- Rozmawiałaś już z kimś o tym?
- Tak, z panem Henrykiem.
- I co ci powiedział?
- Dokładnie to samo co ty.
- I nie uwierzyłaś mu?
- Nie - przyznała Pysiakowska.
- A mnie?
- Ty jesteś instancją najwyższą; muszę ci wierzyć. Inaczej zwariuję.
- Wiesz, przyszło mi coś do głowy. Jeśli tak wierzysz w moc swoich myśli, to zacznij o nim myśleć dobrze. Może mu się te nogi zrosną.
- Jakie nogi? On ma poparzoną twarz!
- Tak? Nie wiem dlaczego wyobraziłam go sobie na wyciągu. Poparzony... to gorzej - zamyśliła się mama - ale możesz życzyć mu jak najlepiej, na pewno ci to pomoże. Wiesz, ja też mam kłopot i potrzebuję twojej pomocy. Powiedz mi, jakie jest dobre pismo dla młodzieży, bo ja to czytałam „Klementynkę”. Co się teraz czyta?

Rozdział 6

Waldek zostawił żonę przy komputerze. Zrobił jej kawę z mlekiem, którą z lubością kilka razy powąchał, postawił na talerzyku koło klawiatury i poszedł na zebranie do Wiki.

Jak się okazało, był to dzień otwarty. Nigdy nie odróżniał tych dwóch pojęć. Dokładnie tak samo jak spódnicy od sukienki. Ciągle się dziwił, że to dwie różne rzeczy.

To, czego dowiedział się na temat córki, spowodowało, że zamiast wrócić do domu od razu, musiał jeszcze zrobić cztery rundy wokół bloku, żeby poukładać myśli. Niestety, prawda bez względu na to, jak się do niej nie zabierał, ciągle była taka sama.

- Jak było? - zapytała mama zza komputera.
- Jest gorzej niż myśleliśmy - odpowiedział zgodnie z prawdą ojciec. - Chodź, pogadamy.

Rodzice zamknęli się w łazience i opuścili głowy nad stopniami na semestr, które uzyskała ich córka:

- Język polski - dobry
- Język niemiecki - dobry
- Język angielski - bardzo dobry

- Matematyka - bardzo dobry
- Historia - dobry
- Biologia - dobry
- Fizyka - dobry
- Geografia - dobry
- Chemia - dobry
- Wychowanie fizyczne - celujący

- Tak - smutno pokiwała głową mama. - Miałeś rację, jest bardzo źle. Zbagatelizowałam problem. Zobacz, szczególnie ta chemia.

- O czym tak szepczecie? Naradzacie się jaki samochód kupić mi na urodziny?
Rodzice wpuścili Wiktora i wszyscy zaczęli debatować o pomocy dla Pysiakowskiej.
Przy kolacji przystąpili do akcji. Wika od dziesięciu minut niemrawo przeżuwała placek ziemniaczany z solą.

- Córkuś, musimy z tobą pomówić - zaczął ojciec.
- O czym? - od razu zjeżyła się Wika.
- Masz kłopoty, czymś się gryziesz - oznajmił ojciec. Mama podparła się na łokciu i odplynęła w marzenia. Nie miała zamiaru ujawniać, że coś niecoś wie o kłopotach córki.
- To normalne w twoim wieku - szyderczo uśmiechnął się do niej braciszek.
- Musimy ci pomóc - zakończył ojciec.
- Dobrze, że Diupa nie ma do mnie zastrzeżeń. O co wam chodzi? Stopnie przecież mam w porządku.
- Otóż to! To mnie ostatecznie przekonało. Od miesiąca nie natknąłem się na brudy w zlewie. Kwiaty zawsze podlane, gazety Diupy zmienione, woliera posprzątana, a teraz te stopnie. To nie jest normalne dla nastolatki.
- Nieprawda. Wszystko jest w porządku.
- Nieprawda.
- Prawda.
- Niepr...
- Dzieci, w ten sposób do niczego dobrego nie dojdziecie. Nawet twój brat zauważył, że dzieje się coś złego.
- A co on niby zauważył?
- Wstań i pokaż, jak ci z głodu spodnie odstają.
- Żebyś ja ci nie powiedziała, co tobie odstaje.
- Dzieci, spokojnie. Wikuś, nigdy dotąd nie miałaś tak dobrych stopni. Czwórka z chemii! Przecież ty nienawidzisz chemii! Jesteśmy przerażeni - szczerze wyznał ojciec. - Powiedz nam, co się dzieje.
- Nic się tato nie dzieje.
- Bardzo chcemy ci pomóc. Zależy nam na tym.
- Tak? Szczególnie Wiktorowi na tym zależy.
- Żebyś wiedziała, że mi zależy. Ja widzę coś więcej niż koniec własnego nosa.
- Tak. Koniec nosa Damroki to może tak.

Kłótnia nie wybuchła tylko dlatego, że nikomu nie chciało się tracić na nią energii.

- ... słowem, chcemy, żebyś z kimś porozmawiała, a konkretnie z psychologiem.

Mariusz zna świetną panią psycholog.

Wika miała już oczy pełne łez.

- Ja się muszę nad tym zastanowić - chciała oddalić decyzję.
- Wicie - wyrwała się z zadumy mama - czytałam ostatnio świetną anegdotę. Dedykuję ją tobie, córeczko. Pewien mężczyzna z trudem wydostał się na dach płonącego domu. Cały dom płonie, gryzący dym jest wszędzie, nic nie widać, niższe piętra zaczynają pękać. Mężczyzna jest ledwo przytomny. Nagle przez kłęby dymu przebija się helikopter. „Wsiadaj,

człowieku!” - krzyczy do niego pilot i rzuca mu sznurkową drabinę. Mężczyzna stoi i nic. „Wsiadaj, bo zaraz dom runie” - ponagla go pilot. A on na to: - „Muszę się zastanowić”.

- Genialne.
- Przeczytałam to u Stephena Kinga. On w ten sposób opisuje sytuację alkoholika.
- No, dziękuję ci bardzo, mamo. Ale ty jesteś miła - zachnęła się Wika.
- Koniec. Muszę skorzystać z prawa do tyranii, jakie przysługuje mi z racji bycia ojcem. Zaraz dzwonię do Gwidosa. Niech daje ten telefon.

*

Ojciec grzecznie przedstawił się i chciał delikatnie powiedzieć, kim jest, kiedy damski głos w słuchawce wypalił:

- To panu poparzyła się papuga? Mariusz mi coś wspominał.
 - Tak, ma się znacznie lepiej, ale ja...
 - Tak, wiem. Za dużo swobody, zdecydowanie za dużo. Czy ona lata?
 - Nie, ale papugi raczej nie latają. One przeskakują z gałęzi na gałąź.
 - A pióra sobie wrywa?
 - Nie, na pewno sobie nie wrywa.
 - Wie pan, trzeba jej okazywać sympatię, zabawiać. Udawać, że wygląda normalnie, starać się nie zauważać, że ona jest teraz paskudna.
 - Ja się nie muszę starać, my ją akceptujemy - zirytował się ojciec.
 - O, to dobrze, że się pan zdenerwował. To świetnie! Jeśli ma odzyskać pióra, musi mieć motyw, żeby znów żyć i wyglądać normalnie. Musicie państwo zastosować rodzinną terapię przez akceptację.
 - Co proszę? Przepraszam, nie zrozumiałem - zmieszał się ojciec.
 - Rodzinną terapię przez akceptację, co tu jest niezrozumiałe?
 - I to pomoże?
 - Proszę pana, to zawsze pomaga.
 - A co z moją córką? Bo prawdę mówiąc to dzwonię...
 - A co niby z córką? To samo. To była porada ogólna. Homo sapiens to żaden szczególnie wyróżniający się gatunek.
 - Ale może pani zechce z nią porozmawiać, ona ma problemy.
 - Proszę pana, a kto ich nie ma? Ile ona ma lat? Zresztą, nieważne. Jeśli ma problemy, to tylko dobrze o niej świadczy. Dziewczyna myśli, zastanawia się, coś odczuwa. To pana nie cieszy?
 - Patrzyłem na to trochę z innej strony - zaczął ostrożnie ojciec.
 - Muszę kończyć. Jeśli nie minie, to niech pan do mnie zadzwoni za dwa tygodnie. A jak ta papuga ma na imię, bo Mariusz coś mówił, ale nie uwierzyłam. To jak?
 - Diupa - nieco zażenowany wyznał ojciec.
- Pani Psycholog zarechotała głośno i odłożyła słuchawkę.
Ojciec usiadł obok walącej w klawiaturę żony i patrząc na nabazgrany numer telefonu i napis „Weneta”, zadumał się nad terapią przez akceptację. Przecież to nie może zaszkodzić.
Zadzwonił do Mariusza Gwidosa, żeby mu podziękować.
Czuł, że się uda. Nie wiedział dokładnie, co niby się uda, ale wiedział, że tak będzie. A to przecież wystarczy.

*

Od dłuższej chwili Wiktor wpatrywał się w numer „Cogito”. Był to stary egzemplarz, jeszcze z listopada. Na stronie szóstej znalazł tekst opatrzony rysunkami i zaczął go czytać po raz trzeci:

Która to randka?

Czy patrząc na randkującą parę można określić, która to ich randka? Chciałoby się odpowiedzieć, że nie można, bo każda miłość jest inna. Ale jednak można... I to bez większych pomyłek!

Wiktor zauważył, że to jego mama napisała ten tekst. Przeczytał go jeszcze raz. Spojrzał na mamę ukradkiem i poszedł prosto do ojca.

- Tato, widziałeś to? - podsunął ojcu gazetę.

Ojciec długo trwał nieruchomo, po czym podszedł do mamy i raptownie ją objął.

- Jestem z ciebie dumny. Zadziwiasz mnie od tylu lat. Jak to wszystko się stało?

Opowiadaj. Tylko wolno, ze szczegółami, a jak skończysz, to od razu zacznij od początku. Zamieniam się w słuch.

Z chaotycznych wypowiedzi mamy można było wysnuć następujące wnioski: Tak, to ona napisała tekst, wysłała, a oni go wydrukowali. I jeszcze zapłacą!

- Dlaczego nam nie powiedziałaś, że piszesz artykuły?! Ja myślałem, że wciąż układasz klasówki.

- Wiesz, jak to jest: niska samoocena, brak znajomości, sama nie wierzyłam...

- Moje kochanie... Dzieci, zabierajcie ptaka i zostawcie nas samych. Na bardzo długo. I nie wchodzić, choćby nawet wybuchł pożar. Mamy chyba jakiegoś szampana, co?

*

- Mamo, jak wyście się z ojcem poznali? - zagadnął Wiktor. Diupa jak zwykle siedziała mu na ramieniu.

- My? - uśmiechnęła się pod nosem mama. - A po co ci to?

- Na niemiecki muszę napisać tekst: Kluczowe wydarzenie w mojej rodzinie. To chyba było raczej kluczowe, nie sądzisz?

- Nie wierzę. Kłamiesz bez przekonania - mama popatrzyła na niego z politowaniem.

- Mamuś, Damroka mnie pytała, a ja nie wiedziałem i było mi głupio, bo to w końcu jest bardzo ważne, nie?

- Poznaliśmy się przez Asię Gwidosz. Ona urządziła konspiracyjne słuchanie piosenek Jacka Kaczmarskiego i ja byłam zaproszona. Nagle weszli Mariusz Gwidosz i wasz tata. Stali nieruchomo przy drzwiach, żeby nie przeszkadzać innym. Mogłam ich sobie dobrze obejrzeć. Mariusz wyglądał normalnie. Jak teraz. A ojciec? - mama roześmiała się do własnych myśli. - Wyglądał niewyobrażalnie. Miał jakąś bluzę od dresu w jaskrawe paski. Na dodatek tę bluzę wpuścił w szare spodnie od garnituru i przepołożył grubym paskiem z wielką metalową klamrą. Do tego założył fantazyjne białe adidas. Włosy niestrzyżone od dawna. Sama rozpacz. Gdy tylko go zobaczyłam, od razu pomyślałam: „O! Ten Misio potrzebuje pomocy. I to natychmiast”. Po pół roku, w sierpniu, już byliśmy małżeństwem.

- Tak po prostu?

- Synku, sam zobaczysz, że miłość nigdy nie jest tak po prostu.

- Wiesz mamuś, ja już wiem. Ale fajnie, że mi to opowiedziałaś. Kochana jesteś.

- Wiesz Wiktoru, kiedy byłeś noworodkiem, myślałam, że to twój najlepszy okres, że taki słodki i cudowny nie będziesz nigdy. Potem, gdy chodziłeś do przedszkola, myślałam, że to właśnie jest ten najcudowniejszy moment macierzyństwa. W szkole znów to samo. Teraz widzę, że się myliłam: to teraz jesteś najfajniejszy. Tak samo z Pysiakowską; najfajniejsza wydawała mi się w każdym momencie życia. Zawsze jesteście w tym najfajniejszym okresie. Wiesz, jaki z tego morał?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Jeśli się kogoś bardzo kocha, to on zawsze jest w najfajniejszym okresie.

Wika słyszała słowo w słowo całą rozmowę, siedząc przy biurku w Wiktorowym pokoju, do którego wprowadziła się już na dobre. Była to dla niej pouczająca opowiadka. Jakby ktoś z aptekarską dokładnością odmierzył właśnie tę kroplę, która miała przepełnić

szalę. „«Jeśli się kogoś kocha...» A jeśli się nie kocha, to on jest zawsze w najgorszym okresie, tak? No, tak. To musi też działać w drugą stronę” - myślała.

- Jutro. Muszę to zrobić jutro, bo naprawdę zwariuję i ojciec naśle na mnie stado psychologów - postanowiła Pysiakovską i znów powróciła do wkuwania słówek na angielski.

- Nie mogę oszukiwać Daniela. Nie mogę. To nieuczciwe. To nieuczciwe w stosunku do każdego z nich - usnęła z twardym postanowieniem, że jutro po angielskim nieodwołalnie naprawi swoje życiowe błędy.

*

Kiedy ludzie ze sobą zrywają, zazwyczaj częstują się na odchodnym tekstem „Zostańmy przyjaciółmi”. Nie wiadomo po co sobie to mówią, bo to, co następuje po zerwaniu, nie ma z przyjaźnią wiele wspólnego.

Wika przedstawiła Danielowi wszystkie przygotowane argumenty. Rzeczowo uzasadniła, dlaczego nie mogą już być razem. Tylko jednego mu oszczędziła - propozycji, żeby zostali przyjaciółmi.

- Nie wiem, co powiedzieć. I tak już nic nie pomoże, prawda?

- Rzeczywiście, raczej nic.

- Odprowadzę cię.

„No, jeszcze tylko tego brakowało” - zdenerwowała się Wika.

- Nie, nie. Proszę, nie rób tego. Mam tylko kilka kroków.

- Nie ma mowy, jeszcze coś ci się stanie.

- Nie, Daniel, nie chcę. Sama wrócę.

- Dobrze, idź pierwsza. Ja tylko sprawdzę, czy doszłaś. W porządku? No idź, nie będę cię odprowadzał, tylko pójde w twoim kierunku.

- Daniel, przepraszam. Wiem, że to idiotycznie wyszło, ale zrozum, ja nie mogę inaczej, muszę być uczciwa i w stosunku do ciebie i do siebie. Rozumiesz, prawda?

- Rozumiem. Oczywiście. To znaczy nie, nie rozumiem, ale szanuję twoją decyzję.

Zresztą, co mi pozostaje? Czy mam jeszcze szansę, żeby cię przekonać?

- Nie.

Daniel wbił sobie paznokcie w opuszki palców i mocno zacisnął wargi, żeby nie zadać tego straszego pytania, które, odkąd tylko zrozumiał do czego zmierza przemowa Wiki, słyszał w swojej głowie.

- Chodźmy, bo twój będziesz się denerwować - zauważył zamiast tego. Poszli w milczeniu pod blok Wiki.

Daniel podał jej rękę i zawrócił w stronę swojego domu.

Nie lubił w sobie bardzo wielu rzeczy. Denerwowało go to, że jest taki sztywny, że nie umie udawać dla dobra sprawy i że ma obsesję na punkcie mycia zębów po każdym posiłku, i że zawsze przychodzi za wcześnie. Cenił zaś w sobie to, że jest realistą, że umie twardo, po męsku stąpać po ziemi. Nigdy niepotrzebnie nie fantazjował i nie lubił, zwyczajem na przykład jego mamy, zadręczać się czymś, zanim to się jeszcze stało. Nie uciekał od problemów, ale rozwiązywał je dopiero, gdy się zjawily.

Nic dziwnego, że nawet dla niego samego było niespodzianką, że wracając do domu, cały czas bardzo wyraźnie widział i słyszał jak pyta Wikę:

- Chodzi o to, że jest ktoś inny, prawda?

A Wika, jego Wika, bardzo wyraźnie mu odpowiada:

- Tak. Jest ktoś inny.

*

Jezioro lśniło kusząco. Była na wakacjach. Sama, bez rodziców, na obozie młodzieżowym. Właśnie wypływali kajakami. Ona chwilę się spóźniła, bo zmywała po

wszystkich naczyń i, kiedy przysłała na pomost, wszyscy już odpłynęli. Stała na deskach z torbą pełną kanapek i butelek wody mineralnej i nie mogła popłynąć. Nikt o niej nie pomyślał. Zapomnieli o niej. Po drugiej stronie pomostu jakiś nieznaną gość z długimi włosami majstrował coś przy kajaku. Podeszła do niego. To był Zwierzak, tak go wszyscy nazywali. Nie był z ich obozu, ale Wika знаła go z widzenia, bo miał koszmarną bliznę... nie do zapomnienia. Wojtek, czyli Zwierzak, dłużył śrubokrętem uderzając podobnym do licznych śrubokrętów jej ojca. Wyprostował się, gdy tylko ją zobaczył.

- Cześć! - uśmiechnęła się przyjaźnie, udając, że nie widzi żadnej blizny.

- Hej! - Wojtek nie był gadułą.

- Wszyscy odpłynęli - nie wiadomo po co powiedziała Wika.

- Tak.

- Ty też płyniesz? Ja chyba zostanę.

- Wskakuj.

Wika usiadła z przodu kajaka. Nie musiała wiosłować. Wojtek był bardzo silny. Miał na sobie tylko krótkie szorty. Milczał.

Burza zastała ich na środku wielkiego jeziora. Może Śniardwy? Wojtek zwiększył tempo.

Dobili do brzegu w strasznym deszczu, który przykleił jej sukienkę do ciała. Wojtek złapał Wikę za rękę i pobiegli do szopy ze świeżo skoszonym sianem, która szczęśliwie była bardzo blisko brzegu.

Grzmiało.

- W tych warunkach nawet nie mogę porządnie pobać się burzy - zażartowała Wika.

- Możesz. Możesz się pobać, mała...

Wika wyciągnęła z torby ręczniki i gruby męski sweter, który szczęśliwie ze sobą wzięła. Przez chwilę patrzyła jak Wojtek się wyciera. Potem wyciągnął z plecaka gruby zielony ręcznik i sweter, który oczywiście jej zaproponował. Miał też mały koc. Musieli usiąść bardzo blisko siebie, by móc się nim okryć. Przykucnęli przy rozpalonym ognisku. Ognisko w szopie? Trudno. To było bezpieczne, otoczone kamieniami, na pewno nie zaproszą ognia. Bardzo blisko siebie zaczęli jeść kanapki. Poczuli, że Wojtek ją objął.

- Wiesz, Wikuś, ja od dawna chciałem ci wyznać... powiedzcie...

- ... że masz pójść do pana Henryka, bo dzwonił dziś i prosił, żebyś do niego zajrzała - poinformowała ją mama. - Czy ty dobrze się czujesz? Nie masz temperatury? Tak ci się oczy świecą - mama położyła jej rękę na czole.

„Mam, mam temperaturę. Mam!” - głos w głowie Wiki wrzasnął sam do siebie.

*

Sforsowanie biurka było dziecinnie proste. Wystarczyło je otworzyć i odszukać kronikę. A potem pozostawało już tylko znaleźć odpowiednią kartkę.

Wika chciała wyrwać tylko zdjęcie Wojtka, ale, że źle odchodziło, ostrożnie wyrwała całą kartkę. Nie chciała zniszczyć kroniki. Chciała tylko mieć to zdjęcie.

Ostatnio ojciec niemal codziennie gdzieś mamę wyciągał. Byli najbardziej ukulturalnionym małżeństwem w okolicy. Dziś wymyślili sobie, że po raz setny zobaczą Nietykalnych, bo (jak powiedział ojciec) mieli ochotę na krwawe kawałki.

Wika została sama. Nie licząc Diupy, oczywiście. Bardzo starannie odkleiła zdjęcie Wojtka. Chwilę zastanowiła się, co zrobić z resztą zniszczonej strony. Najlepiej byłoby ją zniszczyć. Porwać i spuścić do sedesu, ale głupio jej było rwać tyle zdjęć znanych jej osób. Na przykład Zofija, czemu raczej trudno się dziwić, wyszła prześlicznie. Wika zwinęła tę okaleczoną stronę kroniki w starą gazetę i wcisnęła na samo dno najwyższej półki z ciuchami.

Zanim zapaliła dwie świece na stoliku, sprawdziła, czy Diupa bezpiecznie siedzi u siebie. Z małymi wyrzutami sumienia wzięła mango przeznaczone dla papugi. Jutro jej odkupi. Nastawiła kompakt i wyciągnęła się na kanapie. Czowała się szczęśliwa i zadowolona.

*

Osiemnaste urodziny w gruncie rzeczy nie różnią się niczym szczególnym od innych. Może tylko tym, że są niezwykle. Wiktor naoglądał się tuzinów osiemnastkowych pierścionków na palcach swoich koleżanek, kilkanaście razy składał się na wielgachne maskotki, ale oczywiście ani przez chwilę nie zapragnął dostać sygnetu czy monstrualnego hipopotama. Był natomiast niewiarygodnie podekscytowany tym, że babcia dotrzyma słowa i już dziś mu powie.

Na Nowym Świecie jest naleśnikarnia. Trzeba wejść od podwórka, zejść po stromych schodach do piwnicy i już. Jest się w ciasnym, ale wypucowanym i nieprawdopodobnie domowym miejscu. Stoją tam cztery małe stoliki, a najfajniejszy z nich - trójkątny blat z miejscami dla dwóch osób - znajduje się tuż przy drzwiach. Kiedy się je, siedzi się ramię przy ramieniu, a jednak (dzięki lustrum na wysokości oczu) widzi się znakomicie swojego rozmówcę. Tam właśnie zasiedli babcia i Wiktor po zamówieniu porcji pierogów z mięsem dla Wiktora i naleśników z czekoladą dla babci. I dwóch herbat.

- To jak to było, babciu, z naszym dziadkiem?
- Własne córki tak mnie nie molestowały, jak teraz wnuki.
- Chyba nie zamierzasz się wycofać. Jak się powiedziało „a”...
- Wiktorku, to żadna sensacyjna historia. Będiesz rozczarowany.
- Babciu, jeszcze nigdy nie byłem rozczarowany niczym, co ty zrobiłaś. I nie chodzi mi tylko o zupełnie grzybową czy pieczeń ze śliwkami.

- Pamiętaj, że zawsze musi być pierwszy raz. No, zaczynam - babcia odkroiła sobie spory kęs naleśnika. - Wnuku, bardzo cię kocham.

- Babciu... dać ci chustkę?
- Nie. Mam swoją. Tak tylko trochę mnie wzięło. Dobrze, zaczynam. Wiktorku, ja miałam narzeczonego i bardzo go kochałam. On mnie też. Byłam o tym przekonana do tego stopnia, że zaszłam z nim w ciążę.

- Z mamą i ciocią?
- Tak. Oczywiście nie wiedziałam, że to będą bliźniaczki, zresztą, to by niczego nie zmieniło. Z tym musisz się zgodzić.

- Muszę.
- I kiedy już wreszcie zrozumiałam, że na pewno zostanę mamusią, postanowiłam podzielić się swoim szczęściem z narzeczoną. Każdy by tak zrobił, prawda? Prawda. Czekałam na niego od rana, myśląc i wyobrażając sobie na tysiąc sposobów, jak on się ucieszy. Bo dlaczego miałby się nie ucieszyć? Tak bardzo się kochaliśmy. Mówię to bez ironii, żeby była jasność.

- I co?
- On też miał dla mnie wiadomość. Nawet podobną. Tylko dla ciebie przechodzę przez to wszystko jeszcze raz, docień to.

- Doceniam babciu. I co, i co?
- On miał bardzo szerokie serce. Oprócz mnie, okazało się, że kochał jeszcze jedną dziewczynę. Majętną panienkę z dobrego domu, znałam ją nawet z widzenia. I ona też spodziewała się dziecka. Po prostu pierwsza z tym do niego przyszła. Ja czekałam, aż będę pewna. Koniec. Pointy nie ma.

- Nieprawda, jest. Dobrze, że za niego nie wyszłaś, podły dziad!
- O nie! To wspaniały człowiek, przeżyłam z nim wiele cudownych chwil. Niestety, nigdy nie znalazłam się na ludziach. Powinnam była to zauważyć, bo to oczywiście było widać

jak na dłoni, ale ja, pewnie tak samo jak tamta, nie chciałam tego widzieć. Kto zresztą by chciał? Ale mam córki, i wnuki.

- Ale jak to? Nie zażądałaś alimentów? Powinien odpowiedzieć za takie świństwo!
 - To bardzo dobrze, że burzy ci się krew, ale powiedz: kto by na tym skorzystał?
 - Na pewno ty.
 - Nieprawda. Szarpałabym się z sądami, zaraziłabym swoją nienawiścią dzieci i na dodatek, to zniszczyłoby nie tylko mnie, ale też tamtą rodzinę. Oni też doczekali się wnuków, żyją razem zgodnie. Przynajmniej z tego, co wiem.
 - Zatkąło mnie, babciu. Dzisiejsze dziewczyny są inne.
 - Skąd ci to przyszło do głowy? Ludzie zawsze byli i są tacy sami. Po prostu różnią się między sobą, jedni tacy, drudzy inni. To wszystko.
 - I kto to był, babciu?
 - A tego to nie zdradzę nawet na torturach!
 - Ale obiecałaś!
 - Co obiecałam? Że ci opowiem o sobie, nie o nim. On wyjechał, emigrował z rodziną do Stanów. Ma czworo dzieci.
 - Razem sześcioro.
 - Razem tak.
 - Jednak nie mogę zrozumieć, jak to możliwe, że nikt się z tobą nie ożenił.
 - Widzisz, a jednak. Do dziś tak jest. Każdy lubi wpaść do mnie na rosołek, ale bez zobowiązań.
 - Ja myślę, że ty jeszcze wyjdiesz za męża, wiesz?
 - Powiedz to swojej mamie albo ciotce. Będą zachwycone. Mogę spróbować kawałek tego twojego pieroga? Moje naleśniki genialne! Wiktor, tylko ani słowa mamie ani ciotce, bo dopiero by się zaczęło śledztwo.
 - Babciu, fajny mi dałaś prezent, wiesz?
 - Dałaś? Ty go zwyczajnie wyłudziłaś! Chodź, kupimy ci teraz jakieś góralskie kapcie czy pasek do spodni, bo na pewno będą pytać w domu, co dostałaś ode mnie, a nie chcę niepotrzebnych domysłów.
- Wiktor zapatrzył się, jak babcia pochłania pierogi. Jadła ze smakiem, ale nigdzie na wargach nie miała nawet odrobinki sosu. Była, jak zawsze, nieskazitelnie elegancka. „Nic dziwnego, że nie znalazł się dla babci żaden mąż. Kto by zdołał jej dorównać?!” - pomyślał Wiktor, a głośno powiedział:
- Babciu, wiesz, mówię całkiem poważnie... Kiedy byłem mały, wcale nie chciałem się ożenić z mamą tylko z tobą. Serio.
- Babcia pokiwała głową w zadumie.
- Wiesz, młodość to najgorszy okres życia, w pewnym sensie oczywiście - babcia szczerze się roześmiała. - Cieszę się, że mam to już za sobą, bo wszystko wtedy najbardziej boli. Cokolwiek się stanie w młodości, będzie się wlokło za tobą całe życie. Wszyscy już o tym dawno zapomną, a ty nie.
 - Ciebie to nadal boli?
 - Co?
 - Że nie wyszłaś za męża.
 - Nie, już nie. I dlatego spodziewam się lada dzień oświadczyn.
 - Co?
 - No, podobno kiedy człowiek się z czymś już całkowicie pogodzi i niczego od losu się już nie spodziewa, to wtedy to, o czym marzył, dostaje. Będziesz moim drużbą?
 - Będę, babciu - Wiktor z zachwytem pocałował babcię w rękę. - A coś się kroi?
 - Jeszcze nie mam żadnego chętnego, ale nie będziemy przecież niepotrzebnie stwarzać wydumanych przeszkód, prawda?

- Prawda.
- Opowiadaj lepiej, co dostałeś na urodziny.
- Wuj dał mi genialny prezent: cztery płyty z moimi nagraniami. Od mych najmłodszych lat zbierał moje dowcipy i powiedzonka. Przesłuchałem z przyjemnością. Najlepszy jest moment, gdy słycać seplenie Wiki.
- Tak. Mój zięć ma fantazję. I co? Rodzicie załatwili ci ten karnet na kręgle?
- Tak. Dwuosobowy. Trochę się bałem, że ojciec będzie chciał z nami chodzić, ale on jednak zawsze ma wycucie.
- A co ci dała ta twoja dziewczyna?
- Zrobiła mi na drutach skarpetki.
- Żartujesz?
- Serio. Ja też nie wierzyłem, że dziewczyny to jeszcze potrafią. Zaraz ci pokażę.
- Masz je na sobie?
- Coś ty! Nie mam zamiaru ich nosić. Jeszcze się zniszczą.
- Ona chyba poważnie o tobie myśli, wiesz?
- Oj, babciu. Mam nadzieję, że tak. Nauczysz mnie robić gołąbki?

Dopili herbatę i wyszli na zatłoczony Nowy Świat.
Był dwudziesty siódmy stycznia. Wiktor kończył osiemnaście lat.

*

Wiktor postanowił jednak oddać strój. Nawet przyjemnie było popatrzeć, jak inni ćwiczą. Wszyscy się dziwili, dlaczego ich nie odwiedza. Jakby nie wiedzieli, że on już nie ma po co ich odwiedzać.

Teraz wracali 25 na Bródno razem z Dominikiem - kolegą z klasy, którego Wiktor spotkał na przystanku.

- Fajnie się z tobą gada. Od dwudziestu minut się nie odezwałeś.
- Tak? Mówiłeś coś?
- Ale cię trafiło. Wzięło cię jak nic. Co te baby robią z porządnego człowieka! Nie do wiary!
- To fakt, wzięło mnie.
- I co? Może się żenić będziesz? - zakpił Dominik.
- Będę. I to nie może. Ja bym się już ożenił, tylko nie mogę. To jedyna przeszkoda.
- Z tą dużą? Sorry, stary. Głupio mi się wyrwało.
- Tak, z tą dużą - Wiktor uśmiechnął się do siebie. - To ona jest duża? Jakoś nie zauważyłem.

Następny przystanek chłopcy przesiadali w milczeniu.

- Wiktor, sorry. Zazdroścę ci, to wszystko. Głupio wyszło.
- Nie ma sprawy, rozumiem. Sam sobie zazdroścę. Chłopcy uścisnęli sobie prawice.
- Słuchaj, a ona czasem nie ma siostry?
- Ona? Nie. Ale ja mam siostrę. Koszmar, mówię ci. Teraz, kiedy nareszcie mamy osobne pokoje, okazało się, że nie może sama spać i zwała mi się znów na głowę. Mruczy coś, rzuca się po nocach, całe godziny patrzy w lustro o wymiarach pięć na pięć centymetrów, a bajzel robi... Nie, ja nawet za pieniądze nie umiałbym tak wszystkiego wymieszać.
- Wiem. Też mam siostrę. Koszmar. Nosi wyłącznie czarne ubrania. A jak rano wejdzie do łazienki...

Reszta podróży upłynęła im w radoszej atmosferze licytowania się, który z nich ma bardziej beznadziejną siostrę.

Do wiążących wniosków nie doszli.

Za to wylądowali w mieszkaniu Dominika na Saskiej Kępie, bo chcieli trochę pogrzebać w internecie.

Niestety, komputer zawiesił się na dobre i nijak nie chciał się „odwiesić”.

- Czekaj, zadzwonię do sąsiada. On może coś poradzi.

Sąsiad postanowił sam obejrzeć sprzęt, więc dosłownie po kilku minutach zjawił się u Dominika, prezentując rozległe oparzenia na twarzy.

Dominik przedstawił obu chłopców. Od razu stało się jasne, kto tu naprawdę zna się na komputerach. „No cóż, trudno fikać na drążku i jednocześnie garbić się przed ekranem. Albo rybki, albo akwarium” - pomyślał Wiktor. Kiedy jeszcze trenował, wcale mu to dyletanctwo komputerowe nie przeszkadzało. Teraz - i owszem.

Postanowił zrobić porządek na swoim dysku i przeinstalować system. W tym celu zaprosił nowo poznanego Wojtka do siebie. Zupełnie nie zwrócił uwagi, że ten nie zapytał o jego adres.

*

Wika siedziała samotnie w kuchni. Popijała wodę mineralną z tabletkami musującymi, bogatymi w witaminę C. Czowała wyraźnie zapach siana. Była znów nad jeziorem. Któryś dzień z rzędu wyruszała na wyprawę kajakową z Wojtkiem i za każdym razem dopływali gdzie indziej. Początkowo nieco ją to dziwiło, teraz jednak postanowiła poddać się swojej wyobraźni.

W marzeniach o miłości najfajniejszy jest ten moment „na chwilę przed”. Kiedy właściwie nic się jeszcze nie stało, ale atmosfera jest tak gęsta, że wiadomo, iż za chwilę... Wika widziała siebie, czekającą w progu na przemokniętego Wojtka. Widziała, jak on dobiega do niej i strzepując krople wody z włosów, przybliża się, patrzy jej głęboko w oczy i... No właśnie, nie potrafiła wyobrazić sobie kolejnego kroku i była zła na Daniela, że w sylwestra nie odważył się jej pocałować. Gdyby to zrobił, mogłaby teraz bez trudu dokończyć swą miłosną fantazję.

Dzwonek.

- Ja otworzę! Ja! - Krzysiek wypadł z łazienki, dopinając guzik przy suwaku sztruksów.

Wika przez moment myślała, że to może Daria, która ostatnio trochę się oddaliła. A może to Wika się oddaliła?

To nie była Daria. Czyjeś masywne buty zadudniły o wycieraczkę.

- Cześć, jest Wiktor?

- O rajuniu! Ale fajna! - powitał gościa Krzysio. - Mnie to by nigdy na taką nie pozwolili.

Wika wbiła się w krzesło w kuchni i starała się nie poruszać. Wiedziała, kto przyszedł.

- Jest Wiktor?

- Jest. Ale fajowa! - zachwyt w głosie siedmiolatka był bezgraniczny.

- Cześć. Jak trafiłeś?

- Chodzę z twoją siostrą do klasy. Znam ścieżki.

Wiktor czuł się kompletnie zaskoczony. Po pierwsze, że nie poznał gościa wtedy u Dominika i naprawdę nie mógł jego blizny skojarzyć z żadną twarzą nieciekawych kolegów Wiki. Po drugie, czuł się trochę upokorzony, że prosi o pomoc kogoś młodszego od siebie.

- To co tam udało się rozpieprzyć?

Przeszli do salonu.

- Mały, zostaw nas, co? - poprosił Wiktor, nie chcąc się kompromitować (nie dość, że przed samym sobą, to jeszcze przed kuzynem).

Krzysio, wyraźnie obrażony, poszedł do Wiki i zupełnie nie zwracając na nią uwagi, zaczął gryzmolić fioletowym odblaskowym flamastrem na kartce w kratkę. Siedzieli w ciszy.

Nic dziwnego, że słyszeli każde słowo chłopaków. Salon był o krok od kuchni.

- Ta tapeta to żenada. Może ściągniemy coś bardziej topowego? Może jakąś laseczkę?

- Niezły pomysł. Ale wiesz, dla mnie trochę za ostry. Poza tym matka...

- No, chyba nie dotyka twojego sprzętu?!

Rehocik.

- Czasami, wiesz...

- Dobra, mam jeszcze taką czarnulkę. Tylko za dużo duperszmitów w tle.

- Słuchaj, ty chodzisz z moją siostrą do klasy? Jakoś cię nie...

- Z tym dość trudno mnie skojarzyć. Na początku myślałem, że z tą facjatą mam przesrane. Ale przetestowałem na byłych panienkach. Mówię ci, niezła podjarka. Brata puścić nie można, żeby zaraz się nie zbiegły. Każda z nich to siostra miłosierdzia. Po co im pierwszy lepszy frajer? Przy mnie mogą się wykazać.

- Niemożliwe.

- Tak? A pokaż mi taką, co nie chce ci mamusi zastąpić. Stary, co ja przeszedłem od tego poparzenia. Istna hossa.

- Zaraz. One na to lecą?

- Mówię ci. Możesz im powiedzieć: „bujaj się, malutka”, a one nic. Nie muszę nawet do budy chodzić, same się rwą, żeby mi lekcje przynieść. Dobra, dajemy czadu, bo muszę jeszcze do jednego gościa wpaść, co mu ojciec cały system przekonfigurował. Jak można starych do klawiszy dopuścić? No, a tu czemu hasło wstawiłeś, pogięło cię?

- Ja? Tak... to pliki mamy. Ona sobie coś tak...

- Matula na twoim sprzęcie coś robi? Chyba ci odbiło! Baby nie od tego są, żeby je do prądu dopuszczać.

Oboje z Krzysiem siedzieli jak trusie. Dziecko cichutko bazgrało coś na kartce, za to Wika bardzo ostrożnie wychyliła się do przedpokoju, żeby sprawdzić, czy to aby na pewno kurtka Wojtka. Jej Wojtka, który w szopce niedaleko brzegu umie tak delikatnie bawić się mokrymi kosmykami jej włosów.

To była jego kurtka.

Przed wyjściem Wojtek zobaczył Diupę. W najbezpieczniejszym dla ptaków mieszkaniu bawiła się i przypominała raczej kolorowego węża niż rajskiego ptaka. Miała ubytki w piórach, a jej policzki wyglądały jak gorejące kratery. Ale humor wyraźnie jej dopisywał.

- Jaki to gatunek?

- Ara ararauna.

- Co jej jest?

- Poparzyła się. Przeze mnie. Zostawiłem na wierzchu kapiszon.

Wika pomyślała, że Wiktora gryzą jednak wyrzuty sumienia, tylko umie je doskonale maskować. W jego głosie wyraźnie dźwięczało poczucie winy.

- Nie zazdrozczę ci - Wika spięła się na krześle jak struna od gitary. - Zdrowieje?

- Niestety, nie ma żadnej poprawy od Nowego Roku.

- Mówi?

- Jedno słowo, „Diupa”.

- Niesamowite. Jak kiedyś będziesz chciał się jej pozbyć, to możesz na mnie liczyć.

Pasujemy do siebie.

- Raczej nie.

- Wiem. Tylko tak mówię. Przyjaciół się nie oddaje, nie?

Wojtek wyszedł, a Wika nie miała nawet czasu, żeby przemyśleć to, co przed chwilą usłyszała, bo wrócili rodzice. Diupa przywitała ich serdecznie. Szczególnym zainteresowaniem obdarzyła nowego skalara, którego ojciec przyniósł w pękatej, foliowej torbie.

- Zobaczcie, co mi mama kupiła! - pochwalił się skalarem ojciec. - Zobacz, Diupciu, mam też dla ciebie plastikowy kubeczek - Diupa uwielbiała pastwić się nad wszelkimi plastikami.

- Jedliście coś? - krzyknęła mama, myjąc ręce. - Krzysiu, co ty tam masz? Co napisałeś? Pokaż, napisałeś opowiadanie?

- Nie... niezupełnie... - Krzysio schował kartkę za siebie.

- Bądź mężczyzną, pokaż!

Mama wzięła do ręki wymiętą kartkę w kratkę pokrytą bazgrołami w kolorze fioletowym i przeczytała głośno:

- Rozpieprzyć, żenada, laseczka, duperszmity, przesrane, podjarka, frajer, bujaj się, dajemy czadu, pogięło cię.

- Wika! Wiktor! Czy mogę się dowiedzieć, o czym to rozmawialiście z Krzysiem? - zaniepokojona popatrzyła na swoje dzieci.

*

Do samego wieczora Krzysio był wyjątkowo męczący. Cały czas opowiadał o wspanialej bliźnie i wypytywał wszystkich, co to są dupreszmity.

Wika chciała jak najszybciej znaleźć się w łóżku albo w wannie i spokojnie pomarzyć. Miała zamiar powiedzieć Wojtkowi, co sądzi na temat jego szowinistycznych poglądów i o tym, jak bardzo skompromitował się przed jej bratem. Chciała z nim poważnie porozmawiać. Teraz jednak musiała iść do pana Henryka, aby oddać mu otwieracz do słoików pożyczony przez ojca. Ostatnio Waldek, odnajdując w podopiecznym Wiki partnera do dyskusji o książkach Mario Puzo, coraz częściej składał wizyty w sąsiednim bloku, a po każdej z nich przynosił do domu jakiś drobiazg. Może zresztą dobrze się złożyło, bo pół godziny u pana Henryka mogło pomóc Wice uporządkować myśli i ukoić skołatane nerwy. Pan Henryk bowiem niósł harmonię i spokój. Był opoką.

Niestety, nie otwierał.

Zadzwoiła po raz drugi.

Nic z tego.

Przez wizjer prześwitywało blade światło, a zza drzwi dochodziły cichutkie dźwięki trąbki jazzującego trębacza.

Zadzwoiła trzeci raz.

Znowu nic.

Wika bezradnie rozejrzała się po klatce schodowej. Poczła się nieswojo. W tym samym momencie przyszły jej do głowy dwa równoległe pomysły: wyważyć drzwi i uratować staruszkowi życie w ostatnim momencie albo biec po ojca i niech dalej on się martwi. Nerwowo podrapała się w szyję.

- Zaraz, zaraz! Kto tam?

- To ja!

„Dlaczego mnie nie poznał po dzwonku? Może jest ogłuszony?”

- To ty, dziecko? Nie najlepiej się czuję. Nie chciałbym cię zarazić.

- Proszę otworzyć. Czy wszystko w porządku?

Pan Henryk uchylił drzwi na kilka centymetrów. Od razu zapachniało jego elegancką, ostrą wodą po goleniu.

- Jak najbardziej. Hmm. A co ma być nie w porządku?

W mieszkaniu załomotał przewrócony mebel. Pewnie krzesło.

- Ma pan gościa?

- Tak. Czekam na ciebie jutro. Naprawdę nie wpuszczę cię, bo... nie chcę rozsiewać zarazków - zakasłał. - Czekam jutro, dziecko. Zadzwoń najpierw - dodał pośpiesznie i zamknął drzwi.

Doszła już do windy, kiedy coś ją zaniepokoiło. Zatrzymała się i zaczęła nerwowo obracać otwieracz do słoików. „Jest chory... ma gościa o tej porze... jutro mogę przyjść... i

mam zadzwonić... po co? Nigdy nie dzwoniłam wcześniej. Może ktoś go trzymał na muszce i musiał tak mówić, a w rezultacie bandziory obrabiają mu pod moim nosem mieszkanie?”

Wróciła.

Przyłożyła ucho do drzwi. Trąbka nie grała.

- ... a co miałem powiedzieć?! Musimy coś wreszcie... dla mnie to nie ma sensu...

Gdzieś na granicy podświadomości coś już się kołatało w głowie Wiki. Jednak było tak nieuchwytnie, że nie potrafiła tego skonkretyzować.

Po sąsiedzku zaskrzypiały drzwi, a Pysiakowska udała, że wcale, ale to wcale nie podsłuchuje.

*

Kiedy wreszcie wytłumaczyła ojcu, że pan Henryk jest chory i można oddać mu otwieracz dopiero jutro, gdy już uwolniła się od męczącego opowiadania Wiktora, jaką beznadziejną transmisję zawodów w akrobatyce sportowej oglądał i jaki cienias je wygrał, mogła wreszcie pójść do dawnego gabinetu ojca i uporządkować myśli. W całkowitych ciemnościach położyła się na chłodnej skórzanej sofce i pogrążyła się w rozmyślaniach. „Takie wielkie mieszkanie, a ja tłoczę się z bratem. Chyba znowu się przeniosę. Może tutaj?!”

Już zaczęła w myślach urządzać pokój po swojemu, kiedy nagle zdała sobie sprawę z tego, że jest zwierzęciem stadnym i, że nawet gdy rozmyśla, musi słyszeć wrzaski rodziny. Po tylu latach na czterdziestu metrach nie mogła znieść samotności. Czowała się odtrącona. Poszła do ich wspólnego pokoju. Zobaczyła Wiktora stojącego na rękach i cały czas mamroczącego coś pod nosem, usiadła na podłodze po turecku i oddała się rozmyśleniom.

Jezioro było trochę wzburzone. Burza wisiała w powietrzu.

- Popłyniemy?

Wojtek z długimi włosami, z jakimi lubiła go najbardziej, stał na znajomym pomoście.

- W taką pogodę? Nie ma mowy.

- Przecież jeszcze nie pada.

Jej spódnica zatrzepotała na wietrze i ukazała fragment bardzo zgrabnej i bardzo długiej nogi. O wiele dłuższej niż jej własna.

- Płyn sama. Mnie nie namówisz.

Spróbowała czegoś innego. Może zabrać go w góry?

Krynica Zdrój. Zaraz za hotelem Geovity jest stok oświetlony przez całą noc. Stoją na szczycie. Bardzo stromym. Śnieg jest twardy, pokryty warstewką lodu. Niebezpieczny. Wojtek ma na głowie tę samą opaskę, co na zdjęciu z wycieczki w Góry Świętokrzyskie. Wika z zimna kuli ramiona.

- Zimno ci?

- Tak. Trochę - spod przymrużonych rzęs patrzy na jego profesjonalny kombinezon.

- To wiesz, wracaj na dół, bo ja to bym jeszcze pojechał.

Wojtek ukradkiem mrugnął do zdecydowanie starszej od niego dziewczyny.

„To okropne! On jest potworem. A ja mu chciałam przebaczyć!”

- Co mó... wi... łaś? - przerzuty bokiem wyraźnie wykańczyły Wiktora, ale nadal ćwiczył.

- Nic - Wika energicznie wstała i poszła do rodziców.

- Co się stało, córeczko? Masz jakieś zmartwienie?

- Tak. Ktoś zrobił mi przykrość.

- Kto taki? Rozprawię się z nim! - odparł z uśmiechem ojciec.

- No, sama nie wiem.

Nagle zadzwonił dzwonek.

- Kto to może być o tej porze?

Wice przemknęło przez myśl, że to ociekający krwią, okradziony pan Henryk.

- Mamo! Co robisz w Warszawie tak późno? Odwieźć cię?
- Nie! Jak to późno? Jest dopiero... O, rzeczywiście, już dziesiąta. Jakoś tak mi się zeszło. Mogę przemocować? - i, jak gdyby nigdy nic, podniosła słuchawkę telefonu, wykręciła siedmiocyfrowy numer i zameldowała - w porządku. Nocuję. Tak! - zaśmiała się po swoim.
- Pa! No, pa!

Odłożyła słuchawkę.

- Co macie dobrego na kolację? A, jeszcze muszę do Ziarkiewiczowej. Niech da kotu coś od siebie. Mogę zostać parę dni? Zrobię wam pasztet - użyła ostatecznego argumentu, który zawsze trzymała w zanadru, bo wiedziała, że nie zawiedzie.

*

Przez całe przysposobienie obronne Wika przeżywała nieziemskie katusze. Poparzenia omawiane na zajęciach wywoływały wspomnienie podłego Wojtka, Pana Zdrajcy. Było dla niej jasne, że Wojtek to wyczuty z wrażliwości potwór. Postanowiła skreślić go bezwarunkowo. Niemal zaczęła opowiadać Darii o tym, co ten bydlak wczoraj zrobił i jak na stoku oglądał się za innymi. Na szczęście w porę ugryzła się w język.

- Jak żyjesz? - zagadnęła Darię.

- Spoko. Miałam wczoraj pogadankę z mamą, bo wychowawczyni wezwała ją do siebie i razem ustaliły, że powinnam odwiedzić Wojtka. On podobno jest w bardzo złym stanie.

- No, raczej bym nie powiedziała.

- A skąd wiesz? Widziałaś się z nim?

- Nie... nie widziałam... ale wiesz, rodzice widzą wszystko nieco inaczej.

- To skąd wiesz, że nie jest źle? Coś kręcisz, słońce ty moje.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- I to lubię. Po co mam sobie zawracać głowę twoimi zakręconymi problemami? Po prostu nie będziemy sobie mówić tego, co najważniejsze. Też fajnie!

- Daria, nie o to chodzi.

- O to, o to. Dobra, nie chcesz - nie mów. Ja ci też nie powiem. A wiesz czego?

Grzesiek, ten z obozu w Chorwacji, napisał do mnie list!

- Nie? Kiedy?

- Wczoraj. I tego właśnie ci nie powiem. Bo co ci będę mówić, skoro ty mi nie mówisz, nie? Dziewczyny przecież tak się przyjaźnią. Obrażają się i obgadują... O, idzie Zośka, Zofija. Zofijo! Chodź! Jesteś mi pilnie potrzebna. Muszę w akcie zemsty poobgadywać Rybacką.

- Nie teraz - warknęła złotowłosa Zofija. - Zaraz zaliczam matkę. Potem.

- Potem?! - prychnęła Daria. - Potem to ja będę odpisywać na list. Chodź, pójdziemy razem do tego Wojtka i z głowy.

- Nie ma mowy. Ty wiesz, ja się już w życiu do niego nie odezwę!

- Dlaczego? Nie widziałas go od pół roku... Ty z nim chodzisz czy co?

„Nie widziałas go od pół roku? Od pół roku? To kogo widziała wczoraj nad jeziorem i na stoku? Jak to od pół roku?”

Daria zagroziła, że jeśli Wika nie pójdzie z nią do Wojtka, to ona już nigdy nie zadzwoni do Wiktora i nie będzie udawać zainteresowanych nim dziewczyn. Przyjacielski szantaż zadziałał i wkrótce we trzy, wspólnie ze śliczną Zośką, znalazły się pod drzwiami Wojtka.

Nie uznały za słuszne wcześniej zadzwonić. On przecież i tak ciągle siedzi w domu.

Może i siedzi, ale teraz go nie było. Jego mama jednak, ucieszona z wizyty, wmusiła w nie po talerzu bigosu i po kubku herbaty z sokiem malinowym. Wojtek był na pływalni.

Dziewczyny popatrzyły na siebie znacząco. Poparzony na pływalni?! Wika wiedziała, że po Wojtku wszystkiego można się spodziewać, ale Daria wyobrażała sobie przykutego do

łóżka kalekę rodem z *Tajemniczego Ogrodu*. Taki zawód. Chętnie by się nim zajęła. To znaczy chętnie do wczoraj, bo wczoraj przyszedł ten cudowny list od Grześka.

Wojtek zazgrzytał własnym kluczem.

- Mamuś, makreli nie było. Wziąłem piklinga, może być?

- Chodź synku, koleżanki do ciebie przyszły.

- Oj - dało się słyszeć lekkie westchnienie. - No, cze... No cześć, dziewczyny! - zawołał ze szczerym entuzjazmem. - Jak dobrze zobaczyć jakieś normalne twarze!

Mimo iż Wika rejestrowała każde słowo, nie udało jej się usłyszeć ani jednego „przesrania” czy „duperszmita”. Wojtek był normalny.

Nie był tak wspaniały jak nad jeziorem, ale, niestety, był fajny. Taki jak zawsze.

- Nie przychodzisz do budy? Głupio się czujesz?

- Nie - Wojtek cichutko zamknął drzwi. - Tylko się nie wygadajcie. Chodzi o moją mamę. Nareszcie ma co robić.

- Co robić?

- Troszczyć się o mnie, gotować. No wiecie. Zresztą od razu z Wacią ustaliły, że jestem biednym żuczkiem i potrzebuję pomocy i zanim na dobre wyszedłem ze szpitala, załatwiły mi odroczenie obowiązku szkolnego do końca tego roku. One się tak starają, że nie mam siły tego odkręcać. Rozumiecie, taki nadgorliwy to ja nie jestem, żeby pchać się do budy, jak nie muszę. Wracam we wrześniu.

- Ale wtedy zmienisz klasę - zauważyła cichutko Zofija.

- No tak, o tym nie pomyślałem. Wika, powiedz bratu, że mam już tę pamięć dla niego. Przyniosę mu lada dzień. Co tak na mnie patrzysz? Naprawdę mu przyniosę. Słowo skauta.

Wyszły. Ani jednego „fajera”. Ani jednego. To był normalny, bardzo fajny gość. Żaden szowinista - musiała niestety to przyznać. Miał jakiś koszmar na twarzy, ale po dwóch godzinach i czterech kawałkach razowca z miodem (prosto z pasieki od dziadka), który jeszcze wcisnęła w nie mama, naprawdę nie było już żadnej blizny. Wika czuła się lekka jak piórko i jakaś pusta. Brakująca.

*

Zofija zostawiła dziewczyny i poszła do domu.

- Słyszałaś, że ktoś zdewastował naszą kronikę? Podobno Wacia szykuje zebranie, żeby nas zmieszać z błotem i z wiosennej wycieczki do Pragi nici.

- Wiadomo, kto zniszczył?

- W tym rzecz, że nie. Przenosili biurko i wypadła fura książek, w tym kronika z jedną brutalnie wydartą kartką. Wiem wszystko, bo moja mama zawsze w mięsnym spotyka Wacię.

- Nie domyśla się, kto to zrobił?

- A co się tak nerwowo dopytujesz?

- Co?

- To ja.

- Co ja?

- To ja zniszczyłam kronikę. Wydarłam tę kartkę.

- Po co? - Daria nie mogła opanować bulgoczącego śmiechu.

- Bo.... Daria, ja nie wiem, co robić. Chcę o tym wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

- Jak nie powiesz, to rana będzie się paprać.

- Może by ją odkazić.

- Nie da rady. Trzeba brudy wyczyścić. Słyszałaś o katharsis?

- Z grubsza.

- To jest działanie uzdrawiające, oczyszczające. Najlepiej te osiągnąć przez zadośćuczynienie. Na przykład naprawienie krzywd. Zrobiłaś krzywdę?

- Kronice? Kronice to zrobiłam.

- Idźmy dalej. Można to naprawić?
- Raczej nie można. Nie.
- Dobrze. Więc musisz się przyznać do winy. To będzie twoje katharsis.
- Chyba oszalałaś.
- Ja tylko radzę i to bezpłatnie, zwróć uwagę. Bezpłatnie. A rady są cenne. Wolałabym mieć trochę głupszą przyjaciółkę. Nie miałabym tylu kłopotów.
- Miałabyś, zapewniam cię.
- Nie zmieniaj tematu, tylko obiecuj.
- Co?
- Że się przyznasz. To wystarczy, ręczę. Wacia się wścieknie, obniży ci stopień ze sprawowania, wezwie twoich rodziców, będzie afera, ojcu się przez ciebie pogorszy, a ty odkupisz winy i uspokoisz się.
- Na pewno?
- Na pewno. Ale to nie będzie wcale najgorsze. Wiesz, co będzie najgorsze?
- Nie wiem.
- To, że mi musisz powiedzieć dlaczego, na miłość boską, dewastujesz mienie szkolne. No, mów. Nawet jeśli tego teraz nie zrobisz, to i tak w końcu to z ciebie wyduszę.

*

Lewe tylne kółko trochę skrzypiało. Konieczna była kropla oleju. Od razu było widać, że wuj Piotr nie jest fanem majsterkowania i beztrudnie pozwala, żeby lewe tylne kółko wózku jego syna skrzypiało. Nie to, co ojciec.

Wika usiadła na lekko oszronionej, lodowatej ławce. Wcisnęła ręce w kieszenie i nogą kolebała wózek. Krzysio z entuzjazmem rzucił się na plac zabaw, ale już po dwóch zjazdach ze zjeżdżalni poszedł do kuzynki.

- Smutno ci? Chcesz, powiem ci coś fajnego: „W Szczebrzeszynie przy kominie chrząszcz brzmi w trzcinie na pierzynie”. Co tak patrzysz? Ubrudziłem się?

- Zastanawiam się, dlaczego to robisz.
- Co?
- Dlaczego seplenisz tylko przy rodzicach? Przecież świetnie mówiłeś, zanim poszedłeś do szkoły. Jest jakiś powód, prawda?
- Nie ma żadnego. Mogę złożyć oświadczenie na piśmie.
- Przecież widzę.

Krzysio przez chwilę rozważał, czy Wika na pewno jest osobą, której można się zwierzyć. Uznał, że tak.

- Ale musisz przyrzec, że nikomu nie powiesz.
- Przyrzekam, nie powiem.
- Nikomu?
- Nikomu.
- To przez Marzenkę. Chodzimy do logopedy po dwie osoby i jak ja przestanę to... to... to...

- To pani wyznaczy innego chłopca - dokończyła za Krzysia. - Nie za młody jesteś na takie problemy, he? - zapytała. - Ta Marzenka to musi być niezwykła dziewczyna, co?

- O, tak. - rozmarzył się siedmiolatek.

Między łysymi brzożami, już prawie przy końcu parku - na Chodeckiej, zamajaczyła kurtka Daniela.

- Co mówiłeś? - tak, to zdecydowanie była kurtka Daniela.

- Nic. I tak tego nie zrozumiesz. Chodźmy już!

Wiatr lizał ich po plecach. Wstali i postanowili zrobić jeszcze jedną rundkę szybkim krokiem.

Z naprzeciwka zbliżał się do nich Daniel, ciągnąc za sobą Karolinę Dul w za dużej kurtce (jakby po starszym bracie) i w kompletnie niedobrych rękawiczkach, czapce i szaliku. Karolina, ogólnie rzecz biorąc, wyglądała jakby przed chwilą robiła sobie maseczkę z surowego ogórka. Mały kawałek został jej jeszcze koło ucha. „No tak, maseczka przed randką. Normalka”.

Wika za nic na świecie nie chciała dać po sobie poznać, co czuje, dlatego od razu zaczęła opowiadać o najpiękniejszym niemowlaku na świecie, czyli o Maćku.

Chwilę stali nad wózkiem. Karolina rozplątywała się nad ledwie widocznym spod dwóch czapeczek okiem i kawałkiem nasmarowanego tłustym kremem policzka. W końcu Daniel brutalnie przerwał jęki zachwyty i oddalił się ze swoją towarzyszką równie szybko, jak się pojawił.

„Jak ona była niedbale ubrana - pomyślała Wika. - No, tak. Jak się chodzi z takim fajnym chłopakiem, to nie trzeba się już nawet stroić. Nic już do szczęścia nie potrzeba”.

Dobrze, że Krzysio cały czas truchtał obok i podejrzliwie na nią zerkał, bo jak nic by się rozbeczała.

Rozdział 7

Ojciec od rana robił dwa nowe stojaki dla Diupy. Wykorzystał nieokorowane gałęzie prosto z lasu, żeby papuga mogła je z furią dziobać i pozbyć się zbędnej energii. Kiedy zamontował w wolieryze stojaki, zaczął grać z ptakiem w piłkę. Diupa z głośnym skrzykiem biegła na krótkich nóżkach po dywanie, drąc się w niebogłose ilekroć zdołała dopaść piłkę. Po jakimś czasie ojciec, wykorzystując kukurydzę, zwabił Diupę do woliery i zabrał się za placki z jabłkami.

- Kategorycznie żądam śniegu, za krótko był tej zimy - rzekł Wiktor, przeżuając obficie posypyany cukrem pudrem placek. Ilekroć ojciec smażył racuchy, Wiktor pożerał je w ilościach niewiarygodnych, popijając kompotem z wiśni z pestkami (do drylowania wiśni nikt nie miał cierpliwości).

- Tak - westchnęła Pysiakowska, grzebiąc w placku. - Ja też bym poszła na sanki.

„Tylko z kim, z kim?” - automatycznie włączył się głos w jej głowie.

Zamknięta w wolieryze Diupa, czując zapach placków, przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę, domagając się swojej porcji jabłkowych delicji. Od Nowego Roku miała kategoryczny zakaz wchodzenia do kuchni podczas gotowania, smażenia i pieczenia.

- Jak tu ładnie pachnie! - do kuchni weszła mama, próbując rozmasować obolałe od siedzenia przy komputerze plecy. - Co jecie? Dajcie i mi! - z apetytem zabrała się za placki, nie posypując ich cukrem. Wolą takie, nawet trochę kwaśne. - O czym rozmawialiście?

- Żeby tak spadł śnieg - Wiktor podparł się na łokciu i rozmarzył na całego. - Można by gdzieś pojechać na sanki albo pójść na spacer.

- Albo zostać w domu - wtrąciła Wika.

- Niestety, trzeba brać świat taki jaki jest. Z pogodą nie ma co dyskutować. Jeszcze się taki mądry nie urodził, żeby miał wpływ na pogodę.

- A zaklinacze deszczu w Afryce? - zażartował Wiktor.

- Jakoś mnie nie przekonują, ale ja też bym dużo dała za dwa dni porządnego śniegu. Moglibyśmy pojechać na działkę do Sulejówka. Tam jest tak pięknie, gdy jest śnieg. I tak cicho.

- To mówisz, że jeszcze się taki nie urodził, żeby miał wpływ? - ojciec wyraźnie się nad czymś zastanawiał.

Zjedli placki. Wika w milczeniu zmyła naczynia, Wiktor wyniósł śmiecie, a ojciec usiadł w dużym pokoju z książką *Chłopcy z ferajny*. Tyle tylko, że trzymał książkę do góry nogami. Nagle zerwał się.

- Mam! Wiem! Zapraszam was wszystkich do mnie. Rodzina zgromadziła się wokół ojca.

- Jak bardzo zależy wam na tym, żeby spadł śnieg?

- Mnie bardzo - zapewnił Wiktor, bo miał plany. Kogo dotyczące - wiadomo.

- Mnie też - zapewniła mama.

- I mnie - dodała Pysiakowska.

- Wiecie co? Ja wiem, jak to zrobić, żeby jutro był śnieg. I to nie jakieś tam marne resztki na trawniku, tylko zasy po pas. Co tak patrzycie? Naprawdę wiem. Dobrze, niedowiarki. Kto przystępuje ze mną do wielkiej akcji „śnieg na jutro”, słucham?

Rodzina zgodnie podniosła ręce.

- Czy zdradzisz nam na czym polega twój plan? - z lekką ironią zapytała mama.

- Oczywiście, ale najpierw muszę uzyskać od każdego słowo skauta, że będzie mi bezwzględnie posłuszny, nie będzie komentować i nie dowierzać. Przyrzekacie? - zapytał patetycznie.

- Przyrzekamy!

- Pomożecie? - zażartował ojciec zniechęconymi słowami.

- Pomożemy!

I ojciec wtajemniczył ich w swój bardzo prosty i genialny plan. A potem bezlitośnie zapędził do roboty.

Diupa dostała niemiłosiernie szeleszczącą torebkę po chipsach, żeby miała zajęcie, a reszta rodziny zaczęła pracę. Kobiety zostały odesłane, żeby popakować do worków foliowych wszystkie akcesoria związane z zimą. Kombinezony i okulary narciarskie poszły do worów. Sanki zostały wyniesione do piwnicy, narty - nasmarowane i zabezpieczone do przyszłego sezonu.

- Zaraz, to tylko preludium. Apogeum mojego planu nastąpi teraz. Wiktor, wyciągaj letnie opony. Jedziemy z nimi do wyważania. Kobiety! Ubierać się i do samochodu. Ostatecznie możecie potoczyć jedną oponę.

Opony samochodowe sprawiają dość niepozorne wrażenie, gdy znajdują się na swoim miejscu. Wystarczy jednak zdjąć je z kół, aby stały się potwornie ciężkimi obwarzankami, których toczenie wymaga użycia sporej siły. Wydobycie opon ze schowka, przetoczenie do windy, sturlanie po schodach... Już na tym etapie wszyscy mieli dość. Wsiadli do nissana z prawdziwą ulgą.

- Oj, czuję, że miałeś genialny plan, kochanie. Ilekroć wezmę parasol, nigdy nie pada - mama pocałowała swojego męża. - Jestem taka zmęczona tą akcją, że jak już nam wyważą i zmienią te koła, to zapraszam w domu na herbatkę i pierniki.

- Jak to zmienią? - zdziwił się ojciec. - Ja jadę tylko wyważyć koła. Zmienimy je na działce, jak zawsze.

- Ale zawsze robimy to za dnia i gdy jest już właściwie ciepło - mama była zdezorientowana.

- Chcecie śniegu, czy nie? - zdenerwował się ojciec. - Jeśli wam zależy, to musimy się trochę przyłożyć. Na „odwal się” tego śniegu nie załatwimy. Zresztą cieszcie się, bo początkowo jeszcze planowałem skopanie wszystkich grządek, ale to wam daruję.

W ten sposób ojciec zamknął dyskusję.

W warsztacie mechanicy byli lekko zdziwieni, skąd pomysł zmieniania opon zimowych na letnie w środku zimy.

- Panie, może przecież jeszcze padać! - próbował zniechęcić ojca do tej operacji mechanik.

- Gdzie tam! Śniegu już w tym roku nie będzie, mówię panu - szarżował ojciec.

Zapłacił. Koła zostały wyważone. Rodzina ruszyła na działkę.

Od dziesięciu lat mieli działkę w Sulejówku. Pięćset metrów kwadratowych i mały drewniany domek. Lubili to miejsce, bo sami je zbudowali, zagospodarowali i właśnie tam mieli zwyczaj wymieniać opony z letnich na zimowe i odwrotnie.

Dotarli do opustoszałych o tej porze roku ogródków działkowych grubo po zmroku. Wymiana opon zabrała im ponad godzinę. Ojcu zapodział się jeden ze śrubokrętów krzyżakowych i przy latarce szukali go jakieś dodatkowe piętnaście minut, kiedy to okazało się, że ojciec w ogóle nie wyjął go ze skrzynki, którą zawsze woził w samochodzie. Wracając po dziewiątej do domu, byli zmarznięci, głodni i wściekli. Tylko ojcu humor dopisywał.

Wtoczenie opon do mieszkania, umycie, włożenie do worków i ustawianie odbyło już w sporym napięciu.

- No, zobaczcie! Jutro pięknie nam posypie - klasnął w dłonie zadowolony z siebie ojciec.

- Nawet jeśli posypie, to i tak na sanki nie pójdę.

- Dlaczego? - zdziwił się ojciec.

- Bo nie będę mógł się ruszać - Wiktor, udając paralytyka, wszedł do łazienki na prawie godzinę.

*

Pierwszy płatek śniegu spadł o trzeciej dwanaście. Zawirował na wietrze, jakby się zastanawiał, gdzie by tu najlepiej wylądować. Wziął nawet pod uwagę balkon Rybackich, ale potem się rozmyślił i spoczął w zgłębieniu między pnem a gałęzią topoli przed ich oknem. Po chwili powietrze wypełniło się zgrabniutkimi, jak w elementarzu dla pierwszoklasistów, gwiazdkami śniegu. Do rana Warszawa była zasypana. Na szczęście drogowcy, których w tym roku zima zaskoczyła już drugi raz, nie wiedzieli czyja to sprawka. I dobrze.

*

Ojciec, wykorzystując zraszacz do kwiatów, robił Diupie prysznic w łazience i czule przemawiał do niej po rosyjsku, co ją szalenie intrygowało, ale i na swój sposób uspokajało.

Damroka i Wiktor postanowili wykorzystać śnieg i pojechać do Choszczówki. Szykowali się do wyjścia, a Damroka przy okazji poznawała rodzinę Wiktora.

Wika od kilku chwil tłumaczyła Damroce, o co chodzi w ich klubie, opowiadała o tym, jak szukają dziewczyn o niespotykanych imionach i o tym, że zawsze okazuje się, że to świetne osoby.

- Może spotkasz się ze mną i Darią w babskim gronie?

- Nie ma mowy. Ja mam monopol - Wiktor z szelestem zawijał kanapki w folię aluminiową.

- Akurat!

- Wiesz, mam świetną koleżankę, Biljanę. Ona jest Serbką.

- Biljanę? Ekstra! Dawaj ją. My w te wakacje znalazłyśmy Libuszę. Też pięknie, co?

Dziewczyny jeszcze nie zdążyły ustalić szczegółów spotkania, kiedy do przedpokoju weszła mama.

- Zauważyłyście, że każda kobieta ma co najmniej trzy, a nawet cztery dziurki cały czas w użyciu?

Dziewczyny popatrzyły na siebie niepewnie.

- W użyciu? - Jakie dziurki, mamuś?

- W pasku, oczywiście. Pokaż. A widzisz? Masz wyrobione trzy dziurki, czyli masz różny obwód pasa. Różny aż na trzy dziurki. Do nas przyszła nowa historyczka, która od kilkunastu lat używa tylko jednej dziurki w pasku. Wyobrażacie sobie?! Cały czas tej samej dziurki! Nieprawdopodobne, prawda? Ja mam aż cztery dziurki w zależności od tego, co ugotuje.

- Ja mam tylko dwie. Jedną przed jedzeniem, a drugą po - Damroka pomacała skórzany pasek. - Proszę pani, pani uczy chemii moją koleżankę.

- Tak? A jak się nazywa?

- Biljana.

- Biljanka? Biljana Bakić? Oczywiście! To zdolna dziewczyna i jaka ładna!

- Powtórzę jej, bo ona myśli, że jest bardzo brzydka.

- To dobrze. Gorzej, gdyby myślała, że jest bardzo ładna, prawda?

- Czy my pojedziemy do tej Choszczówki zanim się zrobi czarna noc? Już nigdy nie zaproszę cię do domu. Wiedziałem, że to się tak skończy.

Wiktor spojrzał na Damrokę znacząco, co oczywiście nie umknęło uwadze mamy, która natychmiast powiedziała:

- No, jedźcie już i pamiętajcie o szyszkach dla Diupci. Pogadamy innym razem.

Kiedy Wiktor z Damroką wyszli, Wika stanęła koło biurka i zaczęła przeglądać ostatni numer „Cogito”, już z dwoma artykułami mamy.

- O czym myślisz, córuś?

- Zazdroszczę jej, choć uważam, że Wiktor to tragiczny materiał na chłopaka, zazdroszczę jej. Jest taka obrzydliwie szczęśliwa. I ma fajne ciuchy. Najgorsza z tego wszystkiego jest ta chustka od Wiktora.

- Niepotrzebnie jej zazdrościsz.

- Dlaczego? Jest zakochana, Wiktor od niej oczu nie odrywa, ma z kim pojechać do Choszczówki i w ogóle.

- Ja mogę z tobą pojechać, jak chcesz - zaproponował ojciec, wymachując przed dziobem Diupy metalowym łańcuszkiem zakończonym małym dzwoneczkiem. Ostatnio drugi raz przeczytał *Duże papugi* i bardzo wziął sobie do serca informację, że one źle znoszą nudę. Dostarczał Diupie coraz to nowych rozrywek.

- Charoszaja Choszczówka, charoszaja.

- Oj, tato. Zazdroszczę jej nie tego, że jedzie do Choszczówki, ale że ma z kim. To zwyczajna ludzka rzecz.

- Skąd wiesz, jakie ona ma życie? Wikuś, nie widać wszystkiego po człowieku.

Damroka może być chora, mieć kłopoty w szkole, z koleżanką. Każdy ma jakieś problemy. Wierz mi.

- Daisy Diamond, ta sławna modelka, na pewno nie.

- Na pewno? Nie mówisz chyba poważnie? Jestem pewna, że ma żylaki albo nawet hemoroidy, że boi się kolejnej operacji plastycznej, że ma kłopoty z narkotykami. Ona tonie w kłopotach. Tyle, że w innych niż ty. Poza tym, jestem pewna, że cierpi na stany depresyjne.

- Jakoś nie umiem sobie wyobrazić, żeby Damroka miała jakieś problemy, prawda Diupciu? Kak tiebja zawut?

*

Choszczówka leży tuż za Tarchominem. Jest tam kilka wiat, pod którymi można usiąść i zjeść kanapki oraz kilka miejsc, gdzie można rozpaść ognisko czy rozruszać mięśnie na ścieżce zdrowia. Taki Park Kultury. Zimą może ciut nieatrakcyjny, ale co tam.

176 wlokło się niemiłosiernie. Dwa przystanki przed Choszczówką Wiktor zaproponował, żeby wysiedli i doszli pieszo. Denerwował się, bo był święcie przekonany, że Damroka chce mu wyznać coś strasznego. To „nie wiesz o mnie wszystkiego” - prześladowało go od Sylwestra. Miał dwa pomysły: albo Damroka pozowała do zdjęć nago i teraz można ją znaleźć w internecie, albo jej ojciec został ambasadorem w Wenezueli i wyjeżdżają jutro. Bez wątplenia wolał, żeby to było to pierwsze. Drugiego by nie zniósł.

Dotarli na miejsce za piętnaście dwunasta.

Nigdzie żywego ducha. Wszystko białe. W sam raz na spacer we dwoje.

- Genialne te skarpety od ciebie. W ogóle mi nie marzną nogi.
- To z wełny wielbłądziej - Damroka była jakaś markotna.
- Napijemy się?! Mam dobrą herbatę, nazywa się „Zimowa kołysanka”. Chcesz spróbować?

Herbata rzeczywiście była bardzo dobra. Mocna i gorąca. Wspaniale parzyła wargi i rozgrzewała.

Chwilę snuli się po lesie. Odgrzebali spod śniegu kilkadziesiąt szyszek dla Diupy, która uwielbiała się nad nimi pastwić.

Było białe i bardzo cicho. Wiktor nie mógł uwierzyć, że to wszystko zawdzięcza ojcu. I Diupie. Ojcu - śnieg, a papudze - że się poznali. Ale nie tylko to wprawiało go w bezgraniczny zachwyt. Dużo ważniejsze było, że z jednej ręki bez rękawiczki do drugiej ręki bez rękawiczki przepływa ciepło. Taki mały cud. Kameralny.

- Co mi chciałaś powiedzieć? - Wiktor cały czas bawił się palcami Damroki. Ciągle wisiało nad nimi to przekłete „nie wiesz wszystkiego”.

Ciepła ręka Damroki spowodowała, że zapomniał już o swoich obawach. Dała Wiktorowi nadzieję, że usłyszy pewne słowo zaczynające się na „k” a kończące na „cię”. I czekał na to. Zresztą miał zamiar też jej to powiedzieć; nawet wolałby pierwszy.

- Wiktor, chciałabym żebyś do mnie przyszedł.
- Nareszcie. Myślałam, że nigdy się nie zdecydujesz.
- Wierz mi, to nie będzie fajne.
- Dlaczego?
- Przez mojego ojca.
- Ja nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale wiem, że muszę - Wiktor był już pewien, że sprawa Wenezueli za sekundę wypłynie. - Ty masz taką fajną rodzinę. Twój ojciec jest super i tak się wami opiekuje. Wszystko go obchodzi. I nawet Diupa jest dla niego ważna.

- Po tym, jak przeze mnie... czasem może nawet zbyt ważna.
- Nie, nie masz racji, tak powinno być. A u mnie... u nas... mój ojciec...
- Mówiłaś, że jest dyplomatą. Zresztą to fajny facet, przecież go poznałem.
- Tak. Inteligentny, uczciwy, wykształcony i to jest jeszcze gorsze. Wolałabym, żeby był niewykształconym prostakiem, żeby nas bił.

- Żeby was bił?
- Tak. Chciałabym, żeby mnie bił. Wtedy mogłabym go spokojnie znienawidzić.
- Znienawidzić?
- Owszem, znienawidzić. A tak, to mam wyrzuty sumienia. Nienawidzę, ale mam wyrzuty sumienia.

- Ale za co go nienawidzisz? Upokarza cię, zmusza do czegoś... złego?
- No właśnie to jest najgorsze, że nie.
- Roczku, ja nie rozumiem...
- Wiem. Tego nikt nie rozumie - Damroka odwróciła wzrok i zapatrzyła się na gałęzie. - Mój ojciec jest alkoholikiem. Kulturalnym, wykształconym alkoholikiem.

- Ale nie bije ani ciebie, ani mamy? - upewniał się Wiktor.
- Nie. On nic nie robi. Pracuje, zarabia, przynosi mamie jej ukochane róże. Ale pije. I muszę się ciągle za niego wstydić.

- Ale to...
- Tak, wiem. To nic wielkiego. Właśnie to jest najgorsze. Mam ojca, który jest piekielnie inteligentny, wszyscy się nim zachwycają - taki, wiesz, kwiat dyplomacji - kocha mnie i mamę, nawet dba o nas - jak jest trzeźwy, oczywiście. Tyle, że pije. Nie można na niego liczyć, polegać na nim. Nie możesz się z nim umówić, bo... przyjdzie zalany. Boję się kogokolwiek zaprosić do domu, bo nigdy nie wiem, czy akurat tego dnia ojciec będzie „normalny”.

- Nie kochasz go?

- To trudno wytłumaczyć. Może powiem ci tak: dwa lata temu byliśmy z klasą w Zakopanem i wchodziliśmy na Giewont. Każdy miał pomyśleć sobie życzenie. Jak wejdiesz i dotkniesz czołem krzyża, to to życzenie się spełni. I ja sobie pomyślałam... wiesz, o czym myślałam wchodząc na Giewont? Żeby ojciec umarł.

Na mrozie nie powinno się płakać, ale Damroka jakoś o tym całkiem nie pomyślała.

- Nie wierzę.

- Ja się go wstydzę. On nigdy nie jest zalany, tylko wypił jednego drinka. Odbiera mnie ze szkoły po jednym drinku, prowadzi samochód po jednym drinku. I uważa, że nic się przecież nie stało. Jest tylko po jednym drinku. Nawet nie umiem tego wytłumaczyć.

- Ja rozumiem...

- Wiktor, nie obraż się. Ja ci nie mówię tego po to, żebyś ty rozumiał, bo ty nie możesz rozumieć, mając takiego ojca jak twój.

- To straszne.

- Dużo bardziej niż ci się wydaje. Mam dom, pieniądze, mamę, a ojciec wszystko psuje. Z daleka poznaję, czy wypił „swojego jednego drinka”.

- Nie wiem co powiedzieć, jak ci pomóc.

- Nie możesz mi pomóc, to znaczy możesz... już pomogłeś... Wiktor, popatrz na mnie. Musiałam ci to powiedzieć, bo chcę, żebyś wiedział, że ja życzę komuś... ojcu... śmierci... Nie mogłam ci tego nie powiedzieć.

- Oczywiście. To dlatego mi powiedziałaś, że życie cię nauczyło... z tym łapaniem chwili... Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej?

- A ty myślisz, że to łatwo? Mamusia i tatuś to świętość. Każą ci ich kochać i szanować. A ja swojego nawet nie umiem nienawidzić.

- Kiedyś, wtedy w ZOO, powiedziałaś, że... że ty wszystko robisz od razu. Jesteś obowiązkowa. To dlatego, że nigdy nie wiesz...

- Tak... co zastanę w domu. Dlatego. Nauczyciele i rodzina są ze mnie tacy dumni. Ja zawsze mam wszystko przygotowane, bo wieczorem może być różnie. I z tym telefonem... zawsze na początku kłamię, że nie mamy telefonu...

- Wiem. Rozumiem. Trochę się zdziwiłem, jak podałaś mi numer, ale czułem, że to się wyjaśni - Wiktor zobaczył, że jeden zabłąkany płatek śniegu przysiadł na rzęsach Damroki. Zdjął rękawiczkę i, najdelikatniej jak umiał, zsunął go na palec. - Roczk... ja czułem od razu, że ty jesteś inna...

- Wiktor, nie. Ja nie chcę litości. Mama od zawsze mi powtarza, że to, co nie zabija, czyni nas mocniejszymi. Znasz to? Ja jestem mocna. Muszę. Tylko chciałam, żebyś wiedział, bo czułam się tak, jakbym cię oszukiwała.

Ponieważ stali nieruchomo, wiewiórki wcale się ich nie bały. Trzy rude i jedna prawie czarna wariowały na drzewie dosłownie kilka metrów od nich.

- Roczk, ja też ci muszę coś powiedzieć. Wyznać.

- Chyba nie o ojcu? Sorry, to głupi żart.

- Nie, nie. Skąd. Ja... ja jeszcze nigdy nie miałem dziewczyny.

- No i co z tego? To jakaś wada, czy co?

- Nie przeszkadza ci to?

- A tobie przeszkadza, że mój ojciec... wiesz...

- Nie. Absolutnie nie. Chociaż mam ochotę go zabić.

- To witaj w klubie.

Wiewiórki z gigantycznymi, zimowymi ogonami ganiały się wokół grubej sosny. Najśmieszniej wyglądały z głową w dół.

- Wiktor. Wiktor! Co ty ro... co...

- Ale to dziwne uczucie. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałem - wymamrotał.

- Jak?
 - Nie powiem, ale dużo, dużo gorzej.
- Jeszcze przez chwilę Wiktor konfrontował swoje wyobrażenia z rzeczywistością.
- Z czym masz kanapki? - szeptem, by nie splotyć wiewiórek, spytała Damroka.

*

Są fakty, których w pewnych sytuacjach lepiej nie znać. Na przykład: jest głęboka noc. Cudem udało ci się dostać ostatni pokój w hotelu. A tu usłużny recepcjonista przynosi ci wyborną gorącą herbatę i informuje życzliwie, że właśnie w tym pokoju zmarł, powiesił się, został zasztyletowany Pan Niewinny. Dobrze się będzie spało, prawda? Dobranoc.

Takie niepotrzebne informacje mogą wszystko popsuć. Wiktorowi popsują radość z tego, że nareszcie zobaczył pokój Damroki, dziwnego pingwina z porcelany, własne zdjęcie w małej ramce z modelinowym misiem i fioletową chustkę zdecydowanie na honorowym miejscu.

Nie bawiły go dowcipy ojca Damroki, nie chciał odrobiny wódeczki do coli i musiał się hamować, żeby nie złapać faceta za szyję i nie udusić. Wódeczki!

„Szkoda, że to wiem, szkoda. Nie umiem już patrzeć na niego inaczej niż ze świadomością, że ona przez niego cierpi”.

Kolacja była pyszna. I miła. Mama Damroki też. Tylko ojciec... Był dokładnie taki sam jak wtedy, gdy Wiktor widział go po raz pierwszy. Dlaczego wobec tego teraz go tak denerwował?

Kiedy wrócił, mama jak zwykle siedziała przy klawiaturze, a ojciec montował nową gałąź dla Diupy. Wujostwo ze swoimi dziećmi właśnie wychodzili. Diupa zawiesiła się dziobem na prętach woliery i wrzeszczała ile sił w płucach.

- O co jej chodzi? - wuj wciskał swojego młodszego syna w puchowy kombinezon.
- Pewnie pragnie towarzystwa. Ptaków.
- No to jej kupcie.

- O, nic z tego! - oderwała się od klawiatury mama. - Mało problemów? Ale właściwie to tak głupio... drogo... ciekawe ile... - i mama bez pożegnania wróciła na stanowisko. Jeszcze chwilę pogadali o tym, kto ze znajomych trzyma jakie zwierzęta i że Gwidoszowie, u których Rybaccy byli nie dalej jak wczoraj, na trzy tygodnie wzięli pod opiekę młodego legwana. Tylko Marysia się go nie boi.

- Niemożliwe - wuj Piotr jakoś im nie dowierzał.

- Może i niemożliwe, ale wiesz, to była nasza najkrótsza wizyta u nich. Pójdziemy, gdy już oddadzą gada. Nawet Pies tak się go boi, że całymi dniami nie schodzi z parapetu i żałośnie miauczy.

- Ilekroć wracamy od Gwidoszów, to jestem w dobrym humorze - zauważyła mama.

- A ja, ilekroć od nich wracamy, mam ochotę na dzidziusia. Ta ich mała jest cudowna. I nie ma ani jednej potówki - Waldek z uśmiechem spojrział na szwagra.

*

Radosław Czerdesz pracował w polskim korpusie dyplomatycznym. Gazety nie pisały o nim zbyt często. Chyba że w takich wypadkach...

Pierwsza strona krzyczała tytułem: „Czerdesz skompromitowany!”

Wiktor wygrzebał portfel. Odruchowo zajrzał do przegródki z bilonem... miał tylko kilka groszy. Za mało na gazetę. Podał więc banknot. Przeczytał wstępniak dwa razy. Na pierwszym planie Radosław Czerdesz, zgięty w pół, trzymający w dłoni wielką, patriotycznie biało-czerwoną wiązaną, dusił się z pijackiego śmiechu. Co do tego, że był pijany, Wiktor nie miał najmniejszych wątpliwości. W tle, wśród dyplomatów w pogrzebowych garniturach, stała jego żona - mama Damroki.

Wiktor wrzucił gazetę do kosza i zaczął rozglądać się za automatem, żeby zadzwonić do Damroki. Nikt nie odbierał telefonu. Pojechał na Karola Lineusza - nikogo nie było.

Wrócił na Bródno. Rodzina, łącznie z Diupą, wyszła do niego do przedpokoju. Miny mieli grobowe.

- Już wiecie?
- Tak - odpowiedział ojciec. - Byłeś u Damroki?
- Nie mogę jej złapać.
- Biedna dziewczyna. Nie mogę sobie wyobrazić, co ona teraz przeżywa.
- Biedna żona - wtrąciła się mama.
- Zjem coś i znowu pojedę... może do tego czasu już wróci...

*

- Tato, ja muszę jej pomóc. Ona się męczy. Nie wiem co, wy z mamą postanowicie ostatecznie, ale musielibyście być nieczuli i pozbawieni odruchów humanitarnych, żeby się nie zgodzić.

- Na co?
- Żeby Damroka z nami zamieszkała.

- Tak - ojciec wcale się nie zdenerwował, tylko pogładził swą łysinę. - Tak. Przychodzi mi do głowy co najmniej dziesięć powodów, które sprawiają, że jest to absolutnie niemożliwe, ale zanim ci je zdradzę, zapytaj Damrokę, czy ona chce się do ciebie wprowadzić. Ale odruchy masz prawidłowe. Synu, zanim wyjdiesz, przypominam ci, że lista zakupów czeka na ciebie na blacie w kuchni. Wiesz, kiedy poznałem mamę, to też mi się wydawało, że ona potrzebuje natychmiastowej pomocy. Taka załęczniona, w jakimś nędznym płaszczku. Zawsze w cieniu Krysi. Też chciałem, żeby od razu ze mną zamieszkała.

- I co? Zgodziła się?

- Nie. Ale pamiętam, że od razu powiedziała, że dach im przecieka i wiesz, jakoś to się rozmyło. A za pół roku i tak musieliśmy się pobrać. Oczywiście byliśmy znacznie starsi niż ty.

- Rzeczywiście znacznie. Trzy lata. Tato, a kiedy ty już na pewno wiedziałeś, że mama to ta kobieta? Że chcesz z nią... no, wiesz?

- Myślałem, że w szkole was uświadamiają i ja nie muszę już odwalać tej roboty.

- Tato, nam mówią szczegółowo o budowie miejsc, o których w ogóle nie chcę wiedzieć, jak są zbudowane. Ja pytam o uczucia. Kiedy jest taki moment, że już się wie na pewno?

- Nic z tego, nie dam się zrobić w odpowiedzialność. Sam to oceń. Mam wrażenie, synu, że ty już wiesz. I że wszystko potoczy się teraz bardzo szybko.

- Tato, dziękuję ci.

- Za co?

- Że mnie nie wychowałeś na idiotę.

- Wierz mi, że się starałem i sam nie wiem, dlaczego się nie udało. Dokąd znów lecisz? Pamiętaj o zakupach... i śmiecie... no tak, śmiecie już sam wyrzucę. Chodź, Diupa. Polatasz sobie trochę. Co my tu mamy dla ciebie dobrego? Tak... Wiktor znów kupił ci najdroższe owoce. Granaty? W zimie? Co za chłopak. A udaje, że się wcale nie przejął. Moja krew.

*

- Wykluczone. No coś ty! - Damroka zareagowała od razu. - Zresztą, wiesz, od czasu kiedy ci powiedziałam, jakoś mi lżej. Już się tak nie przejmuję.

- Nie chcesz ze mną mieszkać?! - jęknął rozczarowany Wiktor.

- Chcę. Chcę, ale nie teraz. Teraz mam inną bardzo ważną sprawę. Dziś Biljana przeczytała w gazecie ogłoszenie: „Z powodu wyjazdu oddam w dobre ręce papugę, arę olbrzymią”. Rozumiesz? „Oddam papugę”. Papugę dla Diupy.

- Ale jaką papugę, co ty wymyśliłaś? - Wiktor był jeszcze trochę rozżalony, że Damroka nie popiera jego romantycznej wizji wspólnego zamieszkania. Teraz, kiedy okazało się, że żadna Wenezuela im nie grozi, mógł jednak poczekać ze wspólnym mieszkaniem.

- Nie pięt rz trudnośc. Mam tu adres i jedziemy. Zobaczymy, może to samiczka.

- Przecież nie wiadomo, jakiej płci jest Diupa. A w ogóle, to rodzice w życiu nie zgodzą się na drugą papugę. Nigdy!

Pomysł wspólnego zamieszkania jakoś odplynał w niebyt. Za to pomysł wzięcia papugi „w dobre ręce” nabrał zwykłych rumieńców.

*

- Wiecie, jak mnie ta sprawa boli? Muszę, niestety, poświęcić dzisiejszą biologię na sprawy wychowawcze. Rozumiecie to, prawda? - Wacia wróciła po trzytygodniowej nieobecności spowodowanej zapaleniem oskrzeli i od razu zaczęła nadrabiać zaległości w wychowaniu swojej klasy.

Oczywiście, że rozumieci. Najzupełniej zgadzali się z wychowawczynią, że zamiast uczyć się biologii, pogadają sobie o sprawach wychowawczych. Zdecydowanie jej to darują.

- Muszę poruszyć sprawę kroniki. Na pewno już wiecie, co się stało. Taka piękna pamiątka. Musimy wszyscy razem zastanowić się, co teraz zrobić. Tym bardziej, że mieliśmy przecież posłać ją na Ogólnopolski Konkurs Kronik. A poza tym, miałam dużo czasu na przemyślenia i postanowiłam zmusić was do współpracy. Jeśli winowajca się nie zgłosi, ocenę ze sprawowania obniżę wszystkim.

Wika wyłamywała sobie palce i nie śmiała spojrzeć na Darię, która z miną niewiniątka wbiła wzrok w wychowawczynię i nawet na Wikę nie spojrzała.

- Pani profesor! - Wika podniosła rękę do góry.

- Za chwilę, Wiktorio. A zresztą, proszę, co masz do powiedzenia?

- Ja... ja długo nad tym myślałam. To znaczy... - starała się nie patrzeć na bezczelnie uśmiechającą się do niej Darię. - Pani musi wiedzieć, że... że...

- Że co, dziecko? Spokojnie, co się stało?

- Że to ja.

- Nie rozumiem.

- To ja zrobiłam.

- Co?

- Tę kronikę - Daria zacisnęła kciuki i pokazała przyjaciółce gest uznania. Bezgłośnie zaś powiedziała: „Ka-thar-sis”.

- Jaką znowu kronikę?

- To ja ją zniszczyłam.

- Wiem, dziecko, że bardzo ci zależy na ocenach - Wacia poprawiła swoje za luźne poprawki. - Wiem i widzimy to wszyscy, że ten ostatni semestr kosztował cię dużo pracy. Masz się czym szczycić, masz. Jesteś wzorem dla wielu osób. Prawda, Zawisłak, że jak się chce, to można? Można. Nie musisz tego robić, dziecko. Dziękuję ci, że chciałaś ratować moją wiarę w człowieka, ale wybacz... aha! Rozumiem, uknuliście to, tak? Wydelegowaliście Rybacką, żeby się przyznała, co? I ja mam uwierzyć, że taka mądra dziewczyna wrywa kartki z kroniki, którą kiedyś sama prowadziła? - Daria mało ze śmiechu nie spadła pod ławkę. - Żeby to Zawisłak, to... to wtedy może byście mnie przekonali. Ale Rybacka? No, przesadziliście. Rybacka, dałaś się podpuścić. Taka mądra dziewczyna. A ciebie, Łysakowska, co tak cały czas śmiesz, co?

*

- I co z katharsis? - Wika bez oporów pocieszała się drugą z rzędu kremówką.
- Nie sądziłam, że nasza Wacia ma taką klasę. Nie uwierzyła ci. Równa kobieta.
- To cię wyraźnie bawi, co?
- Po co wyrywałaś tę stronę, sieroto? Gadaj mi i to już, bo patrzeć nie mogę, jak cię wyrzuty sumienia zżerają od środka. Już!
- Nie mogę. Jak sobie o tym pomyślę... No, dobrze, dobrze, jeśli kiedyś zostaniesz psychiatrą, to będziesz miała willę i jacht, i urlop w tropikach. Robisz z ludźmi, co chcesz.
- Wika z nosem umazanym kremówką nosem zaczęła:
- Ja chciałam mieć...
- Głośniej. Nic nie słychać. Komu to opowiadasz? Mnie czy szklance z herbatą?
- Że też musiałam się z tobą zaprzyjaźnić!
- Powtarzasz się. Dobra, zacznę sama. Chciałaś mieć czyjeś zdjęcie. Czyje? Czemu robisz takie oczy? Wojtka, prawda? Ty idiotko! Stracić takiego fajnego chłopaka jak Daniel i to przez co? Przez jakieś fantasmagorie, jakieś smarkaterie. Wiesz, jak to się nazywa w psychiatrii?
- To ja miałam się zwierzać.
- Z ciebie coś wydusić.... Więc podsumujmy, czy dobrze rozumię. Odpaliłaś Daniela, bo myślałaś, że tamten będzie lepszy. Do opieki lepszy. Klasyczny syndrom pielęgniarce. W tym celu, żeby zdobyć namacalny desygnat swojej miłości, z braku realnego obiektu, uszkodziłaś dobro szkoły. Ładnie przynajmniej wyszedł?
- Średnio. Znęcasz się nade mną, wiesz? To ci sprawia przyjemność?!
- Ogromną. Nieziemską wręcz. Pewnie, że tak. To dopiero początek. Jak chcesz się zrehabilitować? Kronika, Daniel... Sporo masz do zrobienia.
- Daniel dla mnie nie istnieje.
- Tak? Akurat! - zaniżyła poziom dyskusji przyszła pani psychiatra.
- Trudno, już przepadło.
- To bardzo fajny chłopak - Daria zaczęła dziobać spód sernika i spuściła oczy.
- Kto?
- Danielek. Zwierzę łowne. Ładny chłopiec i niegłupi...
- A skąd wiesz?
- Bo się z nim umówiłam. Na randkę, żeby nie było wątpliwości.
- Jak mogłaś?!
- O, bez najmniejszych problemów. Chciałam mu wyjaśnić, że wszystkim dziewczynom zdarza się czasem zamroczenie umysłowe... Czemu mnie popychasz?
- I co? Jak było? On jest...
- Nie wiem. Nie umówił się.
- Nie?!
- Nie. Co cię tak cieszysz? Wymigał się, powiedział, że gardło go boli. Widziałam go potem tego dnia, jak hasał po boisku.
- Czyli się nie chciał umówić.
- Może ma już inną. Musisz się z tym liczyć.
- Ty to umiesz człowieka pocieszyć.
- Dobrze. Problem Daniela na razie zostawmy. Teraz myśl, co z kroniką. Ja idę pisać do Grzesia. Kupiłam taką kartkę, wiesz, dużo mówiącą, ale neutralną...

*

„Twój były chłopak, którego rzuciłaś z tobie samej bliżej nieznanymi powodami, nie chciał umówić się na randkę z twoją przyjaciółką. Dlaczego?”

...może ona mu się nie podoba?

...może brzydzi się wszystkim, co mu się z tobą kojarzy? ...może naprawdę bolało go gardło, a w nogę grał ktoś tylko łudząco podobny?

I dlaczego nie przeniósł się do innej grupy na angielskim? Czesze się na jeża. Kupił sobie nowy plecak. Przynosi kanapki w folii aluminiowej, a zawsze przynosił w papierze. Co to oznacza? Może jeszcze pamięta? Wspomina?

Nie, to raczej wątpliwe, ale może?

Można zwariować!”

*

Jeśli Wika miała nadzieję, że taki chłopak jak Daniel wiernie na nią czeka i marzy po całych dniach, żeby tylko wróciła, to w czwartek spotkało ją grube rozczarowanie. Daniel przyszedł na angielski z Karoliną Dul. Siedział z Karoliną Dul. I wyszedł z Karoliną Dul. On chodził z Karoliną Dul! A więc wtedy w parku to nie był tylko przypadek.

Pretensję można było mieć tylko do siebie. I Wika bez wątpienia ją miała.

Samotnie wróciła do domu i nadziała się na Wojtka, który w kapciach taty pokazywał mamie, jak robić śródtytuły w tekście i delikatnie sugerował, że nie wolno jeść herbatników nad klawiszami. Został poczęstowany kolacją, czyli nóżkami w galarecie, których najwyraźniej nie znosił, bo od razu wziął trzy gigantyczne pajdy chleba, żeby nie podpaść ojcu. Potem mama bezlitośnie przemaglowała go z uzgadniania chemicznych reakcji redoks.

Wikę nieco zdziwiło, że on wie, co przerabiają w szkole, ale z powodu własnych problemów nie zastanawiała się nad tym dłużej.

- Wychodzicie? - zagadnęła brata i Wojtka, którzy z hałasem zakładali w przedpokoju buty. - Pójdę z wami i zajrzę jeszcze do pana Henryka. Muszę od niego zabrać książkę.

Wika chętnie opowiedziała Wojtkowi o panu Henryku. Co tu dużo mówić - lubiła obserwować zdziwienie na twarzach wszystkich, dla których niewidomy to zahukany staruszek, nieporadny, wylękniony i z białą laseczką koło psa wilczura. Chłopcy podprowadzili ją pod blok pana Maciejewskiego i poszli swoją drogą.

Gdy tylko Wika zniknęła im z horyzontu, Wiktor od razu przeszedł do rzeczy:

- Wiesz, wtedy gdy byłeś u nas pierwszy raz, to byłeś...

- Wiem. Miałem ostrą fazę negacji. Przeszło.

- Na szczęście.

- Wiem. Ja też chcę ci coś powiedzieć.

- Słuchasz?

- Tak - Wiktor siłą zmusił się, żeby oderwać swoje myśli od Damroki jedzącej naleśniki w knajpce na Nowym Świecie.

- Męczy mnie coś.

- Co?

- Głupio mi o tym gadać.

- Spróbuj.

- Ty masz siostrę. Znasz się na tym. Czy jak się ma chłopaka...

Wiktor od razu się rozpromienił, czując, że chodzi właśnie o Wikę. W końcu co z tego, że siostra podsłuchuje wszystkie jego rozmowy, że dwa lata temu na ostrosłupie, nad którym tak się namęczył, napisała „love Patrycja” i musiał go robić w nocy jeszcze raz, że wydzwania do niego i udaje jakieś dziewczyny. Nie życzył jej w końcu źle.

- To co?

- Jak na przykład dziewczyna ma chłopaka, to ona by wtedy nie przyszła do innego chłopaka, żeby tamtego chłopaka nie urazić, tak?

- Chyba tak.

- Czyli jak? Taki teoretyczny przypadek: jest chory człowiek i wszyscy z klasy go odwiedzają, a jedna osoba nie, to to znaczy, że ona ma kogoś, prawda? I nie może do niego przyjść, prawda?

- Stary, to może znaczyć wszystko - Wiktor nie chciał za szybko mówić, że jego siostra jest wolna. Lubił stopniować napięcie. - Ona może do ciebie nie przychodzić, bo jej po prostu głupio. Może też chcieć specjalnie cię podrażnić. Może coś do ciebie czuje i się wstydzi albo zwyczajnie nie chce się narzucać. Może nie ma czasu, bo mama zapisała ją na balet pięćset razy w tygodniu, może ma szlaban na wychodzenie, bo coś przeskrobała. Może jest chora. A dopiero ostatnim powodem może być to, że ona już kogoś ma.

- Powiedz mi prawdę, jak czekista czekaliście: jak ja wyglądam?

Wiktor przez sekundę rozważał, czy powiedzieć mu prawdę.

- Kiepsko.

- Wiedziałem. Najgorzej z tym uchem, takie strzępy... Mama mi mówi, że tego się w ogóle nie zauważa i stąd wiem, że jest gorzej niż źle. A ja myślę o babach, idiota ze mnie!

- Słuchaj, stary. W pierwszym momencie nie jest najlepiej. Nie wiesz, co ze sobą zrobić. Wstyd ci, że żyjesz, ale jak się z tobą pogada, to ta blizna jakoś znika.

- Znika, mówisz?

- Znika. Wiesz co? Przetestujemy na mojej dziewczynie. Ona ci powie prawdę.

- Czy ja jestem jakimś zwierzakiem w ZOO? - Wojtek przez chwilę milczał. - No tak, w pewnym sensie jestem. Zgoda. Zaaranżuj coś i... dzięki, stary.

- Zobaczysz, ona jest... zobaczysz.

- Żebym się tylko nie zakochał.

- Nawet jeśli, to i tak bez wzajemności.

- Taki pewny jesteś?

- A wiesz, że tak - Wiktor poprawił sobie czapkę z rogami łosia.

*

Damroka spisała się celująco.

Wcale nie udawała, że nie widzi blizny. Wręcz przeciwnie - obejrzała ją w milczeniu i od razu zaczęła opowiadać o Biljanie, która wczoraj nauczyła się jeździć na łyżwach pod Pałacem Kultury. Bez zażenowania zaczęła też przerzucać jakieś szpargały na biurku Wojtka.

- A tu to masz źle. Sinus trzydziestu to jedna druga. To co, chodzisz do szkoły?

- Nie, ale ciągle ktoś z klasy wpada.

- Ja uwielbiam być chora. Biljana spędza u mnie wtedy całe dni. A teraz jeszcze... ktoś.

- Tak. Bycie chorym ma dużo dobrych stron - potwierdził Wojtek. Kiedy wychodzili, nasytzeni kapuśniakiem na prawdziwych żeberkach, Damroka spoważniała i wygłosiła diagnozę:

- Ty jesteś w porządku, Wika ma poukładane pod sufitem, więc nie masz się czym przejmować.

Wyszli objęci, szeleszcząc kurtkami i już na półpiętrze zaczęli ustalać, co zrobić, żeby pomóc tej dwójce dogadać się w wiadomej sprawie.

A Wojtek zaczął się zastanawiać, co do tego wszystkiego ma Wika?

*

Krystyna i Piotr Sobczakowie stali przed sklepem zoologicznym na Nowym Świecie. Przyglądali się martwym motylom na wystawie.

- Jesteś pewna, że się ucieszą?

- Jestem. Oni na pewno też o tym myślą, tylko powstrzymuje ich brak gotówki. Mają teraz mnóstwo wydatków na nowe mieszkanie. A wiesz, co robią ptaki pozbawione towarzystwa? Wrywają sobie pióra! Autodestrukcja z samotności, rozumiesz?

- No, sam nie wiem. Rodzice zawsze mi powtarzali, że nie wolno nikomu dawać zwierząt w prezencie, bo to nigdy nie kończy się dobrze. Mam złe przeczucia.

Złe przeczucia wujka zostały jednak zignorowane i wujostwo odbyli ze sprzedawcą bardzo długą i obiecującą pogawędkę o tym, jaka jest procedura kupowania papugi.

A procedura jest bardzo prosta. Płacisz ładnych parę tysięcy złotych i za dwa tygodnie masz papugę.

I oczywiście już nie masz wyjścia.

*

Daria z Wiką w łazience na drugim piętrze szkoły smarowały usta błyszcznikiem i omawiały powrót Wojtka. „No, coś takiego! A mówił, że nie wróci do szkoły. Co mu się stało?” Wika słuchała jednym uchem. Cały czas miała przed oczami twarz Zośki. „Ale to śliczna dziewczyna. Zdecydowanie najładniejsza w klasie. Gdyby tak dopadł ją trądzik, to ciekawe, jak by wtedy... Nie, nie. Dość”. Czym prędzej przywołała obraz ślicznej Zofii i zaraz wyobraziła sobie dorosłego już Wojtka w gigantycznym mercedesie z żoną i grzecznymi, czystymi dziećmi. Ile razy można popełniać ten sam błąd?

W końcu Wika z błyszczącymi ustami zeszła do szatni, a Daria (również z błyszczącymi) wstąpiła jeszcze do biblioteki wypożyczyć *Diabła kulawego* Lesage'a.

- Przepraszam, pani profesor. Można przejść? - Wika zamierzała minąć wychowawczynię.

- Nie - stała twardo w wąskim przejściu między okratowanymi boksami szatni i jak dyktator zagradzała sobą wąskie przejście.

- Ale ja chciałabym wziąć kurtkę.

- Nie teraz.

- Pani profesor, ja muszę wrócić do domu.

- A co tobie, Rybacka, nagle tak się śpieszy, co?

- No jak to? Jutro zaliczam biologię na piątkę - Wika była pewna, że cały świat żyje tym, co ona, a tu takie rozczarowanie.

- A prawda... i co? Przygotowana jesteś porządnie?

Wika miała ułamek sekundy, żeby rozważyć, czy lepiej udać, że jest solidna i już wszystko umie, czy też zgodnie z prawdą przyznać, że właśnie dziś zamierza doszlifować wiedzę.

- Ja właściwie... to...

Wychowawczyni nerwowo obejrzała się za siebie.

- Rybacka, w życiu szkoda czasu na... na... na przygotowania. Możesz zaliczać teraz. Chcesz? Korzystaj, póki mam dobry humor.

- Raczej nie, wolałabym jednak jutro - że też musiała trafić na Waciu akurat teraz!

- No, Rybacka, do odważnych świat należy! Łysakowska, proszę tu do nas, żeby potem nie było gadania, że na osobności pytałam. Będziesz świadkiem - Daria, nieco zdezorientowana, podeszła do obu pań.

W ten sposób ostatecznie zatarasowały wejście do szatni.

- Ale o co chodzi, pani profesor? - Daria nerwowo spojrzała na zegarek.

- Rybacka chce zaliczać biologię. Uprosiła mnie. Proszę... Rybacka, wymień trzy przykłady dymorfizmu u zwierząt.

- Może być u człowieka?

- Może.

- To człowiek, ptaki, ale nie papugi. Szczególnie nie ary, bo u nich płeć można rozpoznać jedynie robiąc badanie krwi. I na przykład kury.

- Wikaryzm geograficzny. Przykład - znów zerknięcie za siebie.

- Ale ja miałam z budowy kręgowców.

- Rybacka, tylko mi nie mów, że nie wiesz, co to jest wikaryzm geograficzny. Słucham cię - kolejne zerknięcie.

- Typowym przykładem jest kangur na kontynencie australijskim...

- Kangur, mówisz - zerknięcie. - To co kangur?

- No, przykład wikaryzmu.

- A tak, tak. Bardzo dobrze. Przestań, Łysakowska, tak patrzeć na zegarek. Myślisz, że mnie się nie śpieszy?

- Pani profesor, ja muszę...

- Chwileczkę - wychowawczynie najwyraźniej nie miała zamiaru ruszyć się z miejsca. - Zjawisko mimikry. Omów na wybranym przykładzie.

- Mimikra. Typowe zjawisko u węży, które z ubarwienia przypominają osobniki jadowite, chociaż nie...

Wychowawczynie tym razem na dłużej obejrzała się za siebie. Wika wspięła się na palce i ponad ramieniem nauczycielki zobaczyła Zofiję. Stała tuż pod oknem, w romantycznej pozie, oparta plecami o własną szafkę. Naprzeciw niej, zdecydowanie za blisko jej twarzy, stał pochylony Wojtek. I w najlepsze bawił się jej blond kucykiem. Ciekawe, co jej mówił, bo Zośka miała na policzkach równomierny, różowawy rumieniec.

*

Mama odłożyła czerwony cienkopis, którym sprawdzała klasówki, przeciągnęła się, włączyła komputer i spojrzała na córkę.

- Kochanie, dzwonił wujek. Jakiś pacjent dał mu cztery zaproszenia na wystawę psów. Sam podobno jest hodowcą alaskanów. Nie posiedziałyś z dziećmi? Może poszlibyśmy też do kina? Co ty na to?

- Oczywiście. Możecie iść. A kiedy?

- W sobotę - mama niepewnie spojrzała na córkę.

- Doskonale. Zostanę, nie ma problemu.

Mama już nic nie powiedziała, ale gdy tylko wrócił Waldek, zaraz mu powtórzyła, że ich córka bez kłótni zajmie się kuzynami w sobotnie popołudnie. W sobotnie popołudnie!

Maciek usnął jeszcze przed dobranocką, a Krzysio, zaopatrzony w stos komiksów o Asteriksie, zaległ w piżamie we własnym łóżku. Wika przez chwilę przeglądała kolorowe ilustracje i uznała, że to naprawdę fajna rzecz, taki komiks.

Zamierzała poświęcić wieczór na kronikę. Przezornie wzięła ze sobą całe pudło przyborów papierniczych, zdjęcia, stare bilety, ściągawki, losy na mikołajki i wszystko, co pozostawi jej koledzy w ciągu ostatnich dni. Jeśli już ma przepisywać całą kronikę, to zrobi to po swojemu. Miała masę zdjęć. Wycinała je, zginała i dorysowywała rozmaite detale bez najmniejszych skrupułów. Ze zdjęcia Wojtka wycięła całą twarz i dorysowała postać gigantycznego małpizona otoczonego wianuszkami tańczących wkoło niego zachwyconych nimf z twarzami dziewczyn z klasy. Jedna nawet z twarzą wychowawczynie. To była najfajniejsza strona.

Kiedy koło północy wrócili rodzice i wujostwo, nie mogła uwierzyć, że tak szybko minął jej czas.

Kronika wciągała ją coraz bardziej. Dość powiedzieć, że po powrocie do domu, wykąpana, zrobiła jeszcze cztery strony i dopiero około piątej nad ranem padła ze zmęczenia.

Rozdział 8

Pod szkołą Damroki jakaś dziewczyna, stojąc na krawężniku, kołysała się na obcasach. Wydawała się Wiktorowi znajoma. Cały czas na nią zerkał. „Skąd ja ją znam?”

Wreszcie, razem z kilkoma koleżankami, wysypała się ze szkoły Damroka. Dziewczyna od razu do niej podeszła. Wiktor uświadomił sobie, skąd ją zna. Z opowiadań - to oczywiste.

- Cześć! Jesteś Biljana, prawda?

- Tak. Skąd wiesz?

- Jestem Wiktor - podali sobie ręce i energicznie nimi potrząsnęli.

- Wiktor? Fenomenalny naprawiacz żuków! Też wiem o tobie немало.

- A jak tam sprzeczka z kontrolerem w autobusie?

- O tym też wiesz?

Oboje głośno się roześmiali i jeszcze raz podali sobie ręce. Potem Wiktor został zaprezentowany wszystkim zgromadzonym koleżankom, ale był tak zdezorientowany, że nie mógł zapamiętać ani jednego imienia. Wprawdzie nowo poznawane dziewczyny nie tremowały go już tak jak dawniej, ale wciąż, nie wiedząc czemu, wprawiały go w lekkie zakłopotanie. Rozmawiali o niczym, kiedy nagle zza zakrętu wyszedł Radosław Czerdesz. Zatoczył się i całym ciałem oparł o zaparkowany nieopodal samochód, w którym natychmiast zaczął wyc alarm.

- *Silenzio!* - powiedział do samochodu Czerdesz i podeszedł do młodzieży.

Gdyby nie jedna z dziewczyn, z pewnością runąłby jak długi. Musiał się już dziś przewrócić, bo spodnie i elegancki płaszcz miał umazane błotem.

- Proszę, proszę, kwiat płci pięknej! - chciał być zapewne dowcipny. - Dlaczego nie jestem dwadzieścia lat młodszy?! Ten to się umie urządzać! - Czerdesz spojrzał na Wiktora, ale chyba go nie rozpoznał. - Najśłodszy miód dla siebie... co, kolego?

Wszyscy milczeli. Damroka zamknęła oczy, co pozwoliło jej nie zauważyć ojca, usiłującego objąć w pasie jedną z jej szkolnych koleżanek.

- *Jeunesse, jeunesse! Beau visage, beau coeur.* Nie przedstawisz mnie, córeczko?

Ojciec Damroki udawał jeszcze przez kilka chwil młodzieniaszka, co jakiś czas usiłując poklepać lub przytulić którąś z dziewczyn. Damroka nie mogła go odciągnąć. Ojciec wyraźnie się rozochocił i bez ładu i składu przerzucał im nad głowami jakieś dziwne słowa w różnych językach. Wiktor miał dziś poznać Biljanę, dlatego się tu znalazł. Teraz chciał już tylko, żeby Damroka nie była tak przeraźliwie blada, żeby to już minęło. Żeby się wreszcie skończyło.

Damroce udało się oderwać ojca od koleżanek; w samą porę, bo zaczynał im już składać dwuznaczne propozycje. Oczywiście chciał wracać do domu samochodem, dlaczego nie?! Był przecież tylko po jednym drinku - jak ich zapewniał. „Ten drink, jeśli był jeden, musiał mieć pojemność akwarium mojego ojca” - Wiktor miał ochotę złapać faceta za szyję i dusić tak długo, aż ten w charkocie i rzęzeniu pożegnałby się z życiem.

W końcu pan Czerdesz pozwolił się wsadzić do taksówki i odwieźć do domu. Tam od razu zrobił sobie jednego drinka i w ubraniu usnął na kanapie. Miało minąć kilka lat, zanim atak wątroby zmusił go do terapii.

Kiedy zostali sami, Wiktor bez słowa przytulił Damrokę. Ponad jej plecami zobaczył zerwane z karniszy zasłony i potłuczonego porcelanowego pingwina (bez głowy i jednego skrzydła).

- Jak one musiały mnie obgadać! Przez ostatni miesiąc było dobrze, a teraz znowu jest w ciągu. Sam widzisz... Jak, no jak ja mogę go kochać? Nie mogę! On mi na to nie pozwala!

- Biljana zrozumie... Nic takiego się nie stało. Na pewno cię nie obgadały, Roczku. Jestem pewien.

Wiktor miał rację. Kiedy odeszli, dziewczyny od razu się pożegnały i poszły każda w swoją stronę. Wiedziały doskonale, co to znaczy wstydzić się za swoich rodziców. Tak bardzo się wstydzić, że aż chce się zniknąć. Gorzej wstydzić się można już tylko za samego siebie.

*

Ciocia Krysią założyła Maćkowi nowe spodenki w brązowe koniki i, opatuliwszy szczerze, umieściła w wózku. Wybierała się do szkoły, aby zasięgnąć porady fachowców w sprawie, która ją ostatnio niezmiernie zaskoczyła. Kiedy na zebraniu wychowawczyń przedstawiła rodzicom listę uczniów, którzy, według szkolnych kucharek, najchętniej jedzą obiady i gdy na pierwszym miejscu wymieniła Krzysia, Krystyna Sobczak postanowiła niezwłocznie skontaktować się z kucharkami. Chciała wydobyć od nich kilka przepisów i dyskretnie wypytać, co też one dokładają do tych obiadów, że nawet Krzysio je je.

Wzięła Maćka na ręce, wózek zostawiła pod czujną opieką woźnych i poszła do stołówki, prowadzona zapachem żurku na białej kiełbasie.

Dzieciaki siedziały przy długich stołach i ze smakiem zjadały żurek, zagryzając razowcem. Między dziećmi zobaczyła okrągłą buzię Marzenki. Dziewczynka kiwnęła jej grzecznie na powitanie i obdarzyła pełnym ciepła uśmiechem, w którym dominował brak górnej dwójki.

- Ja chciałam paniom bardzo podziękować i spytać... Jestem Krystyna Sobczak, mama Krzysia Sobczaka.

- Ależ proszę pani! To przyjemność karmić takie dziecko. Jak on pięknie nam wszystko zjada! Lubi wszystko. Naprawdę - dodała puszysta kucharka, widząc zdumione oczy ciotki. - Proszę zobaczyć - wskazała brodą w kierunku stolików.

- To już dzisiaj jadł?

- No, je teraz. Pani widzi jak zjada? On tak zawsze. To nasz ulubiony uczeń. Aż miło popatrzeć. Nawet jajko w sosie chrzanowym zjada i prosi o dokładkę. Pani to ma z nim dobrze w domu, bo wie pani, najgorsze te niejadki...

- Kto zjada? - wróciła do tematu ciocia.

- Krzysio.

- Jaki Krzysio? Mój Krzysio? Krzysio Sobczak?

- Tak! Krzysieńku, podejdź tu do nas, chodź - zachęcała z pogodnym uśmiechem kucharka, wyraźnie kiwając na Marzenkę.

Do ciocia z wolna zaczynała docierać prawda.

- Dzień dobry - grzecznie i bez lęku przywitała się Marzenka, ocierając liczne ślady majeranku na okrągłych, najedzonych policzkach.

- Dzień dobry - odkloniła się mama. - Smaczna zupka?

- O, bardzo. Pycha!

- Mówiłam, że on je najlepiej ze wszystkich dzieci - z dumą wypięła pierś kucharka.

- Tak, rzeczywiście.

Ciotka z pośpiechem wyszła ze stołówki. Miała zamiar dopiero w domu zająć się całą sprawą.

Zamiast z miejsca zrobić dziecku awanturę i przytoczyć miażdżące fakty w postaci: „Ile nas kosztowały obiady dla Marzenki”, postanowiła naradzić się z mężem.

- To twoja wina - postawił diagnozę wuj. - Ja bym też nie dał rady tyle zjadać.

- Ale dlaczego własne dziecko nas okłamuje? - chlipała w chusteczkę ciocia, kolebiąc śpiącego na jej kolanach niemowlaka.

- Tak, to inna sprawa. To będziemy wyjaśniać.

200Kiedy o normalnej godzinie zasiedli do kolacji (fasolka po bretońsku), wuj zapytał syna jak co dzień:

- Jak w szkole?

- Normalka. Zalegalizowano wagary.

- Co było na obiad? - nie wytrzymała ciotka.

- Żurek.

- Smaczny?

- Bardzo smaczny. Były nawet dokładki.
- Skąd wiesz? Przecież nie jadłeś? - sprowokował syna wuj Piotr.
- Ale Marzenka mi mówi... - Krzysio zatkał sobie usta ręką, ale nawet on rozumiał, że wypowiedzianego nie da się z powrotem wsadzić do buzi.
- Czy zjadłeś kiedyś obiad w szkole?
- Tak. Raz. Na samym początku - bez poczucia winy przyznał się Krzysio.
- Dlaczego ich nie jesz?
- Nie smakują mi i są za duże. Nikt już nawet nie chce brać ode mnie kanapek, a co dopiero te obiady. Nie daję rady.
- Sam przecież chciałeś - zdenerwowała się mama.
- Ja nie jestem ego..., ego... czymś, żeby myśleć tylko o sobie. Takiego syna byście chcieli mieć?
- Krzysiu, nie wstyd ci, że okłamujesz nas od tak dawna?
- Ja? - szczerze oburzyło się dziecko. - Ja okłamuję? Tato, ty wiesz, że ja się brzydzę kłamstwem! Przecież wy zawsze mnie tylko pytacie, co było na obiad i możecie sprawdzić, czy ja kiedyś skłamałem. Zawsze mówię prawdę.

Rodzice popatrzyli na siebie bezradnie, po czym przystąpili do omówienia z siedmiolatkiem śliskiego tematu mówienia półprawd.

Ogólnie dziecko przyznało im rację. Na jedno tylko Krzysio się nie zgodził: nie powie Marzence, że koniec z obiadami. Ona tak je lubi!

*

Kiedy człowiek tonie po uszy w kłopotach, to może być pewien, że na pewno przyplączą się nowe. Ma to jak w banku. Właśnie dziś rano uradowana Wacia oznajmiła klasie, że ich kronika zajęła pierwsze miejsce w Ogólnopolskim Konkursie Kronik. Pierwsze miejsce! Hura! I zamiast obiecanego katharsis Wika musiała dać się wyściskać całej klasie, bo w nagrodę wszyscy jadą na wycieczkę do Trójmiasta. Na cztery dni! A wiadomo, że to jej zasługa. Tylko jej!

- Życie jest podłe. Za swoje grzechy otrzymałam nagrodę. I co z katharsis? - rzuciła się z pretensjami na przyjaciółkę.

- Moim zdaniem... zresztą powiem to inaczej: niniejszym ostatecznie odkupiłaś winy. Koniec. No, czego becysz? Wszystko się przecież ułożyło.

- Co się ułożyło? Nic się nie ułożyło. Nic, rozumiesz?! Co mnie obchodzi jakaś idiotyczna kronika? Nic się nie ułożyło. I się nie ułoży... nigdy.

Wika podjęła już ostateczną decyzję: przenosi się z angielskiego. Nie jest masochistką, żeby tak się męczyć. Zostanie jedynie do końca semestru i zrobi to tylko dla mamy. Tylko dla niej. Dziś przyszła na kurs przedostatni raz.

Angielski zdecydowanie należało zmienić i to bez czekania do końca semestru. Zupełnie nie podobało się Wice, że Daniel widzi, jak Tomek (najlepszy ze słówek - trzy lata w Stanach na placówce) po chamsku się do niej zaleca. Na początku robił to nawet z pewnym wdziękiem. Teraz umizgi były już tylko bezczelne. Chyba zaczynało do niego docierać, że Wika jednak nie jest nim zainteresowana i na siłę próbował udawać, że jemu kompletnie, ale to kompletnie nie zależy.

Lektorka, jak zawsze, zrobiła kilka minut przerwy. Wszyscy wysypali się na korytarz, pokrępiając się różną żywnością i karotką z dodatkiem brzoskwini.

- Taka samotna? A tu ciemno. Może przyda się jakieś męskie ramię?! - korytarz był oświetlony szpalerem jaskrawych żarówek.

- Nie, dzięki. Mam niedaleko - Wika myślała, że chodzi o odprowadzenie.

- Nie bądź taka niedotykalska. Dziś dziewczyny są strasznie rozpuszczone. Co to, odprowadzić nie można?

Wyczucie delikatności, niestety, nie ma nic wspólnego z dobrą znajomością słówek z angielskiego. Wika nigdy by nie przypuszczała, że może z niego wyleźć takie chamidło.

- Nie. Odczep się człowieku.

- Co tak ostro? Podciągnij się w akcencie, panno Oxford - rozejrzał się, czy na pewno wszyscy słyszeli. - Takie jak ty... mogą mi buty czyścić.

Kilka osób było świadkami tej sceny. Wika miała ochotę po prostu odebrać kurtkę z szatni i pognać do domu. I nigdy więcej tu nie wrócić.

Stała jednak jak wielowiekowa skamienielina i udawała, że to nie o niej, bo co miała zrobić.

- Lubię, gdy się przekomarzają - zwierzył się bardzo głośno ohydny tonem doświadczonego podrywacza. - Takie z pazurkami trudniej okiełznać.

Nikt nie reagował. Nie dlatego, że grupa była zszokowana, ale dlatego, że nikt nie chciał być następnym.

Daniel stał, jakby nie wiedząc, że to do niego. W końcu nie wytrzymał:

- Do mnie mówisz? - zapytał z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Tak. O tej - ostentacyjnie pokazał na stojącą obok niego Wikę. - Ty chyba ją miałeś - zarżał oblesnie.

Wika poczerwieniała. Nigdy nie musiała na szkolnym apelu stanąć nago przed wszystkimi swoimi kolegami z klasy i ze szkoły. Gdyby kiedykolwiek musiała, to towarzyszący temu wstyd byłby może porównywalny z tym teraz. Może.

- Chłopie, opanuj się - syknął Daniel.

- A co ty się tak przejmujesz? Baby to szma...

Daniel zaciśniętą w pięść dłońią wymierzył mu cios godny zawodowca. Prosto w policzek. Jednak Tomek zdążył się uchylić. Cios otrzymała Wika.

*

Klatki schodowe to miejsca magiczne. Z cierpliwością mnichów z Tybetu wysłuchały tysiące wyznań, pierwszych i ostatnich „kocham cię”, a ile naoglądały się pierwszych pocałunków, pocałunków na pożegnanie, na powitanie, na urodziny, na koniec i na początek!

Wiadomo - najważniejsze sprawy omawia się zawsze w zaciszu. A gdzie jest lepsze zacisze niż na klatce schodowej? Szczególnie mroczne, pachnące wieloletnią używalnością i ciemne z powodu braku żarówek, sprzyjają barwnym wybuchom uczuć młodzieży nałogowo cierpiącej na brak innych miejsc odosobnienia.

Wika i Daniel dysponowali obrzydliwie nową, pachnącą niedawnym solidnym czyszczeniem, klatką. Jasno oświetloną i zadbaną. Trudno. Mieli też trochę szczęścia, bo żarówka przed drzwiami Wiki zdecydowała się przepalić właśnie dwadzieścia minut temu i nie została dotychczas zdemaskowana przez nadgorliwą dozorczynię.

Zatrzymali się akurat tam, gdzie było najciemniej. Wika nawet podniosła, mniej więcej do połowy wysokości, rękę w szarej moherowej rękawiczce w kierunku dzwonka, ale zaraz ją opuściła.

- Tylko proszę cię, nie daj się sprowokować mojemu ojcu. Jemu nie wolno się denerwować. Pamiętaj, nie daj się sprowokować.

- Nie dam. Obiecuję.

Nadal stali. Oboje nerwowo podgryzali skórki przy wargach.

- Boli cię?

- Nawet nie. Kompletnie o tym zapomniałam. Może tutaj troszeczkę, ale tylko troszkę - Wika dotknęła czerwonej bani na swoim policzku, która przysłaniała jej całe oko.

- Czyli tu cię nie boli?

- Gdzie?

- No tu. O tu.

Daniel zabrał rękę, którą najdelikatniej jak mógł, dotykał przez chwilę dolnej wargi Wiki. Po czym zacisnął pięść i zdecydował się ostatecznie.

- Jak dobrze, że jesteś. Znowu.
- Tak mi głupio. Jestem skończoną idiotką.
- Nie obrażaj bliskiej mi osoby.
- Bliskiej ci...
- Tak. Bardzo bliskiej.
- Tyle czasu straciliśmy przeze mnie.
- A skąd! Ja nie straciłem ani sekundy. Dopiero teraz zrozumiałem... tego...
- Ja też...
- Tak? - Daniel rozpromienił się jak dziecko.
- Jak tu u ciebie ciepło - Wika przytuliła się do góralskiego swetra i prawie cała schowała się pod połami puchowej kurtki Daniela.
- A co z Karoliną Dul?
- Nic.
- Nic? Tak po prostu?
- No, może nie całkiem po prostu, bo, szczerze mówiąc, to chciałem cię zdenerwować, ciągnąc za sobą Daisy Diamond, ale, że była ode mnie wyższa, poprosiłem o pomoc Karolinę.
- Jak to? To ona w tym maczała palce?
- A sądzisz, że jestem takim podłym bydlakiem, żeby bałamucić biedną dziewczynę dla własnych celów?
- Niecnych celów.
- Wcale nie niecnych.
- To prawda, cele nie były nieczne. Ale mnie rozwścieczyłeś! Ta Karolina! Myślałam, że się załamiesz, będziesz rozpaczał po stracie... A ty zaraz z Karoliną.
- Rozwścieczyłem cię? To dobrze. Karolina jest bardzo fajna, ale cały czas opowiada wyłącznie o jakimś patencie na żeglarza. Dobrze, że mój wysiłek nie poszedł na marne. Ale nic nie dałaś po sobie poznać. Nic a nic.
- Udawałam twardą.
- Będę miał z tobą ciężko. Nasz Tomcio Przyjemniaczek może jednak miał rację - masz pazurki...
- Nie przypominaj mi o nim.
- A dlaczego? Sympatyczny gość. Nie dziwię mu się, że się wściekł, jak go odpałiłaś. I zobacz, jak się dobrze spisał. Znowu jesteśmy razem, i to dzięki niemu. Ja tam jestem mu wdzięczny. Mówię poważnie.
- Daniel, ty nikogo nie potrafisz nie lubić, prawda?
- Nie, dlaczego... jest kilka osób.
- Tak? To wymień dwie.
- No, to... zaraz... W podstawówce był taki Marcin Urbaniak... ale on potem okazał się w porządku. Czemu się śmiejesz? O matko! To zaczyna ciemnieć.
- Nic mi nie będzie. Nic mi się nie stanie. Przy tobie...
- Przy mnie... wiesz, jak patrzę na tę śliwkę, to nie wiem, czy ty do końca wiesz, co mówisz.
- Patrz na to i niech cię zżera poczucie winy. Jestem na ciebie nieziemsko wściekła. Za co? A za to, że na Sylwestra stchórzyłeś i mnie nie pocałowałeś. I teraz co? Przez ciebie będę musiała się pierwszy, najważniejszy raz w życiu, całować z obolałą szczęką.
- Pierwszy raz? To znaczy... że w tym czasie... że przez ten czas... nie...
- No pewnie, że nie!

- To może poczekamy, aż ci to trochę zejdzie, co? Dobrze, to nie poczekamy... Wika! Wikuś, ja zaraz zwariuję ze szczęścia... Albo ze wstydu, że ci to zrobiłem... Nie, jednak ze szczęścia. Masz rację, w domu mogą spokojnie na nas poczekać. Wika! Wika!

*

Diupa z isticie diabelskim wrzaskiem wspinała się po zasłonie w wielokolorowe liście. Potem zawisła jak nietoperz głową w dół i łypiąc okiem, sprawdzała, czy wszyscy widzą, jaka jest wysportowana.

Mama podała talerzyki do strucli i sama usiadła sztywno na krześle.

- O czym nam chciałaś powiedzieć, kochanie? - ojciec oderwał wzrok od karnisza, przy którym najwyraźniej obluzowała się śrubka. Będzie musiał później się tym zająć. Najlepiej jeszcze dziś.

- Mam dla was wiadomość, tylko może kiedy indziej - mama z wyraźnym zmieszaniem ogarnęła obecnych spłoszonym spojrzeniem.

- Ja już będę się żegnał - zaczął podnosić się z kanapy pan Henryk, jak zwykle wyłapując najlżejsze niuanse towarzyskie.

- Nie, nie, panie Henryku, bardzo proszę. Mamo, proszę, dołóż panu Henrykowi jeszcze ciasta. To ja już powiem. Za chwilę.

- Jak się powiedziało „a”, to... to... to wiesz co, prawda? - powiedział Wiktor niby do mamy, ale w rzeczywistości spojrzał na babcię zajadającą struclę, a ta dyskretnie do niego mrugnęła.

- Mam coś dla... ciebie, kochanie. To, o co prosiłeś.

Mama wstała, podeszła do gigantycznej szafy z przesuwanymi lustrzanymi drzwiami, w których każdy wyglądał nieco szczuplej niż normalnie. Wyjęła mocno wygniecioną kopertę z nadrukiem.

- Co to? Jakaś umowa? Z wydawnictwem... na wydanie... w terminie... Kochanie, napisałaś powieść?

- Tak - mama spuściła oczy niczym pensjonarka.

- O czym mamuś, o czym?

- O nas.

- O nas? - przymrużył oczy Wiktor, który nagle doznał olśnienia. - Czerwone rękawiczki Damroki. O to chodziło? O to - odpowiedział sam sobie.

- Ale jaki tytuł, Wandeczko? - niecierpliwiał się szwagier.

- Diupa.

- Jaki?

- Diupa. Diupa.

- Przecież ci nie wydadzą. Diupa! - zaśmiewała się ciotka. Mama nagle straciła zainteresowanie dla rodziny. Zauważyła coś bardzo interesującego na głowie Diupy.

- Rosną jej pióra! - wydarła się pisarka. - Hura!

Rodzina kolejno rzuciła się oglądać mikry zielony puszek na głowie Ary ararauny, ale ostatecznie jako autorytet wystąpił pan Henryk. Wzrok mógł w końcu zawieść rodzinę - ręce pana Henryka - nie.

Diupie naprawdę odrastały pióra.

Ciotka i wuj popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

Damroka nagle szturchnęła Wiktora łokciem, a potem, jak gdyby nigdy nic, zmieniła sobie dziurkę w pasku, bo miała zamiar zjeść jeszcze niejedną kawałek strucli.

*

W domu, niestety, był komplet. Babcia z panem Henrykiem zajmowali sporą część kanapy. Ciotka wyjadała morele z kompotu. Damroka z Wiktorem siedzieli na dywanie po turecku i jedli struclę ze śliwkami z jednego talerzyka. Jednym widelcem.

Wuj, z zarzuconym na ramię Maćkiem, chodził w tę i z powrotem. Rodzice z Diupą siedzieli przy stole. A w całym pokoju unosiła się aura czegoś niewyczuwalnego, ale ważnego.

I wtedy do pokoju weszła Wika.

- Co się stało? - spytał ojciec kamiennym głosem.

- O mój Boże, córeńko! - mamie łzy zakręciły się w oczach.

- Kto ci to zrobił? - ojciec podniósł się od stołu.

Przez chwilę zaległa kamienna cisza, w której bardzo wyraźnie było słychać jak Daniel przełyka ślinę.

- Szczerze mówiąc, to ja, proszę pana - mężnie się przyznał, a Wiktor parsknął struclą na dywan i zaczął gwałtownie kaszleć, myśląc o tym biednym Wojtku, któremu on tak koniecznie chciał pomóc.

*

Rodzice razem z wujostwem poszli na jakąś wystawę, zabierając ze sobą Krzysia oraz spory zapas kanapek dla niego.

Wika właśnie przewijała Maćka, głośno podśpiewując piosenkę Ordonki:

Miłość ci wszystko wybaczy,

Smutek zamieni ci w śmiech.

Miłość tak pięknie tłumaczy

Zdradę i kłamstwo i grzech.

Przez gaworzenie Maćka przebił się dzwonek telefonu.

- Zaraz, zaraz - mruknęła, zakręcając oliwkę. Rybaccy musieli wszystko dokładnie dokręcać, bo Diupa kochała odkręcać nakrętki, a potem łapą przewracać butelki i przyglądać się, jak wypływa ich zawartość.

Wika wzięła na ręce pachnącego oliwką Maćka i podniosła słuchawkę.

- Słucham?

- Cześć. Tu Wojtek. Nie przeszkadzam ci?

- Nie, ale nie ma Wiktora.

- Wiesz, ja do ciebie. Mam sprawę. Delikatną.

Wika na wszelki wypadek usiadła. Tknęło ją, że na pewno będzie musiała udzielać dobrych rad, jak postępować ze śliczną Zofiją, albo coś w tym rodzaju.

- Wika, przepraszam, że wracam do tego tematu, ale wiesz... ojciec mnie prosił, żebym ciebie spytał, gdzie... to znaczy, w jakiej książce były wtedy... wiesz, te listy. Może pamiętasz? Rodzice ich szukali od trzynastu lat.

- *Roosevelt a sprawa polska.*

- A pamiętasz, gdzie stała?

- Środkowy regał. Raczej wyżej.

- O mam, mam! Tato! - wydarł się Wojtek. - Są, są. To dzięki. Mama ci też dziękuje.

- Wiesz, nie ma za co. Naprawdę.

- Wika... dzięki. Ale się rodzice cieszą! Szkoda, że ich nie widzisz. To cześć.

- Cześć.

Wika popatrzyła na swojego kuzyna, który z rozdziawioną buzią obserwował karkołomne ptasie wyczyny na karniszu. On na pewno jeszcze nie raz się dowie, jakie życie może być nieobliczalne.

Nie zdziwiła się nawet, kiedy przyszła Karolina.

- Cześć. Na pewno nie ma nikogo?

- Na pewno, wchodź. Nawet gdyby ktoś był, to co? Ale nie ma, nie ma. Włącz. Zrobić ci herbaty?

- Tak, chętnie. Tylko poczekaj, umyję ręce.

- No chodź, chodź mój kochaniutki. Maluszek śliczny. Patrz, śmieje się do mnie. Patrz, Wika, jakie on ma paluszki!

- Weź go na ręce.

- Ale czy ja mu nic nie zrobię?

- Idę przygotować wszystko do spaceru. Masz go dla siebie i przestań się denerwować.

Wika dała jej całe piętnaście minut, żeby poprzytuliła niemowlę. Domyślnie zaproponowała też, żeby to Karolina przewinęła je i nasmarowała raczej nieciekawie pachnącą maścią. I oczywiście, żeby prowadziła wózek.

Kiedy dziewczyny były już gotowe, a Maciek zapakowany we wszystko, co przygotowała ciocia, tuż przy drzwiach złapał je dzwonek telefonu.

Dzwonił i dzwonił. Wika jednak udawała głuchą.

- Nie odbierzesz?

- To nie telefon.

- Nie telefon, a co?

- To pewnie Azja albo Żurek. Nie wiadomo. Któreś to ciągle robi. To ich stary dowcip.

Kiedy ktoś wychodzi, zaraz się rozdzwaniają. Uspokójcie się, ptaszyska. Diupa, wpłyn na nich jakoś - podeszła do woliery sprawdzić, czy dobrze zamknęła ptaki.

Dziewczyny w przedpokoju opatulały wózek.

- I co powiesz, maluszkule, co powiesz? - roztkliwiła się nad Maćkiem Karolina.

- Diupa! - zawołał radośnie niemowlak.

- Niemożliwe - Wikę zatkało.

- Diupa! - z całym przekonaniem powtórzył Maciek. A może powiedziała to któraś z papug? Nie wiadomo.

Epilog

„Gazeta” ma dobry zwyczaj opisywania ślubów i zamieszczania zdjęć oblubieńców. Dwudziestego szóstego czerwca wydrukowała w dodatku stołecznym sporych rozmiarów zdjęcie, na którym bez żadnych wątpliwości stała babcia w najprawdziwszej białej sukience i w długim welonie. A obok niej Pan Henryk w nienagannym garniturze, z muszką w drobny rzucik i piękną kremową różą w klapie.

Wiktor był drużbą, a Wika podarowała babci niebieską podwiązkę na szczęście.

Warszawa, 12 grudnia 2001 roku

Projekt okładki i stron tytułowych: Dorota Nowacka

Redakcja: Anka Gawlińska

Korekta: Monika Figut i Kasia Sołtan

© Copyright by Pracownia Słów, Warszawa 2002

ISBN 83-89127-08-3

Wydanie pierwsze

Wydawnictwo Pracownia Słów

AL Ujazdowskie 16/54

00-478 Warszawa

tel./fax (+48/22) 62 92 004

www.pracownia-slow.pl

Skład i łamanie: Martyna Różycka

Druk i oprawa: Zakłady Graficzne im. KEN ul. Jagiellońska 1 85-067 Bydgoszcz